



*Kristin Hannah*



*Wyśnzione  
szczęście*

Tytuł oryginału COMFORT & JOY

RS

*Benjaminowi*

## *Część pierwsza*

*Niebezpiecznie wychodzić za własny próg... Trafisz na gościniec i jeżeli nie powstrzymasz swoich nóg, ani się spostrzeżesz, kiedy cię poniosą.*

J. R. R. Tolkien, *Władca Pierścieni t. I Wyprawa*

tłum. Maria Skibniewska

### **1**

Na liście niepożądanych rzeczy i zjawisk, jakich chciałabym uniknąć, na pierwszym miejscu umieściłam w tym roku przyjęcia z okazji świąt Bożego Narodzenia. Powinnam też trzymać się z daleka od wszelkich ozdób i choinek, a już na pewno od jemioly. No i żadnych świątecznych filmów o tematyce rodzinnej, i wspomnień. Zwłaszcza wspomnień... Rok temu pierwszy dzień świąt spędziłam we własnym salonie w towarzystwie dwojga osób, które kochałam najbardziej na świecie: mego męża, Thomasa, i mojej jedynej siostry, Stacey.

Od tego czasu minęło dwanaście miesięcy i wiele się zmieniło.

Teraz jestem w kuchni i starannie pakuję zamrożone świąteczne ciastka do specjalnych plastikowych pojemników. Każdą warstwę wypieków przedzielam woskowanym papierem. Na maskującej taśmie wypisuję czarnymi literami swoje imię i nazwisko: Joy Candellaro. Potem szykuję się do pracy. Wkładam czarne džinsy i jasnozielone sweterkowe bliźniaki, a w ostatniej chwili wpinam w uszy kolczyki w kształcie małych wianuszków. Liczę na to, że gdy się tak świątecznie wystroję, znajomi przestaną mnie wreszcie pytać, jak się czuję. Trzymając w ręce blad różowe pojemniki z ciastkami, zamykam drzwi domu na klucz i udaję się do garażu. Obchodzę dookoła maskę samochodu i chyłkiem przemykam się obok

segregatorów stojących rzędem przy tylnej ścianie. To w nich przechowuję marzenia. Jak przystało na kogoś, kto jest z zawodu bibliotekarką, utrzymuję w papierach idealny porządek. Zgromadziłam wszystkie informacje dotyczące egzotycznych miejsc i odległych zakątków na świecie, jakie tylko wpadły mi w ręce. Czytając teraz opisy i oglądając dołączone do nich ilustracje ukazujące owe okolice, marzę o przeżyciu jakiejś wielkiej przygody.

Prawdę mówiąc, to marzenie towarzyszy mi już od dziesięciu lat. Zważywszy na to, że prawie od trzech miesięcy znów jestem wolna, a od ośmiu żyję w separacji z Thomem, mogę śmiało określić siebie jako marzycielkę, a nie kobietę czynu. Prawdą jest też, że od czasu rozvodu nie dołożyłam do tych zbiorów żadnych materiałów. Ba, ani razu nawet nie otworzyłam szafki na akta. Teraz ostrożnie przesuwam się wzdłuż segregatorów i minąwszy je, wsiadam do swojego samochodu marki Volvo, w brązowym kolorze o kasztanowym odcieniu. Z tyłu za mną otwierają się drzwi garażu i na wstecznym biegu wyjeżdżam na podjazd.

Dzisiaj mamy ostatni piątek przed Bożym Narodzeniem; jest wcześnie rano i jeszcze się świecą uliczne latarnie, a płynąca z nich jasność drżącymi żółtymi strugami przebija się przez cienie przedświt. Samochód wtacza się na podjazd

I zatrzymuje; jego przednie światła padają na dom, który w tym nienaturalnym oświetleniu wydaje się spłowiały i zaniedbany. Patrząc na ukochane róże i widzę, że są zbyt wybujałe i ogołoczone z liści, a donice z pelargoniami pełne zwiędłych kwiatów.

Przez głowę przemknęło mi pewne wspomnienie, które niby letnia burza nagle się zjawiało, by po chwili zniknąć.

Tego dnia wcześniej niż zwykle wróciłam z pracy do domu... Na podjeździe zauważyłam samochód męża. Róże były wtedy w pełnym rozkwicie, bujne jak nigdy...

Pamiętam, że pomyślałam wtedy, iż muszę ściąć kilka kwiatów i udekorować nimi pokój.

Weszłam do domu, płaszcz cisnęłam na klonową ławę w holu i ruszyłam na górę, już na schodach wołając męża po imieniu. Byłam w połowie drogi, kiedy dotarły do mnie łatwe do rozpoznania dźwięki. Wydaje mi się - i tak to sobie utrwaliałam w pamięci - że kopnięciem otworzyłam drzwi na oścież. W każdym razie taką wersję wydarzeń przedstawiałam znajomym. Prawda była jednak inna: ledwo się zdobyłam na wysiłek, by je pchnąć.

Zobaczyłam, że leżą tam oboje nadzy, mokrzy od potu i kotłują się na moim łóżku.

Jak idiotka stałam i gapiłam się na nich. Myślałam, że może mąż wyczuje moją bliskość - bo ja zawsze żywo reagowałam na jego obecność - i spojrzy w górę, a na mój widok... ach, nie wiem... dostanie ataku serca albo wybuchnie płaczem i będzie mnie błagał o wybaczenie, czy też w odwrotnej kolejności: będzie mnie błagał o wybaczenie i wtedy dostanie ataku serca.

Potem rzuciłam okiem na twarz tej kobiety i... to było potworne, aż dziw, że nie oszalałam... rozpoznałam w niej moją siostrę!

Przed domem stoi teraz tablica z napisem „Do sprzedania”. Jest tam już od trzech miesięcy, ale... nie oszukujmy się - fakt, że nasze małżeństwo się rozpadło, działa odstraszaюще na klientów. To tak, jakby wrzucić kamień do stawu: na powierzchni błękitnej wody zaraz utworzą się zmarszczki i

będą się rozchodziły coraz dalej i dalej. Na taki pechowy dom nikt się nie skusi.

Zbyt mocno nacisnęłam gaz i tyłem wjechałam na ulicę, pozostawiając za sobą wspomnienia. Gdybyż one chciały tam pozostać... Ale nie, natrętnie się wokół mnie gromadzą, tak że nie mam czym oddychać.

Gdy spotkają mnie znajomi, nie wiedzą, o czym ze mną rozmawiać. Trudno ich o to winić, skoro sama też nie wiem, co chciałabym usłyszeć. Pracuję w szkolnej bibliotece i zewsząd dobiegają mnie jakieś szepty, które ustają, gdy wchodzę; milczenie, jakie potem następuje, jest bardzo przykre. Chcąc ułatwić sytuację moim przyjaciołom, udaję, że wszystko jest okej. Ostatnio często stosuję tę metodę: uśmiecham się i udaję... Cóż innego mi pozostaje? Ludzie są już mną zmęczeni; sprzykrzyło im się czekanie, że wreszcie przeboleję rozwód. Chciałabym z powrotem trafić w stare koleiny i żyć jak dawniej, ale jakoś mi to nie wychodzi. Zacząć nowego życia też nie mam odwagi, choć - prawdę mówiąc - tego właśnie pragnę. Od dłuższego czasu jest to moje największe pragnienie.

Skrećam w lewo. Na ulicach Bakersfield o tak wczesnej porze nie ma ruchu. Gdy dojeżdżam do celu, jest już prawie siódma. Zajmuję stale miejsce parkingowe, zabieram ciastka i wchodzę do gmachu liceum. Zza biurka uśmiecha się do mnie nasza szkolna sekretarka Bertha Collins.

- Witaj, Joy! - mówi.

- Cześć, Bertie! - odpowiadam. - Przyniosłam wam ciastka na dzisiejsze wieczorne przyjęcie.

Sekretarka patrzy na mnie ze smutkiem.

- A ty nie przyjdiesz? - pyta.

- Nie, Bertie! Na pewno nie. W tym roku nie jestem w odpowiednim nastroju.

Koleżanka spogląda na mnie ze zrozumieniem. Sama dwukrotnie się rozwiodła, sądzi więc, że mnie rozumie, w rzeczywistości jednak nie jest w stanie pojąć, co czuję. Ma troje dzieci, oboje rodziców i aż cztery siostry; moja sytuacja jest diametralnie różna.

- Uważaj na siebie, Joy! - radzi koleżanka. - Pierwsze Boże Narodzenie po rozwodzie bywa nieraz...

- Tak, wiem... - zmuszam się do uśmiechu i idę dalej. Najważniejsze, to nie stać w miejscu, tylko się poruszać... Ta metoda okazała się w zeszłym roku bardzo skuteczna. Przemierzam korytarz, skręcam w lewo, mijam pustą o tej porze stołówkę i wchodzę do biblioteki.

Moja asystentka Rayla Goudge już jest. Ta pełna energii siwa pani ubiera się jak Cyganka i stara się wszystkie swoje notatki pisać w stylu *haiku*\*. Podobnie jak ja ukończyła Uniwersytet Kalifornijski w Davis, otrzymała dyplom nauczycielki i niemal przez pięć lat pracowała ze mną w bibliotece ku naszemu obopólnemu zadowoleniu. Mogę powiedzieć, że obie cieszyłyśmy się każdą wspólnie spędzoną chwilą. Boję się jednak, że kiedy w maju Rayla uzyska dyplom magistra bibliotekoznawstwa, przeniesie się do innej szkoły. Będzie to jeszcze jedna zmiana w moim życiu, o której wolę nie myśleć.

*\* W stylu haiku - zwięźle, dowcipnie, z wyrazistą puentą. Haiku jest formą japońskiego, nierymowanego wiersza o takich właśnie cechach. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).*

- Dzień dobry, Joy! - mówi Rayla i patrzy na mnie spoza stosu papierów.

- Cześć, Ray! Jak się czuje Paul? Mija mu zaziębienie? -pytam.

- Już mu lepiej. Dziękuję.

Chowam torebkę do biurka i zabieram się do roboty. Zaczynam od komputerów: kolejno podchodzę do każdego urządzenia i uruchamiam je. Potem usuwam wczorajsze gazety i wykładam nowe, dzisiejsze. Przez następne sześć godzin pracujemy z Raylą ramię w ramię, wykonując wszystko, co należy do naszych obowiązków, a więc sprawdzamy, jak działa elektroniczny system katalogowy, wypisujemy upomnienia dla przetrzymujących książki, znakujemy nowe tomy i umieszczamy je na półkach. Czasem, jeśli się nam poszczęści, przychodzi któryś ze studentów i prosi nas o pomoc. Zawsze bardzo się z tego cieszymy, ale, niestety, w dobie Internetu rzadko się to zdarza, gdyż studenci mają w domu własne urządzenia elektroniczne i sami mogą prowadzić zlecone im badania. Oczywiście, w taki dzień jak dzisiaj, ostatni przed feriami, w bibliotece jest cicho jak w grobie.

Ferie to także temat, o jakim staram się nie myśleć, bo nie wiem, co będę robić w wolne dni od pracy dwa i pół tygodnia.

W przeszłości z niecierpliwością czekałam na ferie i cieszyłam się na nie. Między innymi z tego powodu wybrałam pracę w szkole. Piętnaście lat temu, kiedy jeszcze studiowałam, wyobrażałam sobie, że wolny czas będę spędzała na podróżach i zwiedzaniu egzotycznych miejscowości.

- Hej Joy! Nic ci nie jest?



Tak się zatopiłam we wspomnieniach, że dopiero po chwili sobie uzmysłowiłam, iż Rayla coś do mnie mówi. Stoję pośrodku biblioteki i trzymam w ręce zniszczony, zaczytany tom *Pani Bovary*.

Rozlega się dzwonek i ściany aż wibrują od dźwięku wciąż otwieranych drzwi, śmiejących się dzieci, biegających po holu stóp... Zaczęły się ferie zimowe.

- Chcesz, żebym po ciebie przyjechała i zawiozła na przyjęcie? - pyta Rayla.

- Przyjęcie? - powtarzam, jakbym właśnie o nim myślała. - Nie, dziękuję.

- Czy to znaczy, że nie przyjdiesz?

Rayla zawsze to robiła: przewiercała mnie spojrzeniem, co niweczyło moją obronę.

- Nie przyjdę.

- Ale...

- Nie w tym roku, Ray. Moja asystentka wzdycha.

- To co będziesz robiła dziś wieczorem?

Obie wiemy, że ten pierwszy wieczór ferii jest szczególny. W zeszłym roku właśnie w taki piątek umówiłam się ze Stacey na kolację, a potem poszliśmy do centrum handlowego i ja wychodziłam z siebie, żeby znaleźć jakiś wystrzałowy prezent dla męża.

No i cóż? Okazało się, że kobietą, którą zastałam z nim w łóżku, była moja siostra...

Na próżno staram się unikać tego rodzaju wspomnień; one są jak azbest: niewidoczne, ale zabójcze. Trzeba znaleźć jakiś specjalny sposób, żeby się ich pozbyć.

- Masz już w domu drzewko? - pyta Rayla, chwytając mnie za ramię.

Potrząsam przecząco głową.

- Pomogę ci w ubieraniu choinki - proponuje.

- Nie, dziękuję. Muszę to zrobić sama.

- A zrobisz?

Patrzę w jej dobre, szare oczy i z zadziwiającą łatwością, uśmiechając się, mówię:

- Tak, oczywiście.

Rayla bierze mnie pod ramię. Przechodzimy przez cichą dziś salę biblioteczną, by po chwili znaleźć się na rojnym, kipiącym życiem korytarzu liceum. Wszędzie pełno młodzieży: śmieją się, rozmawiają i podnosząc dłonie, przybijają piątkę.

Na parkingu Rayla odprowadza mnie do samochodu, przystaje i patrząc mi w oczy, tłumaczy się:

- Strasznie mi przykro zostawiać cię samą na święta. Może powinniśmy z Paulem zrezygnować z wyjazdu do Minnesoty.

- Ani się waż! Jedź i baw się dobrze. O mnie się nie martw, nic mi nie będzie.

- Ale ty i Stacey...

- Przestań! - przerywam ostro i dodaję szeptem: - Proszę...

- Zobaczysz, ona się w końcu opamięta i zerwie z Thomem.

Straciłam już rachubę, ile razy Rayla mnie o tym przekonywała i ile razy sama to sobie wmawiałam.

- Dlaczego nie pojedziesz do któregoś ze swoich wymarzonych miejsc, takich jak Machu Picchu czy Londyn?

- A wiesz, że może rzeczywiście się tam wybiorę - deklaruję jak zawsze, gdy o tym mowa, ale obie dobrze wiemy, że po prostu boję się podróżować samotnie.

Rayla poklepuje mnie po ręce i całuje w policzek.

- A więc do zobaczenia w styczniu, Joy!

- Wesołych świąt, Ray!

- Wzajemnie.

Patrzę, jak przyjaciółka podchodzi do samochodu, wsiada i odjeżdża. Po chwili ja też zajmuję miejsce za kierownicą, ale jakiś czas siedzę bez ruchu, spoglądając przez przednią szybę. Kiedy w końcu uruchamiam silnik, włącza się radio; płynie z niego ulubiona piosenka mojej matki: *Upon a Midnight Clear*, tym razem w wykonaniu instrumentalnym. Słucham i od razu przypominają mi się dawne dobre czasy.

Rayla ma rację; pora, żebym się zabrała do świątecznych przygotowań. Nie mogę z tym dłużej zwlekać. Na uśmiechaniu się i udawaniu nie da się spędzić świąt. Już najwyższy czas, żebym rozpoczęła nowe życie w pojedynkę.

Opuszczam parking przy liceum. Na ulicy aż gęsto od samochodów; jedzie się niemal zderzak w zderzak. Dzieciaki wychylają się z okien i wykrzykują coś do siebie. Ale od ulicy Migdałowej robi się całkiem pusto. Z Piątej skręcam w lewo i wjeżdżam na teren przy stacji Chevron, gdzie, jak co roku, skauci sprzedają choinki. Na pierwszy rzut oka widać, że w to późne piątkowe popołudnie drzewka są mocno przebrane, na ich gałązkach więcej jest brązu niż zieleni. W tej części Kalifornii ścięte iglaki szybko więdną, a ja tak długo zwlekałam, że teraz mam kłopot z wyborem.

Przechadzam się po tym sztucznym lesie na rogu ulic Piątej i Migdałowej, odkłaniam się przyjaciołom, a także zupełnie obcym ludziom, i udaję, że gorliwie szukam najładniejszego drzewka. W rzeczywistości nawet im się zbyt nie przyglądam. W końcu mam już dość tej zabawy, wybieram pierwszą z brzegu choinkę po mojej lewej stronie, przywołuję jednego ze skautów, żeby mi pomógł, i sięgam po portfel.

Sympatyczny chłopak, który bierze ode mnie pieniądze, daje mi pokwitowanie razem z paczką chustek do nosa Kleenex. Bo ja płaczę... Wspaniale... nie ma co!

Zanim przytrócą drzewko do dachu samochodu, coraz bardziej się rozklejam: pociągam nosem, płaczę i cała się trzęsę. Jestem kłębkim nerwów.

Chociaż fatalnie się czuję, postanawiam mimo wszystko zatrzymać się przed bankomatem. Na szczęście nikogo tu nie ma, nie będzie więc świadków mojej słabości. Pod wpływem nagłego kaprysu pobieram dwieście pięćdziesiąt dolarów. Tłumaczę sobie, że kiedy postawię choinkę w pokoju, będę musiała ją ubrać, a zatem kupić też nowe ozdoby, bo przecież nie użyję tych, które gromadziłam przez całe lata małżeństwa. Mam też zamiar sprawić sobie jakiś wspaniały prezent i otworzyć go w pierwszy dzień świąt rano. Sama myśl o tym, że mogę wydać na siebie pieniądze, zdaje się mnie uszczęśliwiać, bo nam, szkolnym bibliotekarkom, nieczęsto się zdarza taka okazja.

O tym wszystkim sobie myślę, dojeżdżając do domu.

Madrona Lane\* - to piękna nazwa pięknej uliczki na niezbyt pięknym przedmieściu Bakersfield. Ale na ironię zakrawa fakt, że moja ulica przyjęła nazwę od drzew, których na niej nie uświadczysz. Co więcej - firmy

deweloperskie wykosiły wszelką zieleń, jaka odważyła się wyrosnąć na osiedlu. Kiedy z mężem po raz pierwszy zobaczyliśmy nasz przyszły dom, odnieśliśmy wrażenie, że jest zniszczony i zaniedbany. Był też jedynym budynkiem na tej ulicy z zapuszczonym, dawno niestrzyżonym trawnikiem i parkanem, który pilnie wymagał odmalowania. Towarzysząca nam pani z agencji nieruchomości zasugerowała, że dom w tym stanie daje duże pole do popisu dla takiej młodej pary jak my.

- Poprzedni właściciele - szepnęła, kiedy stapałam po przegniłej podłodze w łazience - rozwiedli się w bardzo brzydki sposób. To była prawdziwa „Wojna Róż”\*\*.

Wówczas się z tego śmialiśmy, a tymczasem się okazało, że to wcale nie jest takie śmieszne.

Byłam już prawie pod domem, kiedy nagle ujrzałam Stacey. Stała sama na podjeździe. Wcisnęłam hamulec.

Patrzyłyśmy na siebie przez przednią szybę samochodu. Kiedy mnie dostrzegła, zaczęła płakać, a ja robiłam wszystko, żeby nie pójść w jej ślady.

*\* Madrona jest ładnym zimozielonym drzewem wawrzynowatym, rosnącym w zachodniej Kalifornii.*

*\*\* „Wojna Róż” toczyła się w XV wieku między pretendującymi do tronu angielskiego rodami York (herbu Biała Róża) i Lancaster (herbu Czerwona Róża).*

Pomyślałam, że pewnie przyszła mi powiedzieć, że skończyła z Thomem. Czekałam na ten moment, ale kiedy teraz nastąpił, nie wiedziałam, co robić. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli jej nie wybaczę, nie będzie żadnych widoków na przyszłość dla nas obu. Ale jak wybaczyć siostrze, która spała z moim mężem?

Zmniejszyłam gaz, wjechałam na podjazd i wysiadłam z samochodu. Stacey stała w miejscu i spoglądała na mnie, obciągając narciarską kurtkę. Na policzkach siostry błyszczały łzy. Po raz pierwszy tak na siebie patrzymy od czasu, kiedy zaczął się ten koszmar, ale zamiast gniewu nieoczekiwanie odczuwam coś na kształt tęsknoty. Przychodzą mi na myśl dziesiątki różnych zdarzeń z naszej przeszłości. Na przykład wycieczka, jaką sobie urządziła nasza wspaniała rodzinka, wybierając się w podróż przez pustynne stany Ameryki. Jechaliśmy volkswagenem, a mama śpiewała piosenki Helen Reddy, wydzierając się na całe gardło, i paliła jednego papierosa za drugim. To było istne piekło...

Powoli zbliżam się do Stacey i jak zawsze, gdy spoglądam na siostrę, mam wrażenie, jakbym patrzyła w lustro. Irlandzkie bliźniaczki - tak nas nazywała mama. Jeśli chodzi o wiek, dzieli nas tylko niecałe dwanaście miesięcy. Mamy takie same kręcone miedzianoczerwone włosy, bladą, piegowatą cerę i niebieskie oczy. Nic dziwnego, że się Thom w mojej siostrze zakochał, skoro jest ona młodszą i uśmiechniętą wersją mnie samej.

Stacey robi krok w moim kierunku i zaczyna mówić:

- Rzuciłam go. - Zdawało mi się, że te właśnie słowa usłyszałam, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że wcale tego nie powiedziała.

- Co takiego? - pytam, cofając się o krok, i marszczę brwi z dezaprobatą.

- Nie możemy tego dłużej przeciągać - mówi. - Nie teraz... Nie w okresie Bożego Narodzenia.

Czuję się pokonana i speszona.

- Mam ci wybaczyć, bo jest Boże Narodzenie?

- Wiem, że mi nie przebaczysz, ale przecież między tobą i Thomem już i tak się wszystko skończyło...

- To prawda, mieliśmy pewne problemy, jednak... - Nawet nie wiem, jak to zdanie dokończyć, co powiedzieć. Żadne słowa nie wydają mi się właściwe.

Stacey przygryza dolną wargę - znak, że jest zdenerwowana. Dobrze pamiętam ten jej odruch sprzed lat... Nieoczekiwanie wręcza mi biały elegancki karnet, a ja się domyślam, że to zaproszenie na ślub; ta cholerna impreza ma się odbyć szóstego czerwca.

To cios. Nogi ugięły się pode mną.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz - mówię. - Powinnaś z nim zerwać, a nie za niego wychodzić.

Siostra rozchyła żakiet bardzo powoli. Ubrała się jak na wakacje: włożyła czerwone aksamitne spodnie i białą, robioną na drutach bluzę, na której z przodu widnieje ułożony z cekinów napis: RUDOLPH.

- Jestem w ciąży - oświadcza, po czym wymownym ruchem dotyka brzucha, który jednak wydaje się bardziej płaski niż mój.

I stało się. Po miesiącach udawania, że ze mną wszystko w porządku, nastąpiło coś, z czym nie potrafię sobie poradzić. Przecież ja przez pięć lat marzyłam o dziecku. Błagałam Thoma, żebyśmy założyli prawdziwą rodzinę, ale on nigdy nie był na to gotowy. Teraz wiem, dlaczego: przeze mnie. Nie chciał mieć dziecka ze mną.

Stacey płacze coraz żałośniej.

- Tak mi przykro, Joy - duka. - Wiem, jak bardzo pragnęłaś dziecka...

Mam ochotę wrzeszczeć na nią, wykrzyczeć swój ból, może nawet ją uderzyć. Tymczasem z trudem oddycham, łzy zasłaniają mi oczy i nie są to

zwykle łzy: one naprawdę bołą. Nie mogę uwierzyć, że siostra mogła to zrobić, że była zdolna wyrządzić nam taką krzywdę. Jak dziewczyny, podobne do siebie jak dwie krople wody, mogły do czegoś takiego doprowadzić!

- Nie chciałam cię zranić, naprawdę... - zapewnia Stacey.

Nie mogę jej dłużej słuchać. Boję się, że jeśli zada mi jeszcze jeden cios, to nogi się pode mną ugną i padnę na kolana tu, na podjeździe. A przecież przez cały ubiegły rok każdego dnia walczyłam, by się nie załamać, by wytrwać, stojąc. Odwracam się od siostry i biegnę w stronę mego samochodu. Słyszę, że Stacey mnie woła i coś wykrzykuje, ale nie dbam o to. Jej słowa wydłużają się i rozciągają w jakieś nic nieznaczące dźwięki. Nie ma w tym wszystkim sensu.

Wsiadam do samochodu, włączam silnik i ruszam przed siebie. Nie mam pojęcia, dokąd jadę, i nie zastanawiam się nad tym. Chodzi mi tylko o jedno: chcę uciec jak najdalej od zaproszenia na ślub siostry i od dziecka, które rośnie w jej łonie.

Widzę tablicę wskazującą drogę na lotnisko i bez wahania, bezwiednie skręcam w tym kierunku. Być może zadziałała tu też jakaś tajemna siła przeznaczenia. Parkuję przed terminalem i wchodzę do niewielkiej hali, w której panuje ożywiony ruch. Widocznie dużo ludzi pragnie tak jak ja wyjechać w ten świąteczny czas i pokonać szmat drogi, byle tylko oddzielić życie tu od życia tam.

Spoglądam na tablicę odlotów i mój wzrok przykuwa miejscowość o nazwie Hope, czyli nadzieja. Przechodzą mnie dreszcze. To słowo wydaje mi się. nie na miejscu pośród nazw takich zwyczajnych miast, jak Spokane czy Port-land. Przecieram oczy i na wszelki wypadek jeszcze raz patrzę z



uwagą na tablicę, bo może już lekko bzikuję i to wszystko mi się tylko przywidziało. Ale nie... Okazuje się, że Hope naprawdę istnieje i znajduje się na terenie Brytyjskiej Kolumbii w Kanadzie.

Nie ma kolejki po bilety, idę więc w kierunku punktu informacyjnego - bardzo powoli, jakbym czekała, aż się do końca rozbudzę.

- W czym mogę pani pomóc? - zwraca się do mnie kobieta w okienku.

- Chodzi mi o lot do Hope... Czy są jeszcze wolne miejsca?

Moja rozmówczyni marszczy brwi.

- To jest lot czarterowy, ale zaraz sprawdzę. - Patrzy na ekran komputera i stuka paznokciami w klawisze. - Są jeszcze miejsca - mówi - ale bilet był zbiorowy. - Rozgląda się dokoła i jej wzrok pada na mocno zbudowanego mężczyznę w myśliwskim stroju; wskazując go, proponuje: - Może pani podejdzie do tego pana i jego zapyta.

Zrobię to, oczywiście, choć nie należę do kobiet, które z łatwością podchodzą do obcych mężczyzn, zwłaszcza gdy wyglądają jak Burl Ives\* w czasie polowania na grubego zwierza. Teraz jednak nie pora na certowanie się. Jestem zdesperowana. Czuję, że jeśli jeszcze sekundę dłużej pozostanę w tym mieście, to zacznę krzyczeć na cały głos. Nie mam też złudzeń, że Stacey wciąż stoi na moim podjeździe i czeka, że wrócę na dalszą rozmowę. Wkładam torebkę pod pachę i ruszam w stronę pana w stroju myśliwskim.

*\* Burl Ives - amerykański aktor i piosenkarz.*

- Przepraszam - bąkam, na próżno usiłując się uśmiechnąć. - Chciałabym się wybrać do Hope.

- Nie sędzę, by taka wielkowiejska dziewczyna jak pani znalazła tam wiele atrakcji - powiedział ze śmiechem.

- Może ma pan rację, ale czasem chodzi tylko o to, żeby wyjechać, i o nic więcej...

- Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać, proszę pani -odparł. - Znajdziemy dodatkowe miejsce, skoro decyduje się pani na wyjazd, i będzie to kosztowało... no, powiedzmy, sto dolarów. Niestety, nie mogę pani zapewnić możliwości powrotu, bo my działamy na zasadzie improwizacji.

- To tak jak ja - wyrwało mi się. To stwierdzenie jest tak dalekie od prawdy, że w normalnych okolicznościach zasługiwałoby tylko na śmiech, ale teraz bardzo mi odpowiada. Poza tym nie mam pewności, czy będzie mi potrzebny bilet powrotny. Kto wie? Ta podróż jest jak tunel, który się nagle znalazł na drodze mego życia, i pozostaje mi tylko przezeń przejść. O pieniądze nie muszę się martwić, bo mam przy sobie sumę, którą podjęłam na święta. - Czy potrzebny mi będzie paszport? - pytam.

- Nie, wystarczy prawo jazdy.

Dowiedziałam się, że w drodze na krótko zatrzymamy się w Seattle, gdzie się przesiądziemy; po okazaniu dowodu tożsamości przejdę przez cło i około północy powinniśmy wylądować w Hope. I tak oto decyzję opuszczenia kraju podjęłam w krótszym czasie, niż zajmuje mi zwykle wybranie odpowiedniej porcji mięsa w lokalnym sklepie Vona.

Wyciągam portfel, wydaję gotówkę i jadę...

## 2

Godzinę później stałam w hali odlotów z biletem do Hope w ręce. Otaczali mnie sami mężczyźni; rozmawiali, śmiali się i co chwila przybijali sobie piątki. Zdziwiłam się, bo nigdy przedtem nie widziałam, żeby tak wielu ludzi to robiło. Wkrótce się okazało, że moimi współtowarzyszami podróży są myśliwi: łowcy trofeów, faceci, którzy zamiast medalami dekorują się racicami ustrzelonych zwierząt. Wybierali się właśnie na wielkie polowanie. Oczywiście jechali sami, bez dzieci i żon, i widać było jak na dłoni, że rozpoczęli imprezę jeszcze przed startem samolotu. Jedynej wśród nich kobiecie, która wyglądała na zmęczoną, nie okazywali żadnego zainteresowania.

Po zajęciu któregoś z wolnych miejsc zauważyłam, że na siedzeniu obok leży czasopismo „Wiadomości Łowieckie i Wędkarskie”. Jako bibliotekarka chętna do czytania wszystkiego, co popadnie, sięgnęłam po nie i zaczęłam wertować. Nie zaciekał mnie artykuł o czatowniach, z jakich korzystają myśliwi polujący na kaczki. Nie zrobiły też na mnie wrażenia fotografie pokazujące, jak się preparuje zabite zwierzęta. Kiedy jednak odwróciłam kartkę, mój wzrok padł na ładne zdjęcie pewnej niemodnej już miejscowości letniskowej, reklamowanej jako Komfortowy Ośrodek Wędkarski. Zachęcano, żeby tam pojechać i zatrzymać się choćby na krótko.

Zatrzymać się na krótko? To piękna myśl. Złożyłam czasopismo na pół i schowałam do torebki. Pomyślałam, że kiedy przyjadę do domu, włożę je do segregatora i umieszczę w porządku alfabetycznym obok innych wymarzonych miejsc na urlop. Może któregoś dnia zechcę ten ośrodek odwiedzić.

Weiskając pismo do zapchanej drobiazgami torebki, wyczułam pod ręką granulowaną skórę futerału do aparatu fotograficznego. Zacisnęłam palce i wyjęłam go z torebki. Skoro się decyduję na wycieczkę w nieznane, powinnam koniecznie mieć zdjęcia, którymi mogłabym udokumentować to doniosłe wydarzenie.

Zaczynam od nastawienia ostrości, a potem fotografuję wyjście na pas startowy, pasażerów, a nawet przez brudne szyby usiłuję uwiecznić widok na pas startowy. Próbuję także sama sobie pstryknąć zdjęcie. Przez moment te czynności mnie absorbują, ale po chwili rzeczywistość znów się wkrada do moich myśli: rozpamiętuję słowa Stacey, że wkrótce poślubi Thoma i że nosi jego dziecko. To boli tak bardzo, że nie jestem w stanie tego znieść. W oczach ponownie pojawiają się piekące łzy, które niecierpliwie ścieram. Czuję się zmęczona płaczem. Nęka mnie też świadomość, że ubyło mi połowy osobowości i nie potrafię tego stanu rzeczy zmienić. Wiem jedno: przez ponad trzy dekady moja siostra była dla mnie opoką, na której budowałam swoje życie, a teraz straciłam grunt pod nogami. Nigdy dotąd nie czułam się tak zagubiona i samotna. Gdybym mogła przymknąć oczy i wymówić zaklęcie, które sprawiłoby, że zniknę z tego świata, zrobiłabym to.

Przez głośnik zapowiadają nasz lot. Mężczyźni natychmiast rzucają się do wyjścia. Wyglądają jak odziana we flanelowe spodnie stonoga, której wszystkie odnóża poruszają się jednocześnie. Wstaję i spokojnie idę za nimi.

W samolocie zajmuję miejsce na samym końcu, w ostatnim rzędzie foteli, tak że oparcie niemal dotyka drzwi toalety. Staram się nie przypisywać temu sąsiedztwu żadnego metaforycznego znaczenia. Siadam, zapinam pasy i przez owalne okno obserwuję zapadającą noc. Panowie udający się na polowanie siedzą z przodu; humory im dopisują: śmieją się i

wesoło rozmawiają. Wkrótce dostajemy zgodę na start i samolot wznosi się w górę, wzbijając się wysoko w ciemne już teraz niebo.

Znów sięgam po pismo poświęcone polowaniu i wędkowaniu. Zaciekał mnie artykuł o majestatycznym lesie deszczowym znajdującym się w Olympii w stanie Waszyngton, między ciągnącym się setkami mil wybrzeżem a urwistym łańcuchem gór. Rosną w nim gigantyczne drzewa, a bujna pierwotna zieleń działa niezwykle kojąco. W takim miejscu kobieta łatwo mogłaby się zgubić; miałabym okazję zrobić tam setki wspaniałych zdjęć, a może nawet...

- Dobrze się pani tu czuje, całkiem sama na końcu samolotu?

Podnoszę wzrok; przede mną stoi Burl Ives i uśmiecha się: jego sterzące jak szczotka wąsy uniesione w uśmiechu odsłaniają duże sztuczne zęby. Dotknęły mnie nieco jego słowa o mojej samotności.

- Czuję się dobrze - bąkam, choć to dalekie od prawdy.

- Pani pozwoli, że się przy okazji przedstawię: jestem Riegert. Riegert Milosovich - dodaje.

- Miło mi pana poznać. Jestem Joy.

- A więc ciesz się, Joy. Przed tobą wspaniałe wakacje. A nam życzy powodzenia na polowaniu.

- Życzę panom, żeby nic złego was nie spotkało - mówię. Nie potrafię wyrazić nadziei, że uda im się polowanie. Noszę legitymację klubu, który zwalcza zabijanie żywych istot, i od lat jestem czynnym członkiem tej organizacji. A fakt, że ci myśliwi piją alkohol i zaraz potem ładują broń, świadczy o ich zupełnym braku odpowiedzialności. Ale to nie moja sprawa... - A tobie, Riegercie, raz jeszcze dziękuję za miejsce w samolocie. Hope to nadzieja, a ja bardzo jej potrzebuję.

- Chyba wszyscy jej potrzebujemy - rzuca i pochyliwszy głowę, wchodzi do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Po kilku chwilach jest z powrotem i kieruje się przejściem na swoje miejsce z przodu. Dochodzi już do pierwszych rzędów foteli, gdy nagle słyszę straszny hałas i czuję, że samolot cały się trzęsie. Riegiert się potyka i poleciawszy do przodu, pada na kolana. Samolot lotem nurkującym pikuje w dół.

W dół... to niedobrze - myślę; samolot powinien wznosić się w górę. By utrzymać równowagę, chwytam się poręczy fotela. Wiem, że to głupi pomysł i na nic się nie zda, bo i tak się nie utrzymam, ale dzięki temu czuję się trochę pewniej i odnoszę wrażenie, że panuję nad sytuacją.

Samolot wyrównuje lot. Zdążyłam jeszcze szepnąć: „Bogu dzięki!” i uśmiechnąć się, gdy następuje wybuch.

Obniżamy się z ogromną szybkością. Moje ciało przechyla się do przodu, ale pas przymocowany do siedzenia szarpie mnie do tyłu. Opadam na poduszki jak szmaciana lalka, boleśnie uderzając się w kark. Mój aparat fotograficzny zwałił mi się na żebra. Widzę, jak spod sufitu spadają żółte maski tlenowe. Nagle gdzieś przede mną rozlega się straszny krzyk. Ten dźwięk brzmi gardłowo i nienaturalnie. Potrząsam przecząco głową w niemym proteście. NIE! - myślę i stać mnie tylko na to jedno słowo. Serce bije mi tak szybko, że nie mogę oddychać. Stewardesa, która znajduje się w przedniej części kabiny, każe się nam pochylić i wcisnąć głowę w miękkie siedzenia przed nami. Wskazuje na przejścia, którymi można się wydostać. Nagle pojawia się kapitan: przerywa jej w pół słowa i mówi:

- Proszę państwa, musicie się przygotować... Panią stewardesę proszę, żeby wróciła na swoje miejsce.

Okazuje się, że to, co przeżywamy, to nie turbulencja, ale katastrofa lotnicza. Nasz samolot za chwilę się roztrzaska. Można by przypuszczać, że gdy maszyna spada z wysokości, wszystko rozgrywa się w jednej sekundzie, w okamgnieniu. Tymczasem prawda jest inna; w takiej chwili każda sekunda wydaje się godziną, a przed oczami przewija się całe nasze życie.

Z trudem łapię powietrze i skrecając się z bólu, głośno i po imieniu wzywam moją siostrę. Powinnam z nią porozmawiać i pozwolić jej się wytłumaczyć. Ściskam poręcze fotela, wbijając w nie palce. Oddycham nierówno i chrapliwie.

Kapitan powtarza:

- Proszę się przygotować do lądowania.

Do lądowania? Domyślam się, iż mówi tak, abyśmy sądzili, że to lądowanie było planowane...

Samolot runął na ziemię dziobem do dołu.

Tym razem mój krzyk ginie w zgrzycie, pisku i przeraźliwym jęku rozrywającego się metalu.

Koło mnie przelatują najróżniejsze przedmioty: krzesła, walizki, tace... Mam wrażenie, że znalazłam się w aerodynamicznym tunelu. Tuż obok koziółkuje stewardesa; wciąż jest przytroczone pasami do swego fotela. Nie mogę jej pomóc, tylko z przerażeniem patrzę, jak mnie mija. Na mgnienie oka nasze spojrzenia się krzyżują, ale po chwili w kabinie gaśnie światło. Nie potrafię się powstrzymać, by nie wrzeszczeć, choć mój krzyk jest prawie niesłyszalny. W hałasie, który tu panuje, jest jak łagodna bryza w porównaniu z monsunem.

Choć widzę wszystko w zwolnionym tempie, wiem, że samolot pędzi z ogromną szybkością przed siebie, rozwalając po drodze drzewa, skały i

ziemię. Po chwili natrafia na przeszkodę nie do pokonania i się przewraca. W tym momencie aparat fotograficzny uderza mnie w oko.

Samolot cały się trzęsie i jęczy, ale w końcu staje w miejscu. Straszliwie boli mnie głowa. Wystarcza sekunda, żebym zdała sobie sprawę, iż „dachujemy”. Wiszę na pasie przymocowanym do fotela, cała obolała. Mam wrażenie, jakby ktoś młotkiem wbijał mi w czoło, tuż obok lewego oka, rozpalony żelazny klin. W ustach pojawia się krew.

Kiedy maszyna w końcu się zatrzymuje, ustają przeraźliwe dźwięki rozrywanego metalu. Zapada cisza. Upiorna cisza.

W kabinie unoszą się kłęby dymu; dym osiada też na fotelach i przejściach. Nic nie widzę. Krztuszę się kaszlem, który przechodzi w szloch.

Odpinam pasy i osunąwszy się na podłogę, uderzam o coś głową tak mocno, że na chwilę tracę przytomność. Ocknąwszy się, zupełnie nie wiem, co się dzieje. Ale czując smak własnej krwi, uświadamiam sobie, że muszę natychmiast opuścić samolot. Wszędzie jest pełno dymu. Płomienie liżące ściany sięgają już do krytych tkaniną foteli. Gdzie spojrzeć - widać pomarańczowe języki ognia. Kaszląc, rozglądam się za czymś, czym mogłabym osłonić nos i usta. Niczego takiego nie znajduję. Kabina pogrąża się w ciemności, dymie i płomieniach. Ludzie spadają z foteli, lądując na tym, co teraz jest podłogą. Zdejmuję żakiet i przykrywam nim twarz, czołgając się w stronę wyjścia, a raczej tego, co -mam nadzieję - może okazać się wyjściem. Wśród odgłosów, które do mnie dochodzą, rozróżniam kroki przechodzących pasażerów, ich kaszel i szepty. Sufit pełen jest szczelin i wybojów kaleczących moje kolana. Uderzam głową o jakieś pojemniki, które spadły z góry i się otworzyły. Intuicyjnie odnajduję drogę, idąc przed siebie w gęstym dymie. Przedzieram się przez rumowisko i



staram się omijać ziejące głębią dziury. Kieruję się w stronę, w której moim zdaniem powinien znajdować się bok samolotu. Przechodząc obok szeregu foteli, szukam ludzi. Może pozostali w nich i są nieprzytomni. Nikogo jednak nie widzę.

Wreszcie po wędrówce, która wydawała mi się bardzo długa, dostrzegam otwarte drzwi. Stoi w nich mężczyzna - wyciąga do mnie rękę i pomaga mi wyjść. Odnoszę wrażenie, że ten człowiek nie wie, iż jego włosy i koszula lepią się od krwi, a w górnej części ramienia tkwi ostry odłamek.

- Tędy, proszę - informuje zmęczonym, łamiącym się głosem.

- Panu potrzebny jest lekarz - mówię, dziwiąc się, że słowa te wyciskają mi łzy z oczu. Ale coś one we mnie wyzwoliły, coś tak wielkiego, że się boję, iż się w tym pograżę, że to mnie porwie i zmiecie. W końcu, zataczając się, staję w miejscu.

Mężczyzna dotyka mojej głowy palcami, a gdy je cofa, są czerwone od krwi.

- Pani też potrzebuje lekarza - zauważa. - Czy pani jest już ostatnim pasażerem?

- Myślę, że tak; siedziałam w ostatnim rzędzie. - Odwracam się, aby spojrzeć w tym kierunku, ale widzę jedynie otwartą gardziel buchającą czernią i czerwienią. To wszystko, co pozostało z miejsc w ogonie samolotu. Zastanawiam się, jak to się stało, że tego wcześniej nie zauważyłam.

Roztrzęsiona, z bolącą i mocno krwawiącą głową, przyjmuję pomocną dłoń mężczyzny. Jest zgrabiała i spocona, ale daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Na zewnątrz panuje absolutna ciemność jak czarny aksamit, nieprzypominająca mglistej szarości w płonącej kabinie.

Ziemia ugina się pod stopami i ucieka spod nóg, gdy stawiam kroki, tak jakbym chodziła po ruchomych piaskach. Z trudnością się po niej poruszam. Przyglądam się swoim stopom, bo mam dziwne wrażenie, że albo ziemia straciła moc przyciągania, albo zmieniło się jej ciężenie. Szukam kogoś, kto by mi powiedział, gdzie jesteśmy. Nie jest to świat, jaki znałam. Powietrze jest tu ostre i całkiem inne. Ziemia taka miękka... Nagle przychodzi mi na myśl, że to może krew, nasza krew, tak ją rozmiękczyła, ale niewykluczone, iż to była benzyna...

Pozostali pasażerowie są oszołomieni tak jak ja. Gromadzą się przy najbliższym drzewie. Widzę tam już sporą grupkę. Ale czy uda mi się pokonać tę odległość i do nich dotrzeć? I dlaczego jestem sama?

Z dali dochodzi wycie syren. Potykam się o coś i padam na kolana. Wraca dotkliwy ból głowy.

Słyszę jakiś dźwięk i spoglądam w górę. Początkowo wydaje mi się, że to odgłos zbliżających się ambulansów i radiowozów policyjnych, a potem - że to krzyk. Ale to wszystko dzieje się gdzieś za nami. My ocaleliśmy.

Nie wiem, jak długo leżałam, ale raz jeszcze się przemogłam: dźwignęłam się na nogi. Stoję wyprostowana i nasłuchuję. W głowie mi huczy.

- Zaraz wybuchnie... Uciekaj! - ktoś wrzeszczy. Otaczają mnie kłęby dymu, który wydostaje się od strony ogona samolotu.

- Uciekaj! Zaraz nastąpi wybuch! - krzyczy Riegert i biegnąc w moją stronę, wymachuje rękami.

Zanim jego słowa do mnie dotarły, minęła cenna sekunda. Próbuje uciec, pędząc po gąbczastej czarnej ziemi w stronę lasu, lecz zdaje sobie sprawę, że jest już za późno. Po chwili następuje niesamowita eksplozja.

Nic, co dotąd przeżyłam, nie da się z nią porównać. W jednej sekundzie w ucieczce szukam schronienia, a już w następnej unoszę się w powietrzu w stanie nieważkości. Spadam na ziemię: najpierw czuję straszny ból, a potem ogarnia mnie ciemność.

Otwieram oczy i wpatruję się w zimowe niebo całe w czerni i szarości. Tu i ówdzie miga jakieś upiorne pomarańczowe światło. Wysoko nad sobą widzę wierzchołki drzew, które układają się w przedziwny krąg. To nie są zwykłe drzewa, ale drzewa olbrzymy. Wyglądają jak wielkoludy, które otaczając miejsce katastrofy, szepczą coś do siebie. Mży drobny kapuś-niaczek, bardziej przypominający mgłę niż deszcz.

Początkowo słyszę tylko bicie własnego serca. Jakby mi ktoś uszy zapchał watą. Jego powolne uderzenia wydają się jedynie echem dźwięku płynącego z oddali. Stopniowo dochodzi do mnie coraz więcej odgłosów. Rozpoznaję stłumione, jakby docierające z bardzo daleka, wycie syren karetek pogotowia, warkot silników i chrzęst opon wozów przejeżdżających po żwirze i kamieniach.

Gdzie jestem? - zadaję sobie pytanie.

Odpowiedź dyktuje mi wyobraźnia i skok adrenaliny. Samolot się rozbił... Pasek, na którym wisi aparat fotograficzny, owinał się dookoła mojej szyi i dusi. Uwalniam się od niego, z trudem łapiąc oddech.

Już wiem, że szarość zasnuwająca niebo - to dym po eksplozji samolotu; pomarańczowe błyski są zaś odbiciem płomieni palących się dookoła drzew. Słyszę także, jak trzaskają, i czuję buchający od nich żar. Krew i pot spływają mi po policzkach. Próbuję wstać, ale nie mogę się ruszyć. Czyżbym była sparaliżowana? Patrzę na stopy; usiłuję nie poddawać

się panice. Jedna stopa jest obnażona. Ani śladu skarpetki czy buta, widać tylko ciemne, zabłocone, zuchwale sterczące palce.

- Poruszcie się! - nakazuję im szeptem. I moja prawa stopa wykonuje mały, nerwowy taniec. A więc nie jestem sparaliżowana. - Dzięki Ci, Boże, za to.

Po długim wysiłku, który - jak mi się wydaje - trwa wieki, udaje mi się w końcu poruszyć ramionami. Opierając się na nich, próbuję usiąść. Potem, ukryta wśród drzew, obserwuję miejsce katastrofy.

Nasz samolot przypomina wydłużoną ognistą kulę bez skrzydeł. Trawa wokół niego wygląda jak jezioro pełne błota, popiołu i gruzów. Drzewa leżą pokotem niby olbrzymie połamane wykałaczki. Dopiero teraz uświadamiam sobie ogrom zniszczenia. To prawdziwa ruina. Rozdarta ziemia krwawi tak jak my.

Przebijając się wzrokiem przez gęsty od popiołu dym, dostrzegam w oddali karetki pogotowia, radiowozy i wozy strażackie. Tam gromadzą się ci, którzy przeżyli; stoją w jasnym świetle reflektorów i prowizorycznego, naprędce zorganizowanego oświetlenia. Powinnam tę scenę sfotografować, aby mieć dowód tego, co tu się stało, ale nie mogę opanować drżenia rąk.

- Jestem tutaj! - krzyczę słabym głosem i próbuję zwrócić na siebie uwagę uniesioną w- górę dłonią.

Nikt jednak w tę stronę nie patrzy. Nikt mnie nie szuka. Dlaczego? - zastanawiam się. I przypominam sobie Riegerta: wołał i chciał do mnie dotrzeć, a gdy nastąpił wybuch, zasłonił twarz i upadł na ziemię. Tamci pewnie sądzą, że zginęłam w wyniku eksplozji. Ale przecież tu jestem... I to była moja ostatnia myśl, zanim straciłam przytomność.

Widzę ją: stoi wśród drzew niedaleko ode mnie. Wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętałam. Jest wysoka, szczupła, ma siwiejące blond włosy i oczy niebieskozielone jak jajo drozda. Na jej bladej twarzy nie widać zmarszczek. Ma na sobie różowy podkoszulek z napisem *Rocky Mountain Mama* i usta pomalowane jej ulubioną pomadką Maxa Factora, w kolorze kremu truskawkowo-śmietankowego. Czekam z nadzieją, że zobaczę jej uśmiech, ale matka krzyżuje ramiona i odwraca ode mnie wzrok, jakby chciała powiedzieć, że jej miejsce jest gdzie indziej. Potem zapala długiego brązowego papierosa.

- Mamusiu - mówię cicho, zastanawiając się, czy mnie usłyszy mimo rozlegającej się wokół nas dziwnej kakofonii dźwięków: warkotu pracujących silników, przeraźliwego wycia syren i trzasku podobnego do tego, jaki powstaje podczas ugniatania woskowanego papieru. Przede wszystkim jednak słyszę bicie własnego serca: uderza szybko i mocno, wprawiając mnie w oszołomienie.

Mama, niemal nie dotykając stopami ziemi, kieruje się w moją stronę. Kiedy się zbliża, nareszcie widzę jej uśmiech i on wyzwala we mnie spokój i radość.

- Jesteś ranna - mówi, klękając przy mnie.

Wiem, że dotyka mego czoła. Widzę ruch jej dłoni, ale nie czuję dotknięcia. Wpatruję się w jej oczy, w te tak bardzo kochane oczy. A zaczynałam już zapominać, jak mama wyglądała, jak delikatny miała dotyk i łagodny głos.

Z jej dłoni spływa na moją twarz chłód i ukojenie.

- Obudź się, Joy! Jeszcze nie nadszedł twój czas.

- Umarłam, prawda? Dlatego tu jesteś?

Matka się uśmiecha i w tym uśmiechu zawiera się całe moje dzieciństwo; owe szczęśliwe lata, gdy czułam się bezpieczna i kochana. Płacę. Wiedziałam, że płacę, zanim jeszcze starła moje łzy.

- Stacey wkrótce poślubi mego męża - skarzę się.

- Cicho! - Uspokaja mnie i całuje w czoło, szepcząc: -Obudź się, Joy! Twój czas jeszcze nie nadszedł.

- Nie! - wzbraniam się. Nie chcę się obudzić.

- Obudź się, Joy! Natychmiast. - Dobrze pamiętam ten ton głosu matki; słyszałam go zawsze, ilekroć coś zbroiłam, i chyba nie potrafię go zignorować, choć wiem, że kiedy otworzę oczy, mama zniknie. Nie będzie jej przy mnie, nie będzie trzymała mojej ręki ani całowała. Zniknie też zapach jej szamponu do włosów i mentolowych papierosów.

- Tęsknię za tobą, mamo.

Krztuszę się, ale po chwili wraca mi oddech. I znowu czuję w skroniach ostry, pulsujący ból. Powietrze jest gęste od dymu. Powoli otwieram oczy. Trudno cokolwiek zobaczyć, trudno na czymkolwiek zatrzymać wzrok, gdy cały czas leje. Niebo zasnute chmurami i dymem przybrało kolor ołowiu. Krople deszczu stukają, spadając na kadłub roztrzaskanego samolotu. Z daleka dochodzi wycie syren, warkot silników, głosy i kroki, ale to wszystko wydaje się bardzo odległe.

Tkwię w głębi leśnej głuszy, otoczona olbrzymimi paprociami, których tu wszędzie pełno. Odnalazłam swój but: wisi na gałęzi nad moją głową i kołysze się na wietrze.

To zadziwiające, że podczas upadku nie uderzyłam w drzewo. Czołgam się na kolanach; biorę leżący obok kostur, aby się nim podeprzeć. Dzięki temu udaje mi się wreszcie wstać. Zaraz jednak dostaję mdłości,

zawrotów głowy i świat wiruje mi przed oczami; po jakimś czasie wszystko się uspokaja. Postanawiam zdjąć z gałęzi but i włożyć go na nogę... jakbym się bała, że na bosaka nie zdołam się stąd wyrwać.

Już obuta, spoglądam przed siebie na zadymioną przesiekę, zaśmieconą pozostałościami z wycinki drzew oraz gruzem, i widzę jadące w oddali karetki pogotowia i grupę idących gęsiego ludzi, zmierzających do innej części lasu. Strumienie światła płynącego z ich latarek rozchodzą się półkolistnie i przypominają jakiś olbrzymi, jarzący się bufor.

- Mogę tam dojść - mówię sobie.

Stawiam pierwszy bolesny, chwiejny krok, a potem drugi i następny. Tak dochodzę na skraj przesieki. Tu się zatrzymuję i postanawiam poczekać, licząc na to, że ktoś mnie dostrzeże. Lada chwila - myślę - ruszą mi na pomoc i umożliwią wreszcie powrót do normalnego życia. Zawiozą mnie do pustego domu na Madrona Lane, gdzie spędzę samotnie święta. Przyprawdzą moje volvo z przytroczoną do dachu choinką i zaopatrzą w kalendarz, na którym będę odkreślała dni przybliżające datę ślubu siostry i urodzin jej dziecka.

- *Nie wracaj!*

Czy to był głos mojej matki, czy wiatr?

- Nikt nie wie, że byłam w samolocie... - Po raz pierwszy ubieram tę myśl w słowa i wymawiając je głośno, dostrzegam w nich pewną szansę dla siebie. Nikt nie zauważy mojej nieobecności do chwili, gdy po zimowych feriach w szkole znów rozpoczną się lekcje.

Rozglądam się po lesie. Z tyłu za mną drzewa są grubsze i gęściej rosną, ale smuga księżycowej poświaty wskazuje mi ścieżkę biegnącą wśród pni. Odczytuję to jak znak dany mi z nieba. Choć czuję się niezbyt pewnie i

jestem oszołomiona, decyduję się pójść w kierunku, który oddala mnie od miejsca katastrofy.

Wkrótce zauważam, że drzewa rzadną, słyszę daleki warkot silników i wiem, że gdzieś tu musi być szosa.

RS



### 3

Idę wolnym krokiem przez ciemny, stary las. Głowa wciąż mnie boli, wzrok mi się mąci, a miejsce, w którym się znajduję, nie przypomina niczego, co do tej pory widziałam. Odnoszę wrażenie, że się znalazłam w innym wymiarze. Otacza mnie istny labirynt splątanych cieni i cząsteczek dymu rozświetlonych blaskiem księżyca. Spoiwem są pajęczyny, których nitki połyskują, jakby były zrobione z kolorowego szkła.

Ziemię otula mgła: kłębi się wokół moich stóp i kładzie na gąbczastym gruncie.

Po długim marszu wreszcie dochodzę do szosy. Tu kończy się las i zaczyna cywilizacja. Skracam na starą, zaniedbaną drogę i widzę kropkowaną żółtą linię biegnącą od środka jezdni w dół. Ponieważ linia co chwila znika, po zastanowieniu się dochodzę do wniosku, że nie oznacza ona żadnego nakazu, lecz tylko coś sugeruje... Co parę metrów pojawia się znak drogowy w postaci żółtej tablicy, która ostrzega kierowców, że mogą napotkać łosie.

Za każdym razem, gdy słyszę zbliżający się samochód, chowam się za drzewami. Nie chcę, żeby mnie uratował jakiś dobry samarytanin. Zresztą przeważnie jeżdżą tu tylko karetki pogotowia, poruszając się zbyt szybko, aby mogły zauważyć samotną kobietę, która nie chce być widziana.

W końcu staję u wrót miasta. W sercu lasu deszczowego wita mnie pomalowany na jasno znak drogowy. Nie dość, że tablica jest zabłocona, to jeszcze do połowy zasłaniają ogromna paproć. Nie mogę odczytać nazwy miasta, udaje mi się rozszyfrować tylko jeden wyraz: Waszyngton. Nie jestem więc w Kanadzie... Przecież miałam być w Hope! - zgłaszam pre-

tensję do otaczającego mnie pustkowie. Drzewa odnoszą się do mnie ze rozumieniem i szepczą współczująco. One wiedzą, co to znaczy być wyrwanym z korzeniami i przeniesionym na nowe miejsce; pewnie znają też smak rozczarowania.

Niedobrze się stało, że jedyna decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam spontanicznie, doprowadziła do tego, że stałam się uczestniczką katastrofy lotniczej. Żeby chociaż ten samolot rozbił się blisko miejscowości, do której miałam dotrzeć, ale nie... A właściwie czy ma to dla mnie jakieś znaczenie, gdzie jestem?

Wynurzam się zza osłony drzew i wchodzę na asfaltową jezdnię prowadzącą do miasta. Poprawiam fryzurę i przyglądam włosy. Nie wiem, jak długo jestem w drodze. To miejsce wydaje się tak nierzeczywiste, że nie sposób posługiwać się tu precyzyjnym pojęciem czasu.

Powinnam się zastanowić, dokąd właściwie idę, ale mówiąc prawdę, wcale mi na tym nie zależy. Moje myśli krążą bez ładu i składu i na niczym się nie skupiają.

Miasto, o którym wiem, że to nie Hope, wygląda jak makieta zbudowana na planie filmowym. Prawie całe kryją mroki nocy, błyszczą tylko lampy uliczne i świąteczne iluminacje. Na słupach latarni wiszą święte Mikołaje i bałwanki, a okna ozdabiają sznury białych żarówek. Sklepy są pozamykane, co mnie cieszy, bo nie mam na razie ochoty nikogo widzieć.

Marzę tylko o jednym: o łóżku. Znowu boli mnie głowa i jest mi coraz zimniej. Żeby się ogrzać, wstępuję do małej kafejki. Mnóstwo tu różnych folderów i broszur dla turystów; przy barze siedzi starszy pan i pije kawę. Nagle wpada mi w oko reklama zachęcająca do odwiedzenia tego ośrodka wędkarskiego, o którym czytałam w „Wiadomościach Łowieckich i

Wędkarskich" jeszcze na lotnisku. Czuję dreszczyk emocji: czyżby to miejsce było mi przeznaczone? Reklama zaprasza na krótki pobyt, a ja tego właśnie bardzo potrzebuję. Opuszczam przytulny lokal i ruszam przed siebie, kierując się wskazówkami mapy z mojej broszury. Czuję się samotna, jestem zziębnięta i coraz mocniej boli mnie głowa, ale teraz mam przed sobą wyraźnie określony cel.

Znajduję drogę do Lakeshore Drive i idę w tym kierunku wzdłuż poszarpanych brzegów jeziora, pokonując liczne wyboje i wgłębienia, niektóre tak duże, że zmieściłaby się w nich opona samochodowa. Trwa to tak długo, że już padam z nóg, i w dodatku gdzieś mi przepadła jedna skarpetka. Dziwne... Boli mnie głowa, mam spierzchniętą skórę, pali rana na brzuchu od pasa przytroczonego do fotela samolotu, no i opuściłam miejsce wypadku, a tymczasem martwię się pęcherzami na stopie... Z ciszą, jaka tu panuje, nigdy się dotąd nie zetknęłam.

Takiej ciszy nie doświadczysz w mieście nawet wtedy, gdy ludziska śpią, a ich samochody stoją na parkingu. To jest jakiś jej nadnaturalny, nieludzki rodzaj. Nawet śpiew ptaka może cię przerazić, tak wielka wydaje się tu siła jego głosu. Możesz też usłyszeć, jak wiewiórka skacze po drzewie i umyka coraz wyżej, gdy się zbliżasz.

Trudno mi zrozumieć, co taka wielkowiejska dziewczyna jak ja robi na tej „ziemi niczyjej”.

Łapię się na tym, iż często się oglądam i patrzę w stronę miasta z nadzieją, że złowię uchem warkot samochodu. Już mam ochotę zawrócić, kiedy, skręciwszy w ostatnią przecznicę, znajduję się na rozległej przesiece. Po jej lewej stronie rozciąga się spokojna, niezmacona tafla jeziora, a po prawej nieprzebyty las. Wkrótce droga przechodzi w podjazd, po obu

stronach wysadzany drzewkami owocowymi o gołych o tej porze konarach. Na jego końcu stoi rustykalny -nie, po prostu zapuszczony - dom z bali. Dywan z mchu stanowi jego dach. Ganek wokół domu z jednej strony się zapada, z pewnością z powodu wieku i zużycia. Na lewo od drzwi wejściowych wielka, wykonana piłą rzeźba przedstawia łabędzia trębacza. Pod nią znajduje się tablica, a na niej ręcznie malowany napis powitalny, zapraszający gości do odwiedzenia ośrodka. Ale widzę tu także drugą tablicę, która informuje krótko: DO SPRZEDANIA. Choć przypomina mi to coś z własnego podwórka, mocno mnie bulwersuje.

A to się urządziłam... nie ma co... - myślę. I gdzie się teraz podzieję?

Jestem zbyt zmęczona, by wrócić do miasta. W głowie mi huczy, jakby w niej ktoś walił w bęben. Postanawiam zdać się na łaskę właściciela ośrodka. Chyba znajdzie się tu jakiś pokój do wynajęcia? Zresztą czy mam inne wyjście? Już się teraz nie dziwię, że do tej pory moja żądza przygód pozostawała wyłącznie w sferze marzeń... - mruczę do siebie, idąc zapuszczoną ścieżką z kamiennych płyt, łączącą parking z ośrodkiem. Gdy do niego docieram, okazuje się, że drzwi frontowe są otwarte.

- Halo! Jest tu kto? - pytam donośnym głosem, wchodząc do środka. Moje zawołanie rozplywa się w ciszy i pozostaje bez odpowiedzi.

Pierwsze, co mi się rzuca w oczy, to w holu ogromny kamienny kominek z polanami. Zwracają też moją uwagę podwójne francuskie okna od podłogi po sufit, wychodzące na jezioro. Choć hol tonie w ciemnościach, udaje mi się dostrzec w świetle księżyca stojącą naprzeciw kominka kanapkę w zielono-czerwonej kratce, dwa zniszczone, kryte czerwoną skórą fotele i antyczny kufer, który służy za stolik do kawy. Na ścianach wiszą czarno-białe fotografie w białym passe-partout, oprawione w ciemne ramy.

Wyglądają na bardzo stare. Na prawo mieści się recepcja, której wyposażenie składa się z drewnianego biurka z mosiężnymi okuciami i staroświeckiej kasy stanowiącej z nim jakby jedną całość. Obok znajduje się szklana gablota, a w niej pełno reklamowych broszur i ulotek.

Stoję w ciemności i rozmyślam, co robić dalej. Głowa nie przestaje mnie boleć, więc myślenie przychodzi mi z trudem. Może powinnam się położyć na kanapce w holu i choćby na krótko się zdrzemnąć. Nade wszystko jednak marzę o kąpieli. Skoro jedno przestępstwo już popełniłam, samowolnie tu wchodząc, mogę brnąć dalej i przejść się po domu, żeby znaleźć łazienkę i łóżko.

Ostrożnie posuwam się do przodu, próbując po kolei otwierać napotkane po drodze drzwi, ale w żadnych gałka się nie przekręca. Nie daję za wygraną i idę na piętro. Tu udaje mi się otworzyć pojedyncze drzwi, więc wciąż zachowując czujność, wchodzę do pokoju. Na moment przystaję i czekam, aż wzrok się przyzwyczai do ciemności, po czym się rozglądam i spostrzegam leżącego w łóżku chłopczyka. Na mój widok malec siada, przeciera oczy i patrzy na mnie zdziwiony.

- Mamusia? - pyta po chwili.

- Nie. Jestem Joy. Przepraszam, że weszłam tu tak bezceremonialnie.

- Czy ty naprawdę tu jesteś?

- Tak, jestem tu naprawdę - odpowiadam, uśmiechając się. - Zajrzałam do recepcji, ale nikogo tam nie było.

- Bo nasz ośrodek jest zamknięty.

- Ach, tak? A może są tu jakieś inne motele w pobliżu? - Muszę to wiedzieć, bo z moją głową jest coraz gorzej.

- Nie ma żadnego... - słyszę.

- A to dopiero... - mówię, a w duchu sobie dopowiadam: Tego dnia z pewnością nie zaliczę do udanych. Ta moja niewydarzona przygoda źle się zaczęła i sytuacja wciąż się pogarsza.

- Przecież u nas są wolne pokoje, proszę pani - oświadcza chłopiec zmęczonym głosem. - A ja nawet wiem, jak się melduje gości.

- Naprawdę? Potrzebny mi... - W tym momencie głos mi się łamie. Potrzeba mi wielu, zbyt wielu rzeczy. Najlepiej jednak będzie, jeśli się skupię na jednej. - Gdybym mogła dostać pokój, choćby na jedną noc, to byłoby cudownie.

- Mojemu tacie to się nie spodoba, ale ten dom należy też do mnie. - Chłopiec odrzuca kołdrę i wychodzi z łóżka. Mija mnie, zmierzając do holu, ale po drodze odwraca się i mówi:

- Zechce pani pójść za mną?

- Ależ tak, oczywiście...

Prowadzi mnie schodami w dół i wskazuje na ostatnie drzwi po lewej stronie holu.

- Tutaj! - Przekreca gałkę i wchodzimy do środka. Jest tam wąska toaletka, ogromne łóżko, a w rogu biurko. Meble są sfatygowane, ale czyste. Całość wygląda schludnie.

- Dziękuję ci, chłopcze - mówię. - A jak będzie z płaceniem?

- Rachunek reguluje się przy zwalnianiu pokoju.

Co za ulga! Jeśli mi zabraknie gotówki, będę mogła pod koniec pobytu zlecić swojemu bankowi, żeby mi telegraficznie przesłał tu pieniądze.

- Do zobaczenia jutro! - żegna mnie chłopczyk i znika, biegnąc w stronę schodów.

Zamykam drzwi i przypatruję się swojemu odbiciu w wiszącym nad toaletką prostokątnym lustrze. Właśnie pada na nie światło księżyca. Wyglądam okropnie: we włosach tkwią jakieś liście i gałązki; fryzurę mam nienaturalnie napuszoną, trzykrotnie większą niż zwykle; niebieskie oczy, które zawsze uważałam za największy atut swojej urody, są przekrwione, a do bladych, piegowatych policzków tu i ówdzie przylega błoto.

Coś jest jednak nie tak... - myślę. Nie widzę na twarzy śladów krwi. Gdzie się podziała? Owszem, są draśnięcia i zadrapania, ale głębszych ran nie znajduję. I dzięki Bogu... Pewnie to, co czułam w ustach i uważałam za smak krwi, było kroplami deszczu. A może po prostu ugryzłam się w język? Jest też całkiem prawdopodobne, że połykałam własne łzy i stąd ten metaliczny posmak.

Wszystkie te sprawy są teraz bez znaczenia. Ważna jest tylko kąpiel i łóżko. W takiej właśnie kolejności. Otwieram wąskie drzwi łączące pokój z łazienką i widzę tam tylko prysznic. Nie ma wanny. Jestem rozczarowana, ale się zbytnio nie dziwię, bo przecież nic w tym dniu nie szło po mojej myśli. Pod gorący, buchający parą natrysk wchodzę w ubraniu. Dlaczego by nie? Przecież wszystko, co mam na sobie, trzeba uprać.

Muszę przyznać, że to, co mi się śni na samym początku drzemki, jest bardzo przykre; jak w kalejdoskopie przesuwają się jedne po drugich same złe wspomnienia: kraksa, moja siostra, Thom, kraksa... Z tego snu wyciągam naukę, że kiedy ktoś jest bardzo zmęczony, od razu zasypia, i że nic tak nie uleczy twojej duszy jak spokojnie przespana noc. Gdy się budzę, czuję się zadziwiająco dobrze jak na kobietę, która przeżyła katastrofę samolotu, a teraz próbuje uciec jak najdalej od swego dotychczasowego życia. Nie! Ja wcale nie uciekam, a tylko przeżywam swoją pierwszą prawdziwą przygodę.

Spodziewam się jednak i nie mogę się tej nadziei oprzeć, że Stacey wciąż jest w moim domu, czeka na mnie i się martwi. Może myśli, że zostałam porwana, i chce powiadomić policję. Na pewno żałuje, że spała z moim mężem i złamała mi serce. Choć oddając się tak miłemu fantazjowaniu, powinnam czuć w sobie jakieś ciepło, odnoszę wrażenie, że rośnie we mnie chłód.

Stacey nie wezwie policji i nie będzie mnie szukała. Jeszcze rok temu na pewno by tak postąpiła, ale nie dziś. Przecież nie zna teraz aż tak dobrze mojego życia, aby się dziwić, że mnie nie ma. Może pomyśli, że się zabawiam na jamajskiej plaży w towarzystwie jakiegoś napalonego młodzieńca albo że przebywam w dzikim i pierwotnym lesie deszczowym.

Słucham świergotu ptaków za oknem i dochodzą też do mnie dźwięki znad jeziora, którego brzegi leniwie omywają fale. Gdzieś gra radio.

Na górnej półce w łazience znajduję mały podrzędny komplet przyborów toaletowych. Jest tam szczotka i pasta do zębów, szampon i mleczko do pielęgnacji ciała. Niczego więcej mi nie trzeba. Biorę jeszcze jeden długi i gorący natrysk, a potem wkładam ubranie, które miałam na sobie wczoraj. Czarne spodnie już wyschły, ale zrobiły się dziwnie sztywne; taki sam los spotkał moje uprane sweterkowe bliźniaki.

Umyta i ubrana, gotowa jestem na spotkanie z przygodą. Zabieram swój aparat fotograficzny i opuszczam bezpieczną przystań, jaką jest pokój numer 1A; tak przynajmniej podaje tabliczka na drzwiach. Teraz udaję się na poszukiwanie kogoś, kto mnie zamelduje w hotelu. Jeśli się okaże, że chłopiec miał rację i mogę zapłacić za pokój dopiero pod koniec pobytu, będę szczęśliwa.



Hol tonie w słońcu, a w kominku trzaska ogień. W dziennym świetle wszystko wygląda inaczej: jasno i wyraziście, nawet zniszczone fotele kryte czerwoną skórą i kraciasta kanapka... Co więcej, udało mi się także dostrzec malutkie błyszczące romby wkomponowane w obudowę kominka. Natomiast recepcja, pozbawiona słonecznego światła, jest dla kontrastu przyćmiona i nieco szara. Wydaje się pewne, że w tej części świata o wszystkim decyduje światło. Robię kilka zdjęć holu, aby po powrocie włożyć je do albumu, a potem kieruję się w stronę drzwi.

Z oddali dochodzi do mnie piskliwy jęk jakiejś maszyny -piły łańcuchowej czy może kosiarki. Chwilę później słyszę odgłos kroków, jakby ktoś przechodził ścieżką i wszedł na taras. Drzwi się otwierają i zjawia się chłopiec, którego poznałam poprzedniego wieczoru. Teraz widzę, że jest młodszy, niż sądziłam; ma nie więcej niż osiem lub dziewięć lat, rozwichrzoną czarną czuprynę i piegi na policzkach. Długość jego rzęs wystarcza, by uznać, że chłopiec jest piękny. Ale przede wszystkim zwracam uwagę na jego smutne, jasnoniebieskie oczy.

Na mój widok chłopiec upuszcza młotek, który niósł w ręce.

- Witaj! - mówię z uśmiechem. - Miło mi znowu cię spotkać.

- Do licha! - wykrzykuje, krzyżując ramiona. Dobrze rozumiem mowę jego ciała. Tak samo się ostatnio zachowałam, kiedy spotkałam siostrę. Skrzyżowałam ręce, jakbym wierzyła, że ta podwójna warstwa mięśni i kości zdoła ochronić moje serce. - Myślałam, że pani już wyjechała.

Słyszę drzenie w jego głosie, co znamionuje samotność. Tak bywa wtedy, gdy lina cumująca twoją łódź się odwiąże i dryfujesz coraz dalej od brzegu. Znam to uczucie. Doznawałam go każdego dnia niemal przez cały

miniony rok. Właśnie dlatego znalazłam się tutaj i udaję, że nie mam już siostry.

- Jeśli to możliwe, chciałabym zatrzymać się tu na jakiś czas - mówię.

Nie zdążyłam nic więcej powiedzieć, bo nagle drzwi frontowe z hukiem się otworzyły i wszedł chudy jak wiór mężczyzna, z krótko obciętych czarnymi włosami, o ostrych rysach, zapadniętych oczach i wklęsłych policzkach, ocienionych ciemnym, kilkudniowym zarostem. Jego oczy wydały mi się dziwnie zielone i zbyt jasne w stosunku do surowej i ogorzałej twarzy. Nietrudno się domyślić, jaki musiał być kiedyś przystojny, zanim go ciężko doświadczył los. Dobrze wiem, jak się ten człowiek czuje. W minionych miesiącach nieraz myślałam, że chyba się moje kolory zmyły pod prysznicem lub spłowiąły od słońca, i wcale bym się nie zdziwiła, gdybym obudziwszy się któregoś rana, stwierdziła, że stałam się czarno-biała, choć świat dokoła pozostał kolorowy. Mężczyzna patrzy na chłopca, a mnie nawet nie zauważa.

- Co tu robisz, chłoptasiu? Przecież mieliśmy razem ścinać drzewa. - Ma głęboki i dźwięczny głos, którego brzmienie łagodzi nieco irlandzki akcent.

- Wpadłem tylko, żeby się napić coca-coli, i zastałem tu tę panią - wyjaśnia chłopiec, wskazując na mnie. - Ubiegłej nocy przydzieliłem jej pokój 1A i zameldowałem ją, tak jak to robiliśmy z mamą, kiedy hotel był czynny i zanim ty się tu zjawiłeś.

Mężczyzna zatrzymuje na mnie wzrok przez sekundę lub jeszcze krócej. Najwyraźniej zupełnie się mną nie interesuje.

- Gość? No cóż? Po prostu świetnie... - Ton jego ostatnich słów jest taki, że nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, jak ocenia sytuację.

Wcale mu się nie podoba, że się tu znalazłam. Na szczęście melodyjność irlandzkiego akcentu osłabia sarkazm wypowiedzi, choć i tak widzę, że chudzielec mnie ignoruje.

- Rozumiem, że dziwi pana moja obecność - mówię. -Przepraszam, ale gdy tu wczoraj dotarłam, było już bardzo późno. Jeśli to możliwe, chciałabym się zatrzymać na kilka dni.

Mężczyzna się schyla, by podnieść młotek, i choć dzieli nas pewna odległość, słyszę, jak przejmująco wzdycha.

- Wiem, Bobby, że wolałbyś, abym tego hotelu nie sprzedawał, ale jeden gość nie zmieni naszej sytuacji.

- Powiedziałeś, iż sprzedajesz ośrodek dlatego, że nikt się u nas nie zatrzymuje.

- Nie, tego nie powiedziałem.

- Ale ja kocham to miejsce! - wykrzykuje chłopiec. -Wiem też, jak się przydziela gościom pokoje i jak się prowadzi meldunki. Mama mnie tego nauczyła.

- Tak... oczywiście... - mniej już pewnym głosem bąka mężczyzna.

- Nie sprawię wam żadnego kłopotu - zapewniam.

Nagle ogarnie mnie lęk, że jeśli będę musiała stąd wyjechać, od razu wrócę do domu. Znam siebie. Nigdy sobie zbyt dobrze nie radziłam z przeciwnościami. Wolałabym jednak na razie nie wracać. Wiem, że czeka na mnie Stacey i że będę się musiała zajmować jej ślubem i jej dzieckiem, no i swoim złamanym sercem.

- Proszę mi pozwolić zostać tu przez kilka dni. Bardzo proszę. Potrzebuję wypoczynku...

- Ta pani zostaje! - oświadcza Bobby i wyzywająco patrzy na ojca.

Mężczyzna wbija wzrok w syna, a ja, widząc, jak się mierzą spojrzeniami, domyślam się, że tych dwoje straciło już umiejętność przebywania ze sobą.

- Powiedz tej pani - oznajmia ojciec - aby niczego ode mnie nie oczekiwała. Jestem zbyt zajęty, żeby zajmować się gośćmi.

Czuję wdzięczność wobec tego człowieka. Każdemu uciekinierowi potrzebny jest moment wytchnienia i ten obcy mężczyzna mi go ofiarował. Udzielił schronienia. Mogę tu zostać na jakiś czas, co pozwoli mi złapać oddech i zebrać dość sił i odwagi, by rozpocząć kolejny etap życia.

- Jestem panu naprawdę wdzięczna. Pan... nie wie... nie może wiedzieć... - Brak mi słów, nie umiem wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczy. Jeśli powiem wszystko, co czuję, facet gotów pomyśleć, że mam nie po kolei w głowie, i położy na mnie krzyżyk. - Jestem Joy - przedstawiam się.

- Mój tata ma na imię Daniel, a ja jestem Bobby - oświadcza chłopiec. Ojciec wygląda na poirytowanego.

- Idziemy, Bobby! Potrzebuję twojej pomocy przy wycince drzew nad jeziorem. Twoja mama całkiem to zaniedbała.

Bobby bez entuzjazmu przyłącza się do niego. Kiedy obaj są już w drzwiach, chłopiec się odwraca i patrzy na mnie. Potem bez słowa wychodzi z ojcem.

## 4

W ciszy, jaka potem nastąpiła, przychodzi olśnienie: A więc zostaję! Po raz pierwszy od lat mam prawdziwe wakacje i spędzam je w takiej niezwyklej, egzotycznej okolicy. Choć zaczęły się kiepsko, to, jak mówią szkolne dzieciaki: „teraz wszystko będzie dobrze”. W okresie świątecznym dostał mi się wspaniały prezent: czas.

Czas na to, aby pozbyć się bagażu, który tak bardzo mnie obciążał w minionym roku. Nie mam pojęcia, jak długo będę korzystała z owej taryfy ulgowej. Lepiej więc, żebym się postarała jak najlepiej spożytkować te darowane dni. Żadnego marudzenia, rozczulania się nad sobą czy płaczu. Solennie to sobie przyrzekam. Mam jednak zamiar nadal pozostać sobą: być tą samą starą, czy jak kto woli - młodą Joy Faith Candellaro, która wierzy w miłość, w małżeństwo i w bajki. Chcę być taką samą kobietą, jaką byłam dawniej. Ale tymczasem muszę poszukać czegoś do jedzenia, bo umieram z głodu.

Bez trudu udaje mi się znaleźć kuchnię. Jest mała, staroświecka i przypomina trochę kuchnię mojej mamy w domu, w którym dorastałam. Takie same żółte szafki, identyczna deska do krojenia chleba, srebrna zastawa i podłoga z dębowej klepki. W tutejszej kuchni panuje miła domowa atmosfera; zapach świeżo parzonej kawy sprawia, że zatęskniłam za jej smakiem. Muszę przyznać, że ta kawa pita na wakacjach smakuje mi o wiele lepiej niż kiedykolwiek w domu. To samo dotyczy obwarzanków i twarożku, które znalazłam w lodówce. Zaglądam do szuflady w szafce i szukam papieru do pisania i pióra. Jak wszystkie tego rodzaju szuflady ta też jest pełna rupieci. Są w niej karty do gry, spinacze biurowe, paragony ze

sklepów, wyrwane z czasopism kartki z przepisami kulinarnymi, czerwone markery, broszury turystyczne i wciśnięte w głąb szuflady pudełko z płytą DVD. Jest nowiutkie, jeszcze nieotwarte, i zawiera film *Straceni chłopcy* George'a Schumachera. Paragon przyklejony taśmą nosi datę sprzed trzech dni. A ja ten film kupiłam tydzień temu na wyprzedazy. Mamy więc podobnie dziwaczny gust, jeśli chodzi o sztukę filmową. Uśmiecham się na myśl o tym, że nieoczekiwanie coś nas łączy... Po chwili znajduję w szufladzie to, czego szukałam: blok papieru do pisania i pióro. Papier jest w niebieskie linie. Od razu notuję: jeden obwarzanek, łyżka stołowa twarożku i krem. W ten sposób pod koniec pobytu będę mogła obliczyć, ile mam zapłacić. Świat jest teraz, dzięki Bogu, skomputeryzowany i nawet tu, w samym środku głuszy, gdzie diabeł mówi dobranoc, pobranie gotówki w bankomacie zajmie mi najwyżej pięć minut.

Mam ochotę wezwać taksówkę i pojechać do miasta, ale nie teraz, bo najpierw chcę poznać miejsce, w którym tak nieoczekiwanie wylądowałam. Wpadam więc do mego pokoju, biorę aparat fotograficzny i wychodzę na dwór.

W pełnym świetle dnia uroda tego dzikiego zakątka budzi mój szczerzy podziw. Cała przyroda wygląda tu, jakby była świeżo uprana. Nasiąkłe mgłą powietrze rozmiękcza kontury roślin i drzew. Wszędzie jest mnóstwo wody; pryska spod stóp, gdy stąпам po trawie, skapuje z gałęzi i dachów, uderza falą w nabrzeże. Wilgoć działa na mnie odmładzająco. Czuję się jak podróżnik na pustyni, który nagle natrafił na cudowną oazę. Cały tutejszy świat jest przesłonięty woalem mgły: niczego się nie widzi przejrzyście ani precyzyjnie, ale to czyni go jeszcze piękniejszym. Bóg mi świadkiem, że w minionym roku aż nazbyt klarownie widziałam to, co działo się w moim

życiu. Teraz bardzo starannie dobieram obiekty, które mam fotografować, bo nie wiadomo, kiedy uda mi się zdobyć następny film.

W poszukiwaniu ujęcia rozglądam się dookoła i wybieram spacer w stronę jeziora. W jego wodach o szarawym odcieniu odbijają się płynące po niebie obłoki.

Nadbrzeżne tereny pokryte są drobnymi okruchami zielonkawego żwiru i pobłyskującymi ciemno, wypolerowanymi do połysku kamieniami. Srebrzy się drewniany, sterczący nad wodą pomost, a fale, igrając, uderzają o podpierające go słupy. Niedaleko stąd widzę plac zabaw i wspaniałe huśtawki, które teraz stoją opuszczone i tylko wiatr pobrzękuje ich łańcuchami. Nie dostrzegam tu żadnych innych domów. Jest tylko las, prastary, niemal pierwotny. Nigdy się z czymś podobnym nie zetknęłam.

Odwracam się i jeszcze raz spoglądam na zniszczony budynek ośrodka wędkarskiego. Z oddali wygląda raczej jak ciekawy obiekt niż ruina. Z artykułu, który o nim przeczytałam, wynika, że dom ma ponad sześćdziesiąt lat. Na zamieszczonych w czasopiśmie zdjęciach widać bawiące się na trawniku dzieci: jedne rzucają do siebie latającymi talerzami Frisbee, inne kręcą obręczami hula-hoop lub grają w badmintona czy krykieta. Nie wątpię też, że zgromadzone na przystani kajaki i łodzie były kiedyś w ciągłym użyciu.

Przez resztę dnia przyglądam się domkom kempingowym na tyłach ośrodka. Choć ich wygląd jest opłakany, wydają mi się interesujące. Gdyby je na nowo pomalować, odnowić podłogi, dobrze odczyścić wybielaczem, byłyby gotowe na przyjęcie gości. Stare okna z falistymi szybami i jasnymi klonowymi ramami, jak i wewnętrzne ściany z okorowanych bali są w doskonałym stanie.

Wszystko to fotografuję: pajęczyny inkrustowane kropelkami rosy jak paciorkami, łabędzie na jeziorze i chylące się ku ziemi domki kempingowe, pokryte mchem i zamieszkałe przez myszy. A przez cały czas łapię się na tym, że oczami duszy widzę to miejsce takie, jakie mogłoby być, gdyby... Swego czasu - a było to dziesięć lub dwanaście lat temu - marzyło mi się posiadanie pensjonatu, który oferowałby gościom pokoje ze śniadaniem. W ciągu tych lat zgromadziłam dziesiątki książek i setki artykułów informujących o tym, jak się taki pensjonat prowadzi. Wyobrażałam go sobie jako wiejski dom ze staromodnymi mosiężnymi łózkami, wielkimi pikowanymi puchowymi kołdrami i ręcznie malowanymi komodami z lustrem.

Kiedy tak stoję na przystani i patrzę w stronę jeziora, trzymając w ręce aparat fotograficzny, myślę o segregatorach w moim garażu i potencjalnych przygodach, jakie kryją w sobie ich gładkie, szare okładki.

Nie powinnam się zgodzić na to, by Thom wyrzucił te moje marzenia do garażu. Obecnie oceniam owo wydarzenie jako początek końca. Jeszcze wczoraj uświadomienie sobie tej prawdy doprowadziłoby mnie do łez, ale teraz tylko się uśmiecham. Po raz pierwszy od lat znowu oddaję się marzeniom i dobrze mi z tym.

Z zamyślenia wyrywa mnie jakiś dźwięk; żeby się zorientować, skąd pochodzi, powoli się odwracam i uważnie przyglądam okolicy. Okazuje się, że to Daniel wszedł na dach i przybija gonty. Każdy wbijany gwóźdź rozbrzmiewa własną melodią. Długo się wpatruję w ojca Bobby'ego, chcąc go zmusić siłą wzroku, żeby spojrzał w moją stronę. Ale na nic moje wysiłki, bo ten człowiek pracuje bez chwili przerwy jak maszyna albo ktoś, kto ma do spełnienia ważną misję.



W końcu rezygnuję i idę spacerkiem wzdłuż brzegu, potrącając stopą kamienie. Zauważyłam, że wszystko wokół jest porośnięte mchem, i dlatego odnoszę wrażenie, jakbym przebywała w krainie, o której zapomniał czas. Tu każdy liść jest ogromny, każde drzewo niebotyczne, każdy kamień omszały. Schylam się, żeby podnieść coś, co przypomina agat, kiedy nagle dolatują do moich uszu dziwne słowa wymawiane drżącym, dziecięcym głosem:

- Nie wiem... - mówi dziecko. - Być może...

Wchodzę do lasu, bo stamtąd dochodzi ten głos, i widzę Bobby'ego. Chłopiec klęczy na polance wśród zielonych wysokich drzew, sięgających nieba. Przez szczelną osłonę z gałęzi przebija się tylko jedna złota smuga światła. Leśna ściółka pod kolanami dziecka składa się z żółtawo-zielonego mchu i drobnych pierzastych paproci. Przed nim stoi wiejska ława zbita z grubych lśniących konarów. Przy tych olbrzymich drzewach dziecko wydaje się niezwykle małe.

- Jeszcze nie teraz... Nie odchódź - mówi, choć nikogo tu nie ma.

Słyszę drzenie w jego głosie i wzruszona robię krok w jego kierunku.

- Bobby?

Na dźwięk mego głosu chłopiec sztywnieje, ale nie patrzy w moją stronę i nie odzywa się.

Podchodzę jeszcze bliżej; odwracam się bokiem i usiłuję usiąść na ławie.

- Nie rób tego! - Bobby mnie powstrzymuje i odsuwa od ławki. - Jeszcze byś ją przysiadła...

W jego krzyku jest coś, co mrozi mi krew w żyłach. Zatrzymuję się w pół ruchu i pytam:

- O co chodzi, Bobby?

Wciąż jeszcze na klęczkach, chłopiec pochyla się do przodu.

- Teraz jest już dobrze. Ona odeszła. Możesz usiąść, jeśli chcesz.

Chłopiec jest bardzo załamany. Trudno uwierzyć, że to ten sam Bobby, który jeszcze wczoraj potrafił przeciwstawić się ojcu, żądając, by pozwolił mi zostać. Teraz podnosi z ziemi dwie leżące obok jego kolan figurki i każe im walczyć. Myślę, że wyobrażają one Dartha Vadera i Księcia Dooku\*. Sam pracuję w szkole średniej, więc świetnie się orientuję w młodzieżowej popkulturze. W końcu siadam spokojnie na ławie.

- Jak się czujesz, Bobby? - pytam.

- Dziękuję. Dobrze.

- Ale poznaję po twoim głosie, że chyba niezupełnie. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Boję się, abyś też nie pomyślała, że mam bzika.

- Dlaczego miałabym tak pomyśleć?

- Bo wszyscy tak uważają. - Nie przerywając rozmowy, Bobby manipuluje Darthem, by uderzył Dooku.

*\* Darth Vader i Księżę Dooku są postaciami z filmu Gwiezdne wojny.*

- Nie sądzę, by to była prawda... Patrzy mi w oczy.

- Nikt nie chce uwierzyć, że ją widzę...

- ... że kogo widzisz?

- Moją mamę - wyjaśnia po chwili milczenia. - Ona nie żyje.

Czuję się tak, jakbyśmy wypłynęli zbyt daleko od brzegu, a woda była bardzo zimna...

- Czy to właśnie do mamy mówiłaś, kiedy się tu zjawiłam?

Potakuje.

- Ale nie jestem wariatem - dodaje. - Wiem, że mama nie żyje i jest w niebie. Nieraz jednak ją widzę. Tata uważa, że ją sobie wymyśliłem, jak pana Patchesa.

- Pan Patches to twój zmyślony przyjaciel, prawda?

- Tak... ale to było dawno! - mówi z kpina w głosie. - Miałem wtedy nie więcej niż cztery lata. - Znowu wraca do swoich figurek i ustawia je tak, jakby miały ze sobą walczyć. - Mamy sobie nie wymyśliłem - zapewnia.

A ja przywołuję na pamięć katastrofę samolotu i tę późniejszą chwilę, kiedy mi się przywidziała moja matka. Złudzenie było tak przekonujące i nieodparte, że mu się poddałam bez zastrzeżeń, a przecież jestem osobą dorosłą. Natomiast chłopiec w jego wieku na pewno nie jest w stanie pojąć, jakie sztuczki może nam płatać nasz umysł. A może i serce.

- Powiem ci, Bobby - wyznaję chłopcu - że ja także, i to zaledwie dwa dni temu, widziałam moją matkę, choć ona już od dziesięciu lat nie żyje.

Bobby spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Naprawdę? Potakuję, dodając:

- Cały czas do niej mówię.

Chłopiec wydaje się rozważać moje słowa.

- A czy ona ci odpowiada? - pyta.

Zastanawiam się chwilę. Było parę takich pamiętnych, choć nielicznych okazji, kiedy czułam jej obecność.

- Czy mi odpowiada? Może tak... w jakiś sposób... Ale najważniejsze jest to, że po prostu wiem, co mogłaby mi powiedzieć.

Bobby znowu bawi się figurkami; chce, by ze sobą walczyły.

- On się cieszy, że mama nie żyje - wyznaje nagle.

- Kto?

- Mój tata.

Patrzę w stronę jeziora i choć nie widzę budynku ośrodka, to słysząc stukanie, wiem, że Daniel reperuje dach.

- I ja mam jeszcze udawać, że go lubię...

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Bobby wzrusza ramionami.

- Tata się rozwiódł z moją mamą, kiedy miałem cztery lata. Nawet go dobrze nie znałem. Zjawił się tu tylko dlatego, że mama nie żyje.

A więc chłopiec miał wtedy cztery lata - myślę. I dokładnie w tym momencie zjawił się w jego życiu pan Patches. Zaliczyłam na studiach wystarczająco dużo zajęć z psychologii dziecka, aby pewne sprawy kojarzyły mi się w sposób oczywisty. Zastanawiam się, jak powinnam zareagować. Rozmawiamy na poważne tematy dotyczące uczuć i choć może nie jest to odpowiednia pora, my, nauczyciele, wiemy, że ścisłe trzymanie się czasu nie zawsze bywa dobrze przyjmowane przez dzieci. Kiedy poruszają one jakiś drażliwy dla nich temat, najlepiej go kontynuować. Druga taka okazja może się już nie zdarzyć.

- Ale jednak tata jest tu z tobą. Prawda?

- Wielkie mi szczęście... - Bobby ściera z oczu łzy i odwraca się ode mnie. Jest zażenowany, że się zdradził ze swoimi emocjami.

Wiem, co czuje. Pamiętam, jak to było ze mną. Miałam osiem lat, kiedy tata nas opuścił. Całe lata czekałam na jego powrót. Zsuwam się z ławy i klękam obok Bobby'ego.

- Płacz dobrze ci zrobi - mówię cicho.

- Wiem, że dorośli tak sądzą, ale to nieprawda. Arnie Holtzner uważa, że tylko maluchy się mażą. I teraz wszyscy w szkole nazywają mnie mazgajem.

- Arnie Holtzner to dupek i na pewno nie będzie miał przyjaciół.

- Przeżywasz Arniego, używając brzydkich słów? - Bobby wydaje się zaszokowany moją wypowiedzią, choć jednocześnie na jego twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

- Wierz mi, że znam o wiele gorsze słowa - uspokajam go.

Chłopiec chwilę się we mnie wpatruje i widzę, że siłą woli powstrzymuje śmiech.

- Chciałabyś zobaczyć, jak gram? - pyta.

- Oczywiście - mówię i nie tylko zdobywam się na uśmiech, ale się wręcz śmieję. W tym obcym miejscu, na polance odległej o setki kilometrów od mego domu, czuję się zagubiona, a jednocześnie jakbym się w jakiś sposób odnalazła. Kucam, żeby mieć oczy na tym samym poziomie co figurki.

- No, Vader, oddaj cios! - polecam ściszym głosem.

Chociaż wieczorem od razu zasnęłam, obudziłam się w nocy oblana zimnym potem i nie mogłam złapać tchu. Nieustannie myślę o katastrofie, jaką przeżyłam, i mogłabym przysiąc, że te pyłki w moich oczach to popiół.

Staram się znowu zasnąć, ale nie mogę. Powróciły bóle głowy i klucie w piersiach. Wiem, że to nie są prawdziwe bóle, tylko fantomy, i odczuwam je dlatego, że mam złamane serce. A wszystko zaczęło się wtedy, gdy niespodziewanie wróciłam do domu i zastałam Stacey w objęciach Thoma.

Zrzucam kołdrę, wychodzę z łóżka i staję przy oknie. Na ciemnym niebie pojawiły się pierwsze różowe muśnięcia świtu. Ubieram się, biorę

aparat fotograficzny i wychodzę z pokoju. W pół drogi do holu słyszę jakiś głos i rozpoznaję miękki, śpiewny akcent Daniela. Spoglądam ukradkiem zza rogu. Mężczyzna stoi przy oknie i wpatruje się w jezioro. Jego czarna czupryna jest straszliwie potargana.

Po cichutku obchodzę Daniela bokiem, żeby sprawdzić, co go tak absorbuje.

Widzę Bobby'ego. Jest nad jeziorem i żywo gestykułuje. Mimo oddalenia i o tej wczesnej porze nikłego światła nie mam wątpliwości, że w pobliżu chłopca nikogo nie ma.

*Nieraz ją widuję* - przypomniały mi się jego słowa.

- Boże, zlituj się nad nami - słyszę łamiący się głos Daniela. Wiem, że się modli i prosi o pomoc Boga, a jednak odbieram te słowa, jakby były skierowane do mnie i w dziwny sposób do czegoś mnie zobowiązywały.

Daniel cicho klnie, po czym wychodzi z domu i kieruje się w stronę jeziora. Ostrożnie zbliżam się do okna, choć wiem, że i tak nie będę mogła ich stąd usłyszeć. Dochodzę do wniosku, że jeśli już mam podsłuchiwać, trzeba to zrobić jak należy. Opierając się na tym pozornie słusznym i logicznym wywodzie, a tak naprawdę z czystej ciekawości, wymykam się na dwór i staję w cieniu rozłożystego rododendronu, który wielkością przypomina volkswagena.

- Co ty, do diaska, wyrabiasz, Bobby? - słyszę wyrzuty Daniela. - Myślałem, żeśmy się już w tej sprawie porozumieli - dodaje.

- Nie możesz mi zakazać z nią rozmawiać - broni się chłopiec.

- Chyba wybierzemy się jutro do księdza Jamesa i on...

- Wracaj na swoją giełdę i dalej bądź maklerem. - Bobby wchodzi mu w słowo. - Nie chcę cię tutaj! - krzyczy; prześlizguje się obok ojca i biegnie do domu. Jest tak splakany, że nawet mnie nie dostrzega.

Daniel jeszcze jakiś czas stoi nad jeziorem i patrzy na wodę. A ja czuję, że nas dwoje łączy jakiś dziwny, intymny związek. Znalazłam się w pułapce. Nie mogę zaryzykować wyjścia z kryjówki, bo się boję, że mnie zobaczy.

W końcu Daniel się odwraca i rusza z powrotem, mrużąc coś pod nosem. Gdy wchodzi do domu, trzaska drzwiami tak mocno, że się same z hukiem otwierają.

Przez dłuższą chwilę pozostaję jeszcze w ukryciu, po czym wyłaniam się z cienia na poranny brzask jutrzejki. Spoza czarnych drzew i ołowianej tafli jeziora widać niebo zalane paletą barw: od fuksji i lawendy po neonowy blask pomarańczy.

Sięgam po aparat fotograficzny, nastawiam go i wybieram najlepsze ujęcie... Ale zanim zdążam uruchomić migawkę, fotografowanie przestaje mnie interesować. To, na czym mi w tej chwili zależy, nie może być nastawione na ostrość ani się nie mieści w zgrabnej ramce celownika. Bobby i Daniel mają poważny problem. Obaj zdają się tonąć w morzu poniesionych strat. Znam się na tych ciemnych wodach. Ktoś musi im rzucić kolo ratunkowe.

## 5

Znów jestem w kuchni. Czeka tu na mnie dzbanek kawy i talerz ulubionych naleśników z jagodami. Do listy należności za pobyt dopisuję filiżankę kawy i jeden naleśnik. Potem wychodzę z domu na poszukiwanie pamiątek z podróży. Zdjęcia, jakie zrobię, muszą być doskonałe; nie uznaję byle jakich.

Po różowym świcie nowy dzień przynosi zróżnicowaną, szarozółtą pogodę. Tam, gdzie przebiega szosa, jest chmurno i deszczowo, koło drzwi wejściowych - cieniście i wilgotno, a na dole, nad jeziorem - słonecznie.

Schodzę ścieżką i czuję, jak powietrze, nasiąkając mgłą, staje się coraz gęstsze. Każdemu krokowi towarzyszy śpiew ptaków. Ich trele wzbijają się pod niebo w regularnych odstępach, jakby ktoś odmierzał im czas.

Pstrykam kilka zdjęć: potem mój wzrok zatrzymuje się na placu zabaw. Zachwyca mnie oryginalna konstrukcja i ręczne wykonanie stojących tam huśtawek. Oprócz nich na placu jest zjeżdżalnia, a także drabinki do wspinania się.

Kiedyś obie, Stacey i ja, uwielbiałyśmy się huśtać. W naszym domu w Calabasas spędzałyśmy w ten sposób długie godziny, siedząc obok siebie lub bujając jedna drugą. Podchodzę teraz do jednego z tych urządzeń, delikatnie odkładam aparat fotograficzny, ścieram krople rosy z czarnego skórzanego siedzenia, siadam, przechylam się do tyłu i mocno odbijam nogami od ziemi. Unoszę się tak wysoko w powietrze, iż mam wrażenie, że fruвам. Napawam oczy widokiem nieba, które zmienia kolory: raz jest cytrynowożółte, to znów szare jak grafit.



- Huśtawka nie jest dla dorosłych - słyszę głos Bobby'ego. Żeby zahamować, wbijam stopy w miękkie błoto i huśtawka się zatrzymuje. Bobby stoi obok okorowanej belki rusztowania. Ma przekrwione od płaczu oczy. Odcisnięte w czasie snu na twarzy małe różowe linie układają się w kratkę. Kręcone włosy tu i ówdzie się zlepiają, tworząc proste kosmyki.

Czuję przemożną chęć wzięcia chłopca w ramiona i przytulenia, ale się opanowuję.

- Kto ci powiedział - pytam - że dorośli nie mogą się huścić?

Bobby patrzy na mnie i wyznaje, marszcząc brew:

- Nie wiem.

- Może pohuścisz się ze mną?

Chłopiec przez dłuższą chwilę milczy, a potem podchodzi do drugiej huśtawki, siada i odchyła się do tyłu.

- Macie tu wspaniały plac zabaw. Ktoś musiał się ciężko napracować, żeby to wszystko zrobić.

- To zrobił mój tata... tyle że dawno temu... Siedzimy obok siebie i huścimy się razem w górę i w dół.

Kłębiące się nad nami chmury łączą się ze sobą, by po chwili się rozproszyć i odpłynąć.

- Widzisz tę chmurę? - pytam, wznosząc się wysoko. -Tę ostro zakończoną? Co ci przypomina?

- Mamusię - odpowiada Bobby po namyśle. - Mamusia miała włosy takie puszyste jak ta chmura.

- A ja myślę, że ta chmura wygląda jak... hm... jak Zipperumpa-zoo.

- Co to takiego?

- Nie słyszałeś nigdy o profesorze Wormbogu i o tym, jak poszukiwał Zipperumpa-zoo?\*

Chłopiec przecząco kręci głową.

- Ojej! Kiedyś będę musiała ci tę historię opowiedzieć.

- Obiecuj, że to zrobisz.

- Słowo honoru!

Bobby nareszcie się uśmiecha, odchyła do tyłu i mocno odbija się nogami.

- A co powiesz o tamtej chmurce? - pyta. - Moim zdaniem wygląda jak pałeczka.

- A może raczej jak ciastko z kokosowym nadzieniem -sugeruję.

- Albo jak kapelusz Gandalfa\*\* - chichocze Bobby. Huśtamy się tak długo, że początkowe uczucie radości i lekkości na duszy zastępuje w pewnym momencie zawrót głowy. Zwalniam tempo i w milczeniu przyglądam się jezioru. Po chwili cisza, jaka zapadła, zaczyna się stawać kłopotliwa.

\* *Opowiadanie o profesorze Wormbogu napisała Mercer Mayer.*

\*\* *Gandalf -jeden z bohaterów powieści fantastycznych Tolkiena.*

- O, teraz jest odpowiednia pora - zaczynam - na opowiedzenie ci obiecaney historii. Może usiądziemy na trawie, dobrze?

- Muszę wracać do domu, bo mamy dziś spotkanie młodzieżowej grupy - wzdycha z żalem Bobby.

- Takie to dla ciebie przykre?

- Tak, bo na pewno będzie tam Arnie Holtzner, a także ksiądz James, który ciągle chce rozmawiać ze mną o mamie i przekonuje, że jeśli się będę modlił, to lepiej się poczuję. Jakby to w ogóle było możliwe...

- A ty nie wierzysz, że modlitwa ci pomoże?

- Przecież to Pan Bóg pozwolił jej umrzeć, prawda?

- Ach... - wzdycham współczująco. - Masz żal do Pana Boga?

- Nie. Tylko nie chcę się modlić - wyznaje Bobby, wzruszając ramionami.

Gromadzące się nad nami chmury przybierają stalowy kolor i zanim Bobby zdążył powiedzieć, że zaraz będzie padało, lunął ogromny deszcz. Śmiejąc się, biegniemy do domu. Otrząsam się z wody, ale to nie wystarcza, aby wysuszyć ubranie. Ściągam wilgotny sweter i wycieram chusteczką oczy.

- Muszę się wybrać do miasta, żeby kupić sobie jakieś nowe ciuszki... - oznajmiam.

- Najpierw zajrzyj do szafy w swoim pokoju - radzi Bobby. - Tam jest pudło pełne rzeczy, które nasi goście zostawili w hotelu. Mama je wszystkie przechowywała na wypadek, gdyby po nie wrócili.

- Naprawdę są tu takie rzeczy?

- Powinny być, chyba że tata je wyrzucił, bo on nie cierpi naszych staroci.

Od razu pędzę do pokoju i otwieram szafę. Rzeczywiście stoi w niej pudło z napisem: ZGUBIONE/ZNALEZIONE. W pudle pełno jest najrozmaitszych ubrań. Po dokładnym przejrzeniu wybieram czarną, wąską i prostą jak kij od miotły spódnicę, która trzyma się na gumce w pasie i sięga

mi niemal do kostek, sweter w kolorze kości słoniowej z dekoltem w łódeczkę oraz czarne podkolanówki.

W nowej garderobie wracam do holu. A tam czeka na mnie Bobby.

- Możemy się jeszcze pobawić - oznajmia.

- Myślałam, że się wybierasz na zebranie grupy młodzieżowej.

- Pójdę tam, ale dopiero po obiedzie. Teraz tata chce skończyć malowanie holu na górze. Bardzo mu zależy na sprzedaży domu i przeniesieniu się do Bostonu.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, słysząc, jak Bobby wymawia słowo „Boston”; zabrzmiało to jak „Bou-ston”.

- Nie podoba ci się to miasto?

- Wolę być tutaj. Lubię ten dom.

- Powiedziałeś o tym ojcu?

- A czy on mnie słucha...

- Może jeszcze z nim o tym porozmawiaj - radzę chłopcu, choć zdaję sobie sprawę, że z mojej strony to szczyt hipokryzji. Jak mogę, niczym „Droga Abby”\*, udzielać chłopcu takich rad, skoro sama uciekłam od siostry, gdy ta chciała ze mną porozmawiać. - Bo, widzisz, Bobby - tłumaczę - ze mną było podobnie. Moi rodzice się rozwiedli, gdy byłam mniej więcej w twoim wieku. Mama zabrała wówczas moją siostrę i mnie i wyruszyła na drugi koniec kraju, aby zacząć tam nowe życie. A mój ojciec... On po prostu pozwolił nam odejść. Nigdy więcej go nie widziałam.

- To możesz mówić o szczęściu.

- Naprawdę tak myślisz? - pytam, patrząc mu w oczy.

Na czole chłopca zarysowała się zmarszczka. Przez chwilę mam wrażenie, że Bobby chce mi coś powiedzieć, ale nie... Wstaje, podchodzi do

kominka i sięga po drewnianą skrzynkę, którą trzymał w palenisku. Wyjmuje z niej dwie figurki. Jedna wyobraża ubranego na biało Gandalfa z różdżką, a druga Samwise'a\*\* w pełnym rynsztunku.

- Zagrasz ze mną? - zwraca się do mnie.

Zdaję sobie sprawę, że chłopiec boi się mówić o tym, co czuje do ojca. Nikt go tak dobrze nie rozumie jak ja. Przecież uciekłam tu dlatego, by nie spojrzeć prawdzie w oczy.

Wyciągam szyję, żeby zajrzeć do skrzynki.

- Jest tam może Frodo?\*\*\*

*\* „Droga Abby” - tak adresują swoje listy do redakcji ci, którzy proszą o radę Abigail van Buren, znaną dziennikarkę, prowadzącą na lamach prasy kącik porad.*

*\*\* i \*\*\* Samwise i Frodo są podobnie jak Gandalf bohaterami powieści Tolkiena.*

- Tak, jest - chichocze Bobby. - Będziemy udawali, że ma pierścień.

Całe przedpołudnie siedzimy z Bobbym na podłodze w salonie i walczymy o to, by się przebić przez Krainę Ciemności - Mordor\* i wejść na strome kamienne ściany Góry Przeznaczenia\*\*. Muszę przyznać, że nie pamiętam, kiedy się tak dobrze bawiłam. Wygadujemy głupstwa i śmiejemy się do rozpuku.

Około południa schodzi na dół Daniel. Mija nas cały w plamach od farby, niesie dwa pędzle i wiadro.

*\* i \*\* Mordor i Góra Przeznaczenia (Mount Doom) są pojęciami Tolkienowskimi.*

- No, Bobby! - woła. - Już czas zbierać się na spotkanie grupy młodzieżowej.

- Nie chce mi się.

- To bardzo nieładnie z twojej strony. Rusz się! - Daniel otwiera drzwi frontowe i składa swoje przybory na podłodze. - Idziemy, synu, ale może najpierw zjemy obiad w restauracji.

- A mogłaby Joy...

- Nie!

Bobby rzuca mi spojrzenie, które mówi: „sama widzisz”, i wstaje z okrzykiem:

- Już idę, Wasza Wysokość!

Powstrzymuję się, aby nie parsknąć śmiechem. Zastanawia mnie, że Bobby wyraził swój bunt w tak delikatnej formie. Ja w jego wieku odezwałabym się do ojca znacznie ostrzej niż „Wasza Wysokość”.

- Do zobaczenia! - wołam za nimi, siedząc na podłodze. Chłopiec odwraca się i patrzy tęsknie w moją stronę.

- Graj dalej, jeśli chcesz - mówi. - Możesz nawet zostać Frodem.

- Poczekam na ciebie - odpowiadam.

Daniel wyprowadza syna i po paru minutach słyszę, że uruchamia silnik i odjeżdża. Znow zapada cisza. Zastanawiam się, co teraz robić. Mogłabym pójść do miasta, by kupić sobie jakieś ciuszki, nowy film do aparatu i coś do jedzenia. A może lepiej wybrać się na spacer do lasu albo wypożyczyć kajak i popływać po jeziorze. Najchętniej bym się trochę zdrzemnęła, gdyż mam za sobą ciężką noc, pełną sennych koszmarów.

Zamykam oczy. Jakie to wspaniałe uczucie: wylegiwać się na miękkim wełnianym dywanie, grzać się ciepłem dogasającego na kominku ognia i wsłuchiwać w ciszę.

Zasypiam i śni mi się, że leżę na dmuchanym materacu, kołysana przez fale na jeziorze Curran. Słońce mocno grzeje i świeci tak ostro, że oczy bołą, ilekroć unoszę powieki. Słyszę, że obok mnie ludzie pluskają się w wodzie, ale ponad wszystkie dźwięki uparcie przebija się jeden: to głos mojej siostry, która raz za razem powtarza „przepraszam cię”. Wiem, że Stacey chce, abym się obudziła, wzięła ją za rękę i powiedziała, że wszystko jest okej. Ale tak nie jest, bo przecież złamała mi serce. Słyszę też we śnie moją mamę, która każe mi się obudzić. Jestem pewna, że i ona pragnie, abym wybaczyła siostrze. Mam zamiar im obu oznajmić, że nie mogę tego uczynić. Lecz przychodzi odpływ i uniesiona falą znajduję się nagle zupełnie sama na wodach oceanu. Potem widzę siebie w dzieciennym łódeczku i wreszcie w białym pokoju.

- Czy to mają być żarty? - Te słowa wyrywają mnie ze snu. Z wielkim wysiłkiem otwieram oczy. Spodziewam się, że zobaczę niebieską i oświetloną słońcem wodę, tymczasem widzę zielony dywan, drewniane klepki parkietu i kanapkę w kratę.

Jestem w salonie hotelu dla wędkarzy. Zasnąłam, leżąc na podłodze. Mrużę oczy, próbuję się skupić i podnoszę się na kolana. W recepcji spostrzegam Daniela. Chodzi tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon.

- Co ksiądz rozumie przez to, że się pobili? Zamieniam się w słuch i przysiadam na piętach.

- Przecież on ma dopiero osiem lat - mówi Daniel, a potem klnie pod nosem. - Przepraszam, ale czy ksiądz myśli, że nie próbowałem? Niestety, Bobby przechodzi teraz taki okres, że uważa Pana Boga za swego wroga.

Powoli dźwigam się na nogi i staję przy kominku. Daniel jeszcze mnie nie zauważył, ale wiem, iż nie będzie zadowolony, kiedy zobaczy, że tu jestem. Źle toleruje moją obecność w tym domu, a co by to było, gdyby mnie złapał na podsłuchiwanie jego prywatnych rozmów! Nie mogę jednak ruszyć się z miejsca. Daniel wygląda, jakby był... Trudno mi znaleźć odpowiednie określenie - nie zły czy zmartwiony... ale zraniony.

- Tak - rzuca do słuchawki po chwili milczenia i dodaje: - Zaraz tam będę. - Odstawia telefon, rzuca brzydkie słowo, przeciąga ręką po włosach i odwraca się w stronę salonu. A ja stoję tam, jakby mnie zamurowało, i wpatruję się w niego.

- Przepraszam - mówię, unosząc dłonie.

- Tylko tego mi było trzeba... - słyszę.

- Siedziałam na podłodze, nie miałam zamiaru podsłuchiwać - tłumaczę się.

Daniel prześlizguje się po mnie spojrzeniem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że nie mam tu czego szukać. Potem na moment zatrzymuje wzrok na fotografiach stojących na półce nad kominkiem. Raz jeszcze klnie i jak burza wylatuje z domu, trzaskając drzwiami. Po chwili dochodzi z zewnątrz warkot silnika i chrzęst kół na mokrym żwirze. Dopiero wtedy odzyskuję zdolność poruszania się. Podchodzę do półki nad kominkiem i biorę do ręki jedną ze stojących tam rodzinnych fotografii. Na zdjęciu Bobby jest pucołowatym niemowlakiem w niebieskim kombinezonie, a



Daniel, uśmiechając się promiennie, tuli w objęciach piękną, ciemnowłosą kobietę. W ich oczach widać niekłamana miłość.

Nie dziwię się, że Daniel jest w stosunku do mnie niegrzeczny. I on, i Bobby przeżywają teraz trudny okres i przeszkadza im obecność nieproszonego świadka.

Następne pół godziny spędzam w kuchni i zajmuję się przygotowaniem obiadu. Potem zmywam naczynia. Skończywszy robotę, wracam do swego pokoju i zabieram się do prania. Uprane rzeczy wieszam na ramieniu prysznicza, po czym schodzę do holu.

Ogień na kominku już dogasa. Staję przed paleniskiem i ostatkami ciepła ogrzewam dłonie. Tak zastają mnie Daniel i Bobby, powracający ze spotkania w kościele.

Pierwszy wchodzi Bobby. Robi wrażenie bardzo przygnębionego.

- Cześć, Joy - wita mnie i dodaje: - Tata powiedział, że za karę nie wolno mi przez dwa dni grać w żadne gry. Ale przecież to nie ja zacząłem...

Odwracam się i obserwuję ich obu.

Daniel zasiadł w fotelu naprzeciw mnie i patrzy na Bobby'ego w taki sposób, że nie mam wątpliwości, iż w walce, jaką sprowokował jego syn, ojciec został równie mocno okaleczony jak sprawca. Nie wygląda jednak na zirytowanego, raczej na smutnego.

- To sprawa rodzinna - zwraca chłopcu uwagę, kładąc nacisk na słowo: rodzinna. - Nie rozmawiaj o tym z Joy, tylko ze mną.

Zamknij się, Joy! Nie odzywaj się! - nakazuję sobie. Ale nie mogę tego wewnętrznego głosu posłuchać. Daniel nie miał bliskiego kontaktu z synem przez kilka lat. Być może w ogóle nie miał w tym czasie do czynienia z dziećmi.

- Dzieciom często się zdarza uczestniczyć w bójkach -wtrącam się najdelikatniej jak potrafię. - Pracuję z dziećmi, jestem bibliotekarką w szkole średniej, więc możecie mi wierzyć, że sporo na ten temat wiem.

- A mój tata nic na ten temat nie wie - mówi Bobby, ukradkiem się do mnie zbliżając.

- O czym to niby nie wiem? - pyta zirytowany Daniel. Patrzy na nas, na Bobby'ego i na mnie. I wcale mu nie jest do śmiechu.

- Ciebie na pewno nikt nigdy w szkole nie pobił - zauważa Bobby dziwnie drżącym głosem. Po tym drzeniu poznaję, jak bardzo chłopiec nie chciałby zawieść oczekiwania ojca.

Ze zdziwieniem widzę, że Daniel się uśmiecha.

- Kiedy byłem chłopcem i mieszkałem w Dublinie, miałem mnóstwo siniaków po bójkach... - zwierza się.

- Naprawdę?

- Tak, i mogę ci powiedzieć, że dostawałem nawet kopa w tyłek. Mój tata też mi nieraz przyłożył. Lubił mawiać, że nie zamierza mnie wychować na maminsynka. Ale zapewniam cię, Bobby, iż nie ma nic złego w tym - dodał już bez uśmiechu - że jest się maminsynkiem. Choć twoja mama kochała cię może zbyt żywiołowo.

- Wiem - szepcze chłopiec.

- Niemniej na pewno by nie chciała, żebyś się bil na spotkaniu grupy młodzieżowej w kościele.

- Wiem - powtarza Bobby.

Chciałam wystąpić z jakąś wspaniałą radą, która by zmieniła ich życie i pozwoliła zbliżyć się do siebie, ale zdałam sobie sprawę, że nie mam prawa się wtrącać. Zapadło długie milczenie. W końcu przerywa je Daniel.

- Lepiej zrobię - mówi, wstając - jak pójdę popracować. Muszę odnowić sypialnię na górze. Nikt nie kupi tego domu w takim stanie. Pójdiesz ze mną? - zwraca się do syna.

- Nie - odpowiada Bobby. - Chciałbym pokazać Joy moje groty.

W oczach Daniela pojawia się błysk gniewu, ale po chwili znika.

- No, dobrze. Będę więc musiał pracować sam. - Nie rzuca już synowi żadnego spojrzenia; wychodzi z holu i rusza na górę.

- Nie jesteś zbyt miły dla ojca - oznajmiam po wyjściu Daniela.

- On dla mnie też nie jest miły - odpiera Bobby. Odgarnia spadające na czoło włosy, odsłaniając ogromny fioletowy siniak nad okiem. - Dostałem od ojca burę za to, że się biłem, a to wcale nie była moja wina...

Mam ochotę uściskać chłopca, ale on nie wydaje się żądny pocieszenia. Pytam więc o przebieg bójki.

- A w jakim stanie jest ten drugi chłopak?

- Nie trafiłem go - żali się Bobby - choć tak bardzo chciałem go uderzyć. Byłem taki wściekły...

- No i co?

Ramiona Bobby'ego opadły. Czuł się przegrany.

- To Arnie Holtzner tak mi przywalił...

- Co? Ten dupek? Z jakiej racji?

- Bo jestem mazgajem.

- Nie jesteś mazgajem, Bobby. Jesteś bardzo dzielnym chłopcem.

- Chciałbym...

- Opowiedz mi, od czego się to zaczęło.

- Robiliśmy ozdoby na choinkę, używając do tego kulek z waty, różnych kólek, słomek... W pewnym momencie powiedziałem na głos, że

nie mam ochoty tego robić, a kiedy Arnie spytał, dlaczego, odparłem, że to robota głupiego, a on wtedy - że sam jestem głupi. Kiedy krzyknąłem, że to nieprawda, Arnie szarpnął mnie bardzo mocno za rękę.

Korci mnie, żeby nazwać Holtznera skończonym bydlakiem, ale się wstrzymuję.

- A właściwie dlaczego nie chciałeś robić tych ozdób? -dociekam.

- Bo przecież my nie będziemy mieli drzewka na święta -wyjaśnia załamany głosem i spojrzawszy na drzwi, które ojciec właśnie za sobą zatrzasnął, dodaje: - Moja mama nigdy by o Bożym Narodzeniu nie zapomniała.

Wiem, że należałoby zamknąć buzię na kłódkę, ale kiedy spoglądam na tego posiniaczonego chłopca, budzi się we mnie jakaś siła, której nie potrafię się przeciwstawić.

- Nigdy nic nie wiadomo, Bobby - zapewniam go. - Boże Narodzenie ma w sobie tyle magii...

Resztę popołudnia spędzam z Bobbym przy grach planszowych, oglądamy też film o Kubusiu Puchatku. Przez cały czas słyszę, jak Daniel krząta się na górze: przybija coś młotkiem, piaskuje podłogi i chodzi z pokoju do pokoju.

Wprawdzie powtarzam sobie, że mam się nie wtrącać w ich rodzinne sprawy, ale ta przestroga pozostaje tylko pustym dźwiękiem.

Daniel i jego syn potrzebują mojej pomocy i powinni ją otrzymać zwłaszcza teraz, w okresie Bożego Narodzenia. Bo chociaż we własnym domu zabrakło mi zapachu, by urządzić święta, nie mogę pozwolić, by go stracił taki mały chłopiec jak Bobby. Powiem więcej: przeżywam teraz

pierwszą prawdziwą przygodę, a jakąż by ona miała wartość, gdybym lekceważyła potrzeby innych!

- Jeszcze ze mną zagraj - prosi Bobby, sięgając po planszę. Śmiech mnie ogarnia. Mam za sobą trzy rundy *Candy Land* i uważam, że nikt przy zdrowych zmysłach nie może oczekiwać od dorosłego człowieka, by dłużej tak się męczył. Jednocześnie muszę przyznać, że Bobby nie tylko wyciągał za mnie karty, ale także przedstawiał moje figury, więc się zbytnio w tę zabawę nie angażowałam.

- Dłużej nie mogę, Bobby! - mówię. - Może byśmy się zajęli czymś innym?

- Już wiem! - Bobby zrywa się i pędzi na piętro. Chwilę później wraca, trzymając w ręce ceramiczny pojemnik pełen kamieni. - To moja kolekcja - oświadcza i usiadłszy na podłodze, z rozmachem opróżnia zawartość słoja. Kamienie rozsypują się dookoła. Oprócz dziesiątków ładnych kamyków dostrzegam również kilka grotów strzał, a także wygładzone przez wodę morską kolorowe kawałki szkła, które ubarwiają zbiór.

- Ale piękne... - zachwycom się i przyklekam obok chłopca.

Bobby demonstruje mi jeden kamień po drugim. Każdy ma swoją historię. Są tam agaty, kamienie znalezione w piasku po odpływie morza i ciekawe groty strzał. Chłopiec opowiada o nich bardzo szybko, wyrzucając z siebie słowa niczym karabin maszynowy.

- Ten kamień mamusia znalazła nad rzeką. Ten był na plaży, ukryty pod kłodą. A ten ja sam wykopałem. - Kończąc, przysiada na piętach. Po chwili słyszę: - Mamusia zawsze mi obiecywała, że znajdzie mi kiedyś biały grot. - I głos mu się nagle łamie.

- Mówisz, że mama ci to obiecała?

- Tak. Wierzyła, że razem go znajdziemy.

Aby zmienić temat, pytam:

- A co w twoim zbiorze robi ten pieniążek?

- Nic - burczy i nawet nie chce spojrzeć w tę stronę. Jestem przekonana, że coś się w tym jego nic kryje.

- Naprawdę? - nalegam. - Chyba nie znalazł się tu bez powodu, skoro każdy z pozostałych eksponatów czymś się wyróżnia.

W końcu Bobby sięga po tę najzwyklejszą, zdawałoby się, pięciocentówkę i wyznaje:

- Dostałem ją od taty, kiedy byliśmy na dorocznym jarmarku, urządzanym w naszym hrabstwie. Tato dał mi dolara na lody i pozwolił zachować resztę.

- A co powiesz o tym niebieskim guziku?

Po chwili milczenia chłopiec wyjaśnia z pewnym wzruszeniem:

- Ten guzik pochodzi z roboczego ubrania taty. Odpadł, kiedy tata bawił się ze mną w helikopter. Ja... - zaczyna, ale nie kończy zdania, wrzuca guzik i pieniążek do pojemnika, a po chwili z brzękiem wsypuje do niego wszystkie kamienie i groty leżące na podłodze.

Odgarniam mu włosy z czoła, ale tak jest pochłonięty swoimi skarbami, że chyba nie zauważa mojego dotyku. Odnoszę wrażenie, że chłopiec jest nie tylko z zewnątrz posiniaczony, ale że ucierpiała także jego dusza. To biedne, zagubione dziecko wzrusza mnie do głębi.

- Może chciałbyś, żebym ci przeczytała jakieś opowiadanie?

- Mogłabyś? Naprawdę? - pyta i uśmiech rozpromienia mu twarz.

- Ależ tak, oczywiście. Nie sądzę, żebyś miał tę książeczkę, o której ci już wspominałam: *Profesor Wormbog i poszukiwanie Zipperumpa-zoo*. Pamiętasz?

- Tej nie mam, ale dam ci inną, tę, którą mi zawsze czytała mama. - W jego głosie niespodziewanie pojawia się leciutki ton radości i jakby nadziei, co u mnie wywołuje uśmiech.

- Dobrze, przynieś ją. - I dodaję: - A jeśli masz jakieś opowiadanie o przygodach doktora Seussa\*, to także weź je ze sobą.

Bobby biegnie na górę i po chwili słyszę nad głową jego szybkie kroki oraz trzaskanie drzwiami. Niemal natychmiast wraca, trzymając w ręce dwie książeczki.

\* *Autorem serii kilkudziesięciu opowiadań o doktorze Seussie jest Theodor Seuss Geisel.*

- Znalazłem je! - krzyczy z takim triumfem, jakby to była co najmniej jakaś upolowana przez niego zdobycz.

Rozsiadam się na kanapce, chłopiec tuż obok mnie i podaje mi niewielką książeczkę w ładnej, niebieskiej oprawie. Okazuje się, że to disnejowska, filmowa wersja *Pięknej i bestii*. Ostrożnie ją otwieram i rozkładam na naszych kolanach.

- Dawno, dawno temu - zaczynam - w dalekiej krainie istniało cudowne królestwo, w którym niemal wszystko było doskonałe.

Bajka przenosi nas w takie miejsce, gdzie talerze i świeczniki stają się najlepszymi przyjaciółmi chłopca, a bestia przemienia się w księcia. Zatracam się w tej bajce i odnajduję na nowo. Ostatnimi laty coraz większą rolę w mojej pracy zaczęły odgrywać komputery, nowoczesna technologia i

serfowanie w Internecie. W rezultacie zdążyłam już zapomnieć, dlaczego w ogóle zostałam bibliotekarką. Wybrałam ten zawód z miłości do książek i do czytania. Nic nie sprawia szkolnemu bibliotekarzowi tyle radości, ile możliwość dzielenia z dziećmi jego uwielbienia dla drukowanego słowa.

Kiedy zamykam książkę, Bobby patrzy na mnie cały rozpromieniony i podskakując na kanapce, prosi:

- Jeszcze, jeszcze...

Odkładam *Piękną i bestię*, po czym biorę książeczkę w jasnopomarańczowej okładce. Jest to jedna z długiej serii opowieści o doktorze Seussie.

- Teraz przyszła kolej na ciebie, Bobby - mówię. - Czytaj!

- Nie umiem czytać - oznajmia chłopiec i jego usta zaciskają się bardzo mocno.

- Nie opowiadaj... - Otwieram książkę, wskazuję pierwsze zdanie i zaczynam: „Na imię mi Sam”, po czym czekam, by Bobby podjął czytanie, ale cisza się przedłuża. W końcu chłopiec patrzy na mnie prowokująco i pyta:

- O co ci chodzi?

- Czekam na ciebie, chłopcze. Teraz twoja kolej. Czytaj!

- Głucha jesteś? - złości się. - Przecież mówiłem, że nie umiem.

- Może spróbujesz przeczytać tylko pierwsze słowo? - proponuję, marszcząc brwi.

Patrzy na mnie, wysuwa podbródek.

- Nie! - oświadcza.

- Spróbuj! Tylko pierwsze słowo.

- Nie!



- Proszę.

Czuje, że chłopiec się poddaje. Siedzi oklapnięty, wzdycha, wpatruje się w książkę, mruży oczy i czyta: „Na... ”, po czym zaraz dodaje:

- To tylko dwie litery, nic wielkiego...

- Ale to jednak słowo - mówię.

Widzę, że chłopiec wygląda na przestraszonego.

- Nie potrafię - wyznaje głosem cichym jak szept. - Arnie twierdzi, że jestem głupi.

- Ależ potrafisz! Nie bój się! Pomogę ci. - Z uśmiechem przypominam:

- Przecież wiesz, jakie mam zdanie o Arniem.

Bobby usilnie się stara, aby przeczytać następne słowa, choć idzie mu to z trudem. Kiedy się zacina, oferuję chłopcu niewielką pomoc i zachętę.

- S... a... m? - duka i patrzy na mnie z uwagą: - Sam?

- Dobrze! - chwale. - Na pewno przeczytasz całą stronę.

- Tak, ale to książeczka dla małych dzieci - mówi. Niemniej na jego ustach pojawia się uśmiech.

- Małe dziecko nie potrafiłoby przeczytać całego zdania:

„Na imię mi Sam”. Jedynie duzi chłopcy nie mają z tym kłopotu.

Odwracam stronę. Kiedy doszliśmy do „Zielonych jaj i szynki”, Bobby przestał się denerwować. Wprawdzie zajęło mu to sporo czasu, zdołał jednak przesylabizować historyjkę do końca.

- Przeczytałem książkę! - oznajmia z dumą i radością.

- Bardzo dobrze się spisałeś - przyznaję i delikatnie sugeruję: - Może mógłbyś poprosić tatę o pomoc?

- Nie. Słyszałem, jak mówił mojemu nauczycielowi, że mnie jest potrzebny korepetytor. A wiadomo, że korepetytor to ktoś, kto pomaga głupim dzieciom.

- Nieprawda. Pracując w szkolnej bibliotece, stale pomagam dzieciom, choć wcale nie są głupie.

- Naprawdę?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo rozległ się odgłos kroków Daniela. Oboje z Bobbym spojrzeliśmy w stronę schodów.

- Zbieraj się, synu! - poleca mężczyzna głosem, w którym wyczuwa się zmęczenie. - Idziemy do miasta i tam zjemy kolację.

- A czy Joy nie mogłaby pójść z nami?

- Nie!

Bezceremonialność tej odmowy rani moje uczucia. Może mogłaby się nawet wydać śmieszna, gdyby nie wyraz twarzy Daniela, gdy usłyszał pytanie syna. Zrozumiałam, że ten mężczyzna jest o mnie zazdrosny, zazdrosny o to, że Bobby woli być ze mną... Wiem coś niecoś o zazdrości. Wiem, jak głęboko, niemal do kości, potrafi zranić, a także wzbudzić drzemiące w nas najgorsze instynkty. Ale zazdrość jest też oznaką miłości.

- Spróbuj z nim porozmawiać - podpowiadam Bobby'emu i od razu zdaję sobie sprawę, że na ironię zakrawa fakt, iż takiej rady udziela mu osoba, która sama uciekła na drugi koniec kraju po to, aby uniknąć rozmowy ze swoją siostrą. Że też się jeszcze ośmielam radzić innym, aby spróbowali...

- Pospiesz się, Bobby! - ponagla ojciec. - W dni weekendowe może zabraknąć pieczeni rzymskiej, a przecież to twoja ulubiona potrawa.

- Wcale nie! - protestuje Bobby. - Moja ulubiona potrawa to pizza. - Ze smutną miną i opuszczonymi ramionami rusza w stronę ojca.

Daniel się krzywi i rzuca przez zaciśnięte zęby:

- Idziemy...

Wyszli, a ja siedzę na kanapce i wpatruję się w gasnący na kominku ogień. Deszcz stuka o dach i spada srebrnymi paciorkami na szyby, zamazując obraz świata. Nie obchodzi mnie rzeczywistość za oknami, bo to, na czym mi w tej chwili naprawdę zależy, jest blisko: dokładnie tu, w tym domu. Muszę coś zrobić, żeby pomóc Bobby'emu i Danielowi. Ale co?

Tej nocy miałam trudności z zaśnięciem. Zbyt wiele myśli chodzi mi po głowie. Sen przychodzi i odchodzi. Często prześladują mnie koszmary. Widzę Thoma, moją siostrę i zaproszenie na ślub, jakie mi wręczyła. Wraca też widmo katastrofy lotniczej.

Ale kiedy w końcu nadchodzi świt i puka w okno mego małego pokoju, pozostaje mi już tylko jedno strapienie. Martwię się o to, jakie święta Bożego Narodzenia będzie miał Bobby.

W odróżnieniu od spraw dotyczących mego życia ten problem umiem rozwiązać i niejedno mogę dla tego chłopca zrobić. Wierzę, że potrafię zmienić jego życie na lepsze, i może za ten prosty akt pomocy drugiemu człowiekowi ktoś i mnie kiedyś pomoże.

Biorę szybki prysznic, przebieram się w „nowe” ciuchy i przechodzę do holu.

Tak jak się spodziewałam, Daniel jest już na dworze i pracuje pełną parą: wsiadł na traktor i wywozi ścięte drzewa z terenu wokół jeziora. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że będzie tam pracował do wieczora. Mam więc sporo czasu.

Biegnę na górę prosto do pokoju chłopca. Zastaję go w łóżku.

- Zbudź się, Bobby.

- Joy?
- Mam pewien plan.
- O co chodzi? - pyta, przecierając oczy.
- O tajną misję.

Bobby aż siada z wrażenia.

- ... Że niby jesteśmy szpiegami. Tak?
- Dokładnie tak.

Chłopiec natychmiast zrzuca kołdrę i wyskakuje z łóżka. W piżamie z podobizną Spidermana i zwichrzoną czupryną wygląda bardzo dziecinnie.

- Spotkamy się na dole - mówię i sprawdzam zegarek. - Teraz jest dziewiąta zero siedem. Masz pięć minut albo nasza misja weźmie w łeb. Nie zapomnij umyć zębów!

Bobby chichocze. Ja też ze śmiechem idę do drzwi. W cztery minuty później chłopiec zbiega ze schodów i melduje się na dole. Wygląda jak szczeniak bernardyna: nic tylko łapy i wylewność uczuć...

- Zdążyłem?

- Co do minuty. A teraz, agencie 001, musimy zachowywać się cicho i ostrożnie.

Chłopiec potakuje z poważną miną.

Wychodzimy na dwór. Ja prowadzę. Poruszamy się ostrożnie, bo nie chcemy, żeby nas dostrzegł Daniel. Prawdę mówiąc, wcale nam to nie grozi, bo ojciec Bobby'ego zajęty jest ścinaniem drzew, a my znajdujemy się poza zasięgiem jego wzroku...

Udajemy się do miejsca, gdzie wczoraj pracował Daniel. Leży tam co najmniej tuzin młodych jodełek czekających na to, by je porąbano na opał.

- Hm... - powiadam i wskazującym palcem postukuję w brodę. - Jak myślisz, które z tych drzewek powinno znaleźć się u ciebie na Boże Narodzenie?

- Wstawimy choinkę do mieszkania? - pyta Bobby i aż sapie z wrażenia.

- Tak. To właśnie zrobimy.

- Mojemu tacie ten pomysł się nie spodoba.

- Zostaw to mnie. Już ja się zajmę twoim ojcem... - Popisuję się brawurą, choć wcale nie jestem taka odważna.

- Zgoda, tajny agencie Joy - mówi Bobby i chichocze.

- Pst - uciszam go. - Nie możesz wymawiać głośno mego imienia.

Chłopiec przyciska dłoń do ust i wskazuje na nieco smutne i cherlawe drzewko: i to właśnie zaciągamy do domu. Poruszamy się szybko i cicho, a gdy już jesteśmy na miejscu, Bobby biegnie na górę i wraca z czerwonym pudłem, na którego wieczku ktoś wymalował poinsecję i w którym od lat przechowywali z mamą choinkowe lampki. Chłopiec kilka razy biegał tam i z powrotem, aż zgromadził na dole cztery pudła świątecznych ozdób; przyniósł też kamienny stojak na drzewko. Co najmniej dwadzieścia minut zajęło nam umocowanie w nim choinki, a potem ustawienie jej w holu. Okazałam się marną pomocnicą, co na pewno nie zdziwiłoby mojej siostry, ale Bobby'ego pobudziło do śmiechu. Oboje żartowaliśmy z własnej niekompetencji i wzajemnie się uciszaliśmy. Co parę minut podchodziliśmy do okna, aby sprawdzić, czy Daniel wciąż jeszcze pracuje na dworze.

Dopiero kiedy stanęłam w pewnej odległości od drzewka i mogłam je podziwiać w całej krasie - przyszła refleksja. Nagle ogarnęło mnie szarpiące poczucie straty i tęsknoty. Nie mogłam zapobiec nawrotowi wspomnień i

zaczęłam sobie przypominać, jak to dawniej przeżywałyśmy ze Stacey ową magiczną porę, jaką jest Boże Narodzenie. Kiedyś siostra oddała mi lalkę, którą dostała od świętego Mikołaja, bo widziała, że mnie bardziej na niej zależy. Przyszła mi też na myśl owa piekielna wycieczka, na którą wybrałyśmy się z mamą. Mama w przepasce na głowie i sławetnym podkoszulku, z którym się w owym czasie nie rozstawała, śpiewała, paliła i piła alkohol przez całą drogę prowadzącą przez siedem pustynnych stanów Ameryki. Jedynie dzięki Stacey i jej poczuciu humoru udało mi się wówczas zachować spokój ducha i nie zwariować.

Ale w tym roku siostra spędzi pierwszy dzień świąt beze mnie, co się nigdy przedtem w całym naszym życiu nie zdarzyło. Jestem przekonana, że Daniel i Bobby zdołają się w końcu pojednać; a co będzie ze Stacey i ze mną?

- Dlaczego płaczesz? - pyta Bobby.

Ścieram łzy i wzruszam ramionami. Co mu powiem? Czy mogę w krótkich słowach zawrzeć taki ogrom tęsknoty?

Przerywamy na chwilę pracę, żeby zebrać siły do dalszych wysiłków, po czym znowu bierzemy się do roboty. Pozwalam, żeby Bobby według własnego uznania zawieszał na drzewku ozdoby i lampki. Przecież to w końcu jego choinka. Moja rola polega na zachęcaniu chłopca, by kierował się własnymi intencjami. Wybieranie świecidełek z pudła zajmuje mu dużo czasu. Ale w końcu wyjmuje upatrzoną ozdobę. Tym razem jest nią kunsztownie wymalowana bombka wyobrażająca kulę ziemską, na której odwzorowano las deszczowy.

- Mamusia ją zrobiła - mówi Bobby, pokazując bombkę.

- Jest piękna - przyznaję.

Chłopiec zawiesza ozdobę na drzewku i wraca do pudła. Przez następną godzinę nieustannie powtarza to samo: wędruje od pudła do drzewka i z powrotem. Przy każdej ozdobie dzieli się ze mną uwagami, daje mi cząstkę siebie. W końcu dociera do ostatniej ozdoby.

- Tę mamusia lubiła najbardziej; ramkę sam zrobiłem na zajęciach w świetlicy. - i pokazuje mi małe zdjęcie w pomalowanej na srebrny kolor ramce wykonanej z makaronu i wstążki.

Biorę ją w ręce bardzo ostrożnie zarówno ze względu na kruchość materiału, jak i na delikatność związanych z nią uczuć. Fotografia w ramce przedstawia Bobby'ego i piękną ciemnowłosą kobietę o brązowych oczach.

- To mama - wyjaśnia.

Pod zdjęciem ktoś napisał: Bobby i Maggie/2001.

- Twoja mama jest bardzo ładna - mówię. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chciałabym, żeby chłopiec przytulił się do mnie i pozwolił się uściskać, ale on stoi sztywno obok, więc tylko odgarniam włosy, które spadają mu na oczy, i przez chwilę zatrzymuję dłoń na jego ciepłym policzku. - Wszystko będzie dobrze, Bobby! Obiecuję ci -dodaję.

Potakuje, ale patrzy z niedowierzaniem. Wiem, że słyszał takie pocieszenia już przedtem i nie bardzo im ufa.

- Mama prowadziła nocą samochód i wpadła na drzewo -opowiada. - Padał wtedy deszcz. A to nieszczęście się stało w dzień po Halloween...

„Ach, więc tak niedawno” - myślę. Nic dziwnego, że on i Daniel nie otrząsnęli się jeszcze po tym ciosie. Pragnęłabym powiedzieć mu coś, co by go podniosło na duchu, ale sama też poniosłam podobną stratę i wiem, że tylko czas może przynieść ukojenie.

- Nawet się z mamą nie pożegnałem - żali się Bobby. -Byłem na nią wściekły, bo mi nie pozwoliła oglądać *X-Mena*\*.

Serce mi się kraje, gdy to słyszę. Wiem, jak to boli, kiedy przypominamy sobie czyny, których żałujemy. Taki ból potrafi najsilniejszego mężczyznę powalić na kolana. Mały chłopiec nie jest w stanie sobie z nim poradzić. Nic dziwnego, że teraz czasem „widuje” swoją mamę.

Bobby patrzy na mnie oczami mokrymi od łez, które błyszczą na końcach długich rzęs. Brzydki fioletowy siniak nad okiem natychmiast przypomina o bolesnych przejściach innej natury.

- Powiedziałem wtedy mamie, że jej nienawidzę - wyznaje.

- Ale przecież twoja mama wie, że mówiłeś to w złości.

- Ty mnie nie zostawisz, prawda? - pyta cichutko.

\* *X-Men - serial dla dzieci produkcji japońskiej.*

Po raz pierwszy uświadamiam sobie trudną sytuację, w jaką sama się wpakowałam. Chyba ktoś taki jak ja, nekany trudnymi problemami i przed nimi uciekający, nie jest osobą, jakiej ten chłopiec potrzebuje.

Milczenie, które nagle zapadło, coraz bardziej nam ciąży. W tej ciszy słyszę odległy odgłos fal uderzających o nabrzeże i bliskie tykanie zegara. A nawet westchnienie Bobby'ego, tak leciutkie jak pocałunek na dobranoc.

- Jestem tu teraz wyłącznie ze względu na ciebie, Bobby - zapewniam chłopca. Ale do niego dociera jedynie słowo „teraz” i tylko ono się liczy.

- Rozumiem - odpowiada. - Ludzie odchodzą... - Odwraca się ode mnie i wpatruje w choinkę. Sądzę, że dla nas obojga blask dzisiejszego dnia nieco przygasał.



Ludzie odchodzą... Bobby ma tylko osiem lat, ale już zna tę smutną prawdę.

Drzewko zajmuje cały róg holu między kominkiem a oknami. Jego cherlawe gałęzie przystrajają dziesiątki ozdób. Jest ich tyle, że choinka wydaje się bujna i dorodna, mimo że świecidelka są trochę dziwnie porozmieszczane. Od razu widać, że ubierał ją chłopiec. Na nieco ociosanej drewnianej podstawie leży imitująca śnieg gruba warstwa białego filcu, pokryta dla połysku poliestrem, a na niej dziesiątki błyszczących miniaturowych domków i wystaw sklepowych. Wzdłuż niby-ulic stoją miniaturowe latarnie uliczne, tu i ówdzie widać powozy z konnym zaprzęgiem i kolędników w aksamitnych strojach. Temu wszystkiemu towarzyszy muzyka: ulubiony album płyt bożonarodzeniowych Bobby'ego. Ścieżka dźwiękowa Charliego Browna nagrana jest na stereo; muzyka rozchodzi się po całym holu.

Bobby wygląda przez okno i wciąż zadaje pytanie, czy tata nie nadchodzi. W ciągu pięciu minut słyszę je po raz piąty. Oboje jesteśmy zdenerwowani. Jeszcze przed godziną pomysł świątecznego udekorowania domu wydawał nam się bardzo dobry. Teraz nie mam już takiej pewności. Boję się, że była to swoista arogancja z mojej strony, jak poczynania jakiegoś niezrównoważonego krewniaka, który chce pomóc, a w rezultacie szkodzi.

Ubiegłej nocy leżałam w łóżku i marzyłam o tym, co się może dziś wydarzyć. Wszystko po to, aby odegnać koszmary przypominające mi o prawdziwym życiu. Wczoraj wyobrażałam sobie, że Daniel zachwyci się moim choinkowym pomysłem. Teraz widzę, że była to naiwność. Będzie zły: coraz mocniej się w tym utwierdzam. Wścieknie się, że odgrzebujemy

przeszłość i że wypominamy mu beztroskę, z jaką potraktował sprawę urzędzenia synowi świąt. Zobaczy we mnie intruza, kogoś, kto sprawia tylko kłopoty.

Bobby opiera się o kominek. Zaraz jednak wstaje i znowu podchodzi do okna.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, czy on wraca?

- Jakies trzydzieści sekund temu - odpowiadam.

- A ty się nie boisz, że tata się wścieknie?

- Nie - mówię, ale po tak długiej pauzie, że to przestaje być wiarygodne. Trudno mi ukryć, że nie czuję się zbyt pewnie. Bobby, który od dwóch miesięcy rozmawia z duchem, wyczuwa nawet najmniejsze niuanse w barwie głosu.

- Kiedyś tata uwielbiał Boże Narodzenie - wspomina. - Uważał te święta za najwspanialsze dni w roku. - Po chwili milczenia dodaje: - Później rodzice się rozwiedli i mamusia przeprowadziła się ze mną tutaj. - Znow podchodzi do okna i wypatruje. Widzę jego blade odbicie w szybie. - Tata stale obiecywał, że będzie mnie odwiedzał, ale nigdy tego nie zrobił.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Pamiętam dzień, w którym mój ojciec nas opuścił. Byłam wtedy mniej więcej w wieku Bobby'ego. Czekałam przeszło dziesięć lat, żeby tata wrócił i pojednał się z rodziną, ale to nigdy nie nastąpiło. Matka próbowała ukoić mój ból różnymi zapewnieniami, lecz słowa nie wystarczają, kiedy się nasłuchuje, czy ktoś nie zapuka do drzwi. Bobby też wie, jak to jest, gdy nikt nie puka; przekonał się, jaki ślad taka cisza pozostawia w duszy dziecka. Ja także znam smak rozvodu. Być może Bobby nie ogarnia całej prawdy, nie rozumie, co zaszło między rodzicami, i nie zdaje sobie sprawy, że nigdy nie jest to wina tylko

jednej strony, jednej osoby. Mnie również ta myśl szokuje, gdy po raz pierwszy ją sobie uświadamiam.

- Najważniejsze - staram się wyraźnie to podkreślić - że twój ojciec jest teraz przy tobie, więc może powinieneś dać mu szansę.

Nie odpowiada.

Jasne promienie słońca przebijają się przez chmury: jezioro przypomina tafłę rozjarzonego szkła.

- Tata wraca! - Chłopiec przybiega do mnie i anonsując ojca, staje u mego boku.

Drzwi się otwierają i wchodzi Daniel. Ma na sobie roboczy kombinezon, którego zamek błyskawiczny jest do pasa rozsunięty. Z tylnej kieszeni wystają brudne rękawice. Jego czarne włosy to jedna masa niesfornych kędziorów. Z zielonych oczu wзира zmęczenie.

- Hej!... - wita nas bez uśmiechu. Kieruje się w stronę recepcji, ale w połowie drogi staje i patrzy na drzewko.

- To twoje dzieło, chłopcze? - pyta.

A we mnie rośnie napięcie. Boję się, żeby Bobby nie powiedział teraz czegoś niewłaściwego.

- Razem to zrobiliśmy: Joy i ja.

- Joy? Więc sprawy naszego domu są teraz jej sprawami? Tak? - cicho mówi Daniel i podchodzi do drzewka.

Bobby patrzy na mnie zasmuconym wzrokiem. A ja czuję, że popełniliśmy błąd. W każdym razie nie powinnam tego robić. To wydaje mi się teraz całkiem oczywiste. Przecież nic o tych ludziach nie wiem. Naprawdę nie wiem. Czasem wspomnienia są zbyt bolesne, by je publicznie

ujawniać. Z nas dwojga ja, jako osoba dorosła, powinnam to wiedzieć lepiej. Teraz muszę wesprzeć Bobby'ego, pomóc mu wybrnąć z tej sytuacji.

- Danielu - zaczynam, podchodząc o krok. - Z pewnością...

- Widzę - wchodzi mi w słowo - że skorzystaliście ze wszystkich ulubionych ozdób Maggie. - I dotyka palcami białego aniołka.

- To ty go mamie kupiłeś, pamiętasz? - przypomina Bobby. - Upatrzyłeś go na farmerskim targu koło domu babci i dziadka.

Daniel powoli zwraca ku nam twarz. Jest spokojna i surowa, jakby wyciosana z granitu. Zastanawiam się, jak on znosi tę trudną sytuację. Czy go nie boli ten dystans między nim i synem.

- A gdzie jest gwiazda? - pyta nagle.

Chłopiec patrzy na mnie.

- Leży na stole - odpowiadam. - Nie mogliśmy z Bobbym dosięgnąć wierzchołka choinki.

Daniel podnosi wykutą w ołowiu gwiazdę i już ma ją umieścić na czubku drzewka, kiedy się zatrzymuje i zwraca do syna:

- Może moglibyśmy to zrobić razem - ty i ja?

Słyszę niepewność w jego głosie; zapewne obawia się, że może Bobby nie zechce się podporządkować. I to mi uzmysławia, z jak kruchej gliny jesteśmy ulepieni, jak łatwo możemy się wzajemnie zranić, szczególnie wtedy, gdy w grę wchodzi miłość. Przychodzi mi na myśl Stacey. Na chwilę zamykam załzawione oczy. Gnębi mnie poczucie winy. Kiedy je znowu otwieram, widzę, że Bobby podchodzi do ojca. Są razem. Ten widok sprawia, że się uśmiecham.

Daniel bierze syna na ręce i wręczywszy mu gwiazdę, podnosi go wysoko, a Bobby umieszcza ozdobę na szczycie choinki. Potem z pewnej odległości podziwiają swoje dzieło.

- Wygląda wspaniale - mówi Daniel i słyszę wzruszenie w jego głosie.

- To zasługa Joy, tato! To był jej pomysł... - chwali mnie Bobby.

- Joy na pewno wie, że to doceniam...

- Nie! Musisz jej to powiedzieć. Przecież jest tu z nami.

Obaj się odwracają twarzą do mnie. Nie mam wątpliwości, co oznacza ten błysk w zielonych oczach Daniela. Tak, jestem pewna, że ten mężczyzna całym sercem kocha swego syna. Może nawet sam nie wie, jak mocno. Jestem gotowa wszystko mu wybaczyć. Bóg mi świadkiem, że potrafię go zrozumieć. Dobrze wiem, jak łatwo żal i miłość mogą człowieka złamać.

- Dziękuję ci, Joy - mówi Daniel.

- Porozmawiaj z nią, tatusiu. Joy jest naprawdę miła...

- Ale ja od bardzo dawna nie rozmawiałem z kobietami i nie wiem, jak to się robi... - tłumaczy się Daniel.

- Nic nie szkodzi - bąkam, czując, że łączy mnie z nim dziwne podobieństwo. Oboje jesteśmy po rozwodzie, oboje staliśmy się ofiarami wojny w rodzinie. Chociaż rozwiodłam się już kilka miesięcy temu, nie czuję się samodzielną jednostką, ale jestem jakby przepołowiona, jak odłamana część drugiej osoby. I mnie też ta rozmowa nie przychodzi łatwo. A teraz wystarczyło to jedno słowo „rozwód”, żebyśmy znów pograżyły się we wspomnieniach, wróciła myślą do Stacey i Thoma i rozpamiętywała, jacy kiedyś byliśmy. Potem przypominam sobie tę nieszczęsną choinkę przytroczoną do mego volvo, która na pewno marniała na parkingu.

- Hej, Joy! Co z tobą? Dobrze się czujesz? - Głos Bobby'ego przywołuje mnie do porządku.

Uśmiecham się do niego, żywiąc nadzieję, że wypadło to naturalnie.

- Tak, wszystko jest okej.

- Jasne, że jest okej - mówi Daniel. - Przecież zbliżają się święta. A teraz, synku - zwraca się do Bobby'ego - chociaż z przyjemnością porozmawiałbym z tobą i Joy, musimy jechać do doktora. Masz przecież zamówioną wizytę.

- A niech to... - narzeka Bobby. - Nie mam ochoty.

- Wiem, ale to konieczne.

- Czy Joy mogłaby pójść z nami? Proszę... - błaga, przenosząc wzrok z ojca na mnie. - Boję się.

- Przecież ja z tobą będę, Bobby - przypomina Daniel.

- Wolałbym być z Joy.

Widzę, jak bardzo Daniela te słowa ranią.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Bobby - wtrącam się, cały czas obserwując Daniela.

- Proszę cię, Joy! - jęczy Bobby. W jego oczach pojawiają się łzy.

Nie mogę go rozczarować.

- Dobrze - zgadzam się. - Pojadę z wami, ale nie wejść z tobą do gabinetu, tylko zostanę w poczekalni.

Bobby wysuwa się z ramion ojca i ląduje na podłodze.

- Muszę wziąć ze sobą Freddy'ego - oznajmia i biegnie na górę. A ja stoję i patrzę na Daniela, który przygląda się naszej choince. Na jego twarzy maluje się smutek, którego nawet nie usiłuje ukryć. Teraz dopiero widzę, jak wielką wyrządziliśmy mu przykrość, ubierając drzewko. A może poczuł się

dotknięty, że go pominęliśmy. Powinnam coś powiedzieć, jakoś się usprawiedliwić, ale mógłby pomyśleć, że się narzucam.

Po chwili Daniel mija mnie, idąc w kierunku schodów, i wiem, że już nic nie mogę zrobić. Gdy po piętnastu minutach wraca do holu, widzę, że się już przebrał. Ma na sobie nieco sfatygowane dżinsy i ciemnozielony sweter. Razem wychodzimy przed dom, gdzie stoi ciężarówka Daniela. Bobby otwiera drzwi, wspina się do kabiny, po czym zajmuje miejsce pośrodku szerokiego siedzenia. W ręce ściska zniszczoną, lecz wciąż kochaną zabawkę: baranka zrobionego z filcu i wełny. Siadam obok niego. Daniel zatrzaskuje drzwi i przechodzi na stronę kierowcy.

Od miasta dzielą nas zaledwie dwa kilometry i choć jazda trwa bardzo krótko, jestem pod ogromnym wrażeniem uroków tutejszej przyrody. Zadziwiają niebotyczne, wiecznie zielone drzewa, rosnące szeregiem po obu stronach ulic; tworzą też potężne zespoły leśne, blokujące dojście do przykrytych śniegiem dalekich gór.

- Pięknie tutaj - stwierdzam, patrząc z okna samochodu na zielone i czarne skupiska mijanych drzew. W szybie ujrzałam odbicie własnej twarzy; wydała mi się podobna do ducha.

Miasto wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam. Kilka ulic z ciekawymi wystawami sklepowymi; wszystko w świątecznym wystroju. Ruch uliczny kontrolują tu tylko znaki drogowe i piesi, bo na skrzyżowaniach nie ma świateł. W to pogodne zimowe popołudnie na chodnikach panuje duże ożywienie. Gdzie spojrzeć - gromadki ludzi, którzy przystają, żeby ze sobą pogawędzić. Scena jak z pocztowej kartki z ładnym widoczkiem, ale do czasu... Już za rogiem widzę tłumy i mnóstwo samochodów.

- Do diaska! - złości się Daniel, wciskając hamulec. -Mój wóz się starzeje.

Właśnie miałam go zapytać, skąd tu nagle taki ruch, kiedy zauważyłam wielkie litery wymalowane na boku przejeżdżającego obok wozu transmisyjnego: TELEWIZJA KING.

Ach, więc coś tu nagrywają...

Okazuje się, że telewizja robi reportaż o skutkach niedawnej katastrofy samolotu. Natychmiast odwracam twarz od okna. Choć wiem, że mnie nie szukają, bo to przecież byłoby niemożliwe, sędzę, że lepiej dmuchać na zimne. Nigdy za dużo ostrożności... Zdołałam tylko rzucić okiem na posterunek policji i podekscytowany tłum.

Daniel skręca w inną ulicę i tu już panuje spokój. Po chwili manewrowania starą ciężarówką wjeżdża na parking, wyłącza silnik, który przez chwilę jeszcze dygocze, ale coraz wolniej i w końcu gaśnie.

Ciszę, jaka teraz nastąpiła, przerywa Bobby.

- Dlaczego mam znowu iść do lekarza? - pyta.

- Bo masz za sobą ciężkie przeżycia, synu - tłumaczy Daniel, odpinając mu pas bezpieczeństwa. - Po stracie matki każdy przechodzi okres wielkiego smutku.

Chłopiec wzdycha i krzyżuje ramiona.

- Ale nie każdy rozmawia z duchem... - mówi i w jego głosie wyczuwam sporo emocji.

- Usiłuję ci pomóc, Bobby - zapewnia Daniel.

- Pomógłbyś, gdybyś mi uwierzył - odpowiada syn, po czym wyskakuje z kabiny i biegnie przodem, a my oboje idziemy za nim.



Przechodząc przez parking, trzymamy się tak blisko siebie, że nasze ramiona niemal się stykają. Mimo to żadne z nas się nie odsuwa. Gdy wchodzimy do budynku, w którym przyjmuje lekarz, przez moment wyobrażam sobie, że jesteśmy rodziną i przyprowadziliśmy naszego syna do lekarza na kontrolną wizytę. Gdyby tak było naprawdę, weszła-bym do gabinetu i odpowiadała na wszystkie pytania doktora dotyczące zdrowia Bobby'ego. A po skończonej wizycie poszlibyśmy we troje na lody.

Tymczasem udaję się do poczekalni, siadam i przyglądam się przez okno rosnącemu nieopodal krzewowi rododendronu, który wielkością dorównuje samochodowi. W pewnej chwili podchodzi do mnie pielęgniarka, kładzie rękę na moim ramieniu i przypatruje się mi.

Jej dotknięcie mnie przestraszyło, bo nie słyszałam, jak podeszła.

- Jak się pani dzisiaj czuje? - pyta.

Zdenerwowałam się. Czyżbym usnęła? A może prześladowe mnie jakiś szczególny koszmar senny? Nie sądzę, żeby tak było. Przecież wyglądałam przez okno, podziwiając wielkie zielone liście rododendronu. Nie! Otwieram usta, żeby powiedzieć: „Dziękuję, czuję się dobrze”, ale wymawiam słowa brzmiące inaczej: „Jestem sama”.

- Nie jest pani sama - mówi pielęgniarka o pełnych rumianych policzkach i smutnie się do mnie uśmiecha. Jej zapewnienie powoduje, że na chwilę moje samopoczucie się poprawia, ale kiedy ona odchodzi, znów zostaję sama i czekam. Na co?

Po ucieczce z Bakersfield i po katastrofie samolotu dopiero teraz zadaję sobie pytanie, na co właściwie czekam.

## 6

- Mam ochotę na lody, a wy? - pyta Daniel, gdy po wizycie u lekarza wracamy na parking.

- Hurra! - Bobby radosnym piskiem przyjmuje propozycję ojca i podskakuje przy każdym kroku.

- Lody? Świetny pomysł - przyznaję, ale się nie uśmiecham, choć po raz pierwszy Daniel dal mi do zrozumienia, że jestem dobrze widziana, i po raz pierwszy włączył mnie do rodziny.

Tuż za parkingiem zaczyna się ładna aleja, którą tworzą dwa równoległe szeregi drzew. Po obu jej stronach stoją małe, zadbane domki z ogródkami, które nawet w taki chłodny grudniowy dzień jak dzisiejszy są kolorowe: trawa zielona, krzewy żółte, a w terakotowych donicach - niebieskozielony jarmuż. Wzdłuż chodnika rosną ozdobne drzewka czereśniowe i chociaż gałęzie są teraz gołe, łatwo można sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądają w okresie kwitnienia, gdy okryją je różowe kwiaty. A na wiosnę ulica pewnie wygląda jak po przejściu parady: w powietrzu unosi się mnóstwo różowych konfetti.

Zaraz za rogiem wmieszaliśmy się w tłum, który, korzystając ze słonecznej pogody, wyległ po świąteczne zakupy. Zewsząd dochodzą do nas ożywione głosy rozmawiających. Przechodnie głośno pozdrawiają Daniela i Bobby'ego.

Wchodzimy do uroczej małej cukierni, która z dumą oferuje lody aż w siedmiu smakach. W lokalu włączony jest telewizor. Na ekranie Jimmy Stewart biegnie po ośnieżonych ulicach Bedford Falls. Kelnerka, która

podaje lody, mile się do nas uśmiecha. Ta ładna nastolatka z kolczykiem w nosie i kruczoczarnymi włosami dobrze zna stałych klientów.

- Hej, Bobby! - zwraca się do chłopca - Dla ciebie to, co zawsze?

- Oczywiście... - śmieje się chłopiec. - Dwie kulki. Kelnerka przenosi wzrok na Daniela i widzę, że przyjmując od niego zamówienie, czerwieni się i zaczyna się jąkać.

Uświadamiam sobie, że ojciec Bobby'ego jest bardzo przystojny, skoro nawet nastolatka zwraca na niego uwagę.

- Dla mnie praliny i krem - mówi Daniel z aksamitnym irlandzkim akcentem, który przywołuje uśmiech na twarz dziewczyny.

Już miałam zamówić sobie jedną kulkę lodów z kruchym ciasteczkiem, kiedy na ekranie telewizora ukazuje się obraz przedstawiający katastrofę samolotu, którym leciałam. Reporter stoi przed zwęglonym wrakiem i relacjonuje:

- Samolot rozbił się w lasach położonych na północny wschód stąd. Rannych pasażerów przetransportowano helikopterami do kilku pobliskich szpitali. Trwa identyfikacja osób, które ocalały, i powiadamianie rodzin. Doliczono się wszystkich pasażerów, których nazwiska figurowały na liście lotu.

Dzięki Bogu - mówię sobie w duchu. Z tego wynika, że wszyscy ocaleli.

Tymczasem spiker kontynuuje:

- Jak jednak wynika z zeznań świadków, w ostatniej chwili jakaś niezidentyfikowana dotąd kobieta nabyła dodatkowy bilet na ten lot.

Czuję, że ogarnia mnie panika. Czyżby usiłowali mnie znaleźć? Nie zastanawiając się długo, mamroczę:

- Przepraszam! - I przeciskam się do wyjścia, pozostawiając w lokalu Daniela i Bobby'ego. Chcę jak najszybciej wyjść. Padam na ławkę w parku i przechylając się do tyłu, kładę głowę na oparciu. Serce bije mi jak szalone. W samą porę się zorientowałam, że Daniel i Bobby właśnie wychodzą z cukierni. Obaj robią wrażenie bardzo zdenerwowanych.

- Nic ci nie jest? - pyta Bobby. W jego oczach dostrzegam strach; chłopiec martwi się o mnie. Wie, że los radykalnie może się zmienić z dnia na dzień; że człowiek dzisiaj tu jest, a jutro odejdzie na zawsze.

- Nie - mówię. - Czuję się świetnie. - Ale to nieprawda. Moje samopoczucie jest dalekie od świetności.

Szukają mnie. I co teraz? Jak długo uda mi się zachować anonimowość? Obawiam się, że mogą znaleźć torebkę, która mi zginęła...

- O co chodzi? - chce wiedzieć Daniel. Patrzy z zaniepokojeniem na mnie i na Bobby'ego.

A ja coraz bardziej się denerwuję. Cała drżę. Mam ochotę wyznać, że „nie mogę wrócić do domu”, ale zdaję sobie sprawę, że on nic nie zrozumie. Przechwytyuję jego spojrzenie i odczytuję w nim coś, co odbiera mi spokój. To coś mocno przyspiesza bicie mego serca.

- Dobrze się czujesz, Joy? - dopytuje się.

Właśnie to, że Daniel się o mnie troszczy, głęboko mnie wzrusza. Zbyt długo byłam samotna. Najwidoczniej najmniejszy nawet przejaw zainteresowania moją osobą jest czymś zaskakującym. Sama się sobie dziwię, że nagle tak bardzo pragnę tu pozostać. Ale jednocześnie jestem też świadoma tego, że zegar tyka... i gdy tylko władze wpadną na mój trop, powrót do domu będzie nieunikniony.

- Czuję się świetnie... Naprawdę - uspokajam go. Wstaję, ale ruchy mam niezbyt pewne. Bobby przysuwa się do mnie. Razem, całą trójką, maszerujemy przez zatłoczone ulice. Świątecznie udekorowane wystawy przyciągają mój wzrok i kierują myśli na coś innego niż wiadomości, jakie podała telewizja. Co jakiś czas wpadamy do któregoś ze sklepów i za każdym razem jesteśmy bardzo mile witani. Ludzie patrzą na nas z sympatią, uśmiechają się i życzą nam wesołych świąt. Niejedno bym tu kupiła: zachwyca mnie ozdoba zrobiona z popiołów z Góry Świętej Heleny i dzwoneczkami poruszanych siłą wiatru, wykonanymi z miedzi i muszli. Podoba mi się także podkoszulek z nadrukiem: W LESIE DESZCZOWYM JEST MOKRO I DZIKO. Niestety, nie mam przy sobie pieniędzy. Notuję więc w pamięci, żeby przed powrotem do domu zajrzeć do niektórych sklepów. Będę się też musiała zaopatrzyć w broszury, ulotki i mapy, by uzupełnić wieloletnie zbiory, które gromadzę u siebie. Na razie jednak odsuwam myśl o powrocie i robię wszystko, aby cieszyć się dniem dzisiejszym.

Mijamy teraz restaurację ze świątecznym plakatem na szybie wystawowej, a potem sklep z ramami. Nagle Bobby staje nieruchomo.

- Co się dzieje? - pytam, widząc, że chłopiec wpatruje się w budynek stojący na prawo od nas. Jest to wspaniały murowany kościół z witrażowymi oknami, okazałymi dębowymi podwojami i świąteczną szopką na dziedzińcu.

- Może wstąpimy do kościoła i zapalimy mamie świeczkę? - Daniel proponuje synowi.

Bobby przecząco porusza głową, wymownym ruchem wysuwa do przodu podbródek, dając znak, że nie chce tam iść.

- Wobec tego pójdziemy do kościoła w Wigilię - ustępuje Daniel i bierze chłopca za rękę.

Przez następne pół godziny oglądamy wystawy w sklepach przy ulicy Głównej, później Daniel kupuje pojemnik pieczonych kurczaków i urządzamy sobie piknik. Bobby rozkłada na stole w parku tekturowe talerze i serwetki, ma nawet dla mnie widelec, choć, szczerze mówiąc, nie jestem głodna. Program w telewizji przypomni mi katastrofę samolotu i tak mnie poruszył, że straciłam apetyt. Nie jestem zresztą jedyną osobą, którą nasza mała wyprawa do miasta wyprowadziła z równowagi.

- Posłuchaj, Bobby! - zaczyna Daniel, otwierając butelkę coca-coli. - Czy nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać?

- Porozmawiać? O czym? - pyta chłopiec i wbija wzrok w talerz.

- O tym, że pogniewałeś się na Pana Boga. Bobby wzrusza ramionami.

Daniel przez dłuższą chwilę przygląda się synowi; w jego spojrzeniu kryją się wielkie emocje. Utwierdzam się w przekonaniu, że ten człowiek naprawdę potrafi kochać.

- Przecież poszedłbym z tobą do kościoła, chyba wiesz... Bobby przenosi wzrok z ojca na mnie.

- Chciałbym pójść tam z Joy.

- Razem pójdziemy - mówię i choć te słowa padły bez zwłoki, przyszły zbyt późno. Cios został zadany. Bobby znowu wybrał mnie zamiast ojca. Zdaję sobie sprawę, że powinnam szybko coś zrobić, aby poprawić nastrój. Muszę w jakiś sposób pomóc im obu, by zrozumieli, kim są dla siebie i co zdołali zachować z przeszłości. Czasem najważniejsze jest właśnie uświadomienie sobie tego, co pozostało. -Opowiedz mi - zwracam się do chłopca - o tym, jak z ojcem wybraliście się na jarmark.

- Chodzi ci o ten dzień, kiedy tato pozwolił mi zatrzymać dla siebie resztę?

- Tak, właśnie o tym chętnie posłucham.

- A ty, tatusiu, pamiętasz ten jarmark? Pamiętasz go? -pyta wpatrzony w ojca.

I okazuje się, że o to właśnie chodziło, o to słowo... I wystarczyło, że Bobby je teraz wypowiedział, by twarz Daniela natychmiast się rozpozodziła. A muszę przyznać, że jego uśmiech jest zachwycający.

- Oczywiście, pamiętam - mówi Daniel. - Chodzi ci o doroczny jarmark w naszym hrabstwie. Jestem zaskoczony, że o nim nie zapomniłeś.

- Niosłeś mnie wtedy na barana...

- A ty wylałeś mi sok na głowę. Bobby chichocze.

- Mamusia powiedziała, że wyglądasz jak jakiś kosmita, cały purpurowy na twarzy...

Spojrzenie Daniela jest aksamitnie miękkie i głęboko mnie wzrusza. Nigdy nie widziałam mężczyzny, który by patrzył na swego syna z tak bezgraniczną miłością. Jeśli Bobby potrafi ją dostrzec, będzie wiedział, że może się czuć bezpieczny, że nic mu na tym świecie nie grozi.

- Byłeś wówczas za mały, żeby pojeździć wpadającymi na siebie i zderzającymi się samochodzikami.

- Tak, ale powiedziałeś mi, że to głupia zabawa.

- Bo to prawda.

Do końca naszej biesiady ojciec i syn wspominali różne wydarzenia z ich wspólnej przeszłości, a kiedy wracaliśmy do ciężarówki, obaj się do siebie uśmiechali. W drodze do domu słuchaliśmy w kabinie radia. Randy Travis swoim przejmującym, choć mocno przepitym głosem śpiewał: *I'm*

*Gonna Love You Forever and Ever*. A ja złapałam się na tym, że nie mogę oderwać oczu od Daniela.

Była już prawie siódma, kiedy dojechaliśmy na miejsce. Bobby natychmiast podbiegł do telewizora i włączył DVD, aby obejrzeć film o świętym Mikołaju, a ja postanowiłam udać się do swego pokoju.

- Dokąd idziesz, Joy?! - woła Bobby.

- Do siebie. Powinieneś pobyć trochę ze swoim tatą. Zobaczymy się ju...

- Nie! - wchodzi mi w słowo i zwraca się do Daniela: -Powiedz jej coś, tatusiu! Zaproś ją, żeby razem z nami oglądała film.

Czekam z zapartym tchem, jak się zachowa Daniel. Przypuszczam, że raczej się nie zgodzi, bo będzie chciał mieć Bobby'ego tylko dla siebie. Uważam, że w tym wypadku postąpiłby słusznie.

- Proszę cię, Joy! Zostań z nami! - Daniel mówi miękkim głosem i uśmiecha się do mnie.

I dopiero wtedy, gdy usłyszałam jego słowa wypowiedziane ze śpiewnym irlandzkim akcentem, zdałam sobie sprawę, jak bardzo chciałam, żeby mnie poprosił o pozostanie.

- Chętnie obejrzę z wami film... - zapewniam ich, wierząc, że ta deklaracja nie zdradza desperackiego stanu moich uczuć.

Daniel i Bobby zajmują miejsca na kanapce, a ja usadawiam się w czerwonym fotelu naprzeciw nich.

I kiedy tak siedzę wsłuchana w śmiech Bobby'ego, zdaję sobie sprawę, jaka głucha cisza panowała w moim własnym domu. Jeśli mam być szczerą - a po cóż miałabym teraz kłamać? - takie niczym niezmaćcone milczenie zalegało, zanim jeszcze Thom mnie zostawił i zanim zaczął sypiać z moją



siostrą. Kiedy patrzę wstecz na nasze małżeństwo, muszę przyznać, że od samego początku było zbyt milczące.

Stacey miała rację, gdy w ten mój ostatni wieczór w Bakersfield twierdziła, że moje małżeństwo rozpadło się o wiele wcześniej, niż ona się pojawiła. I teraz wreszcie jestem w stanie się do tego przyznać.

- Mikołaj tyje, dlatego że jest święty! - wygłupia się Bobby, podskakując na kanapce.

Jego wesołość jest tak zaraźliwa, że wkrótce z Danielem śmiejemy się razem z nim.

- Czas pójść do łóżka, chłopcze - przypomina ojciec, gdy film się skończył. Bobby narzeka i jęczy, że wcale nie jest zmęczony, chociaż oczy same mu się zamykają. A mnie jest żal, że ten wieczór dobiega kresu i że nic więcej mnie dziś nie czeka. Daniel bierze Bobby'ego na ręce i niesie w stronę schodów.

- Dobranoc, Joy! - sennym głosem woła Bobby. - Zobaczymy się rano.

- Dobranoc, Bobby! - odpowiadam.

Mam zamiar wstać i udać się do pokoju. Naprawdę mam taki zamiar, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie ruszam się z miejsca. Siedzę, zwinięta jak kot na fotelu, i wpatruję się w ogień na kominku. Moją uwagę znowu przyciągają stojące na półce nad kominkiem zdjęcia. Biorę je do ręki i badam, niczym archeolog szukający śladów przeszłości. Chcę się dowiedzieć, kim była Maggie i dlaczego jej małżeństwo z Danielem się rozpadło.

Po jakimś czasie słyszę kroki Daniela na schodach i już wiem, że właśnie na niego czekałam.

Mężczyzna wchodzi do holu i staje przed kominkiem. Połączenie pomarańczowego światła, jakie rzucają płomienie, i ciemnych cieni sprawia, że Daniel wydaje się wymizerowany i znużony. Stoimy tak blisko siebie, że przy każdym najmniejszym nawet ruchu musimy się dotknąć.

- Wiesz, obiecałem Bobby'emu, że tu wrócę i z tobą porozmawiam. Co ty na to?

- Cieszę się - odpowiadam nadspodziewanie śmiało.

- Ale ostatnio kiepski ze mnie rozmówca... - Głos Daniela jest tak cichy, że muszę się pochylić, by go usłyszeć. -A najśmieszniejsze jest to, że kiedyś uchodziłem za krzykliwego gadułę. Tylko że to było dawno temu, gdy jako młody chłopiec szalałem w pubach Dublina... Po pijaku nie zamykały mi się usta i plotłem byle co, póki nie zsiniałem na twarzy i nie padłem nieprzytomny na ziemię.

- To śmieszne - mówię - jak tracimy niektóre cechy, a nawet cząstki nas samych...

Daniel wzdycha. Potakuje, po czym sięga po fotografię stojącą na półce z lewej strony i ukrytą za kartką ze świątecznymi życzeniami. Długo jej się przygląda. Na zdjęciu jest Maggie: młoda, pełna życia i piękna.

Nie mam pojęcia, co powinnam teraz powiedzieć czy zrobić. Daniel sprawia wrażenie kogoś tak głęboko dotkniętego i tak kompletnie załamane go, że w ogóle boję się odezwać. Ale on po chwili odkłada fotografię na miejsce i siada przed kominkiem.

- A więc, Joy - odzywa się nagle głosem, w którym przebija śmiech - może mogłabyś mi pomóc. Wydaje się, że byłem złym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Przyznaję, że nawet mi przez myśl nie przeszło, aby przynieść do domu choinkę. Skupiłem się na jednym: postanowiłem zabrać

stąd Bobby'ego, zabrać go z miejsca, które łączy się dla niego z tak bolesnymi wspomnieniami...

- Przeniesienie go gdzie indziej nic nie da: nie sklei jego złamanego serca. Taka jest prawda. Wiem, bo sama tego doświadczyłam. - Siedzę na fotelu naprzeciw Daniela, pochylam się do przodu i w odruchu niesłychanej śmiałości, która na co dzień jest mi zupełnie obca, dotykam jego uda, po czym dodaję: - Tylko ty możesz pomóc Bobby'emu... ty sam.

Na czole Daniela rysuje się zmarszczka.

- Co, u diaska... ! - obrusza się.

Natychmiast się wycofuję i żalując swego odruchu, bąkam w poczuciu winy:

- Przepraszam...

Daniel wstaje.

- Lekarz mi radził - wyjaśnia - żebym dla dobra Bobby'ego szczerze z tobą porozmawiał, ale...

Ja też wstaję i zbliżam się do niego; wiem już, że nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. Stoimy tuż przy sobie, twarzą w twarz. Czuję ciepło jego oddechu i śladowy zapach dymu z palących się drewn, jakim przesiąkł jego podkoszulek.

- Danielu! - szepczę.

- Cholernie mi głupio. Jak ja mam właściwie z tobą rozmawiać?

Robię krok do tyłu.

- Przepraszam, nie powinnam... - dukam, a myślę: Czego nie powinnam? Dotykać go? Powiedzieć czegoś? Czy przede wszystkim tu się znaleźć? Nie wiem, jak się wytłumaczyć, co takiego zrobiłam, co było niewłaściwe...

Daniel się odwraca i podchodzi do kominka, żeby wygasić ogień. Następnie wykonuje codzienne czynności na zakończenie dnia: zamyka drzwi na klucz i zaciąga zasłony; w holu zapada mrok. Potem znika gdzieś po drugiej stronie, by po dłuższej chwili znowu się pojawić.

Wciąż czekam; chcę, by na mnie spojrział, przygotowuję się do tego, co mu powiem, gdy się do mnie odezwie, jak mu wytłumaczę, dlaczego przez sekundę zachowałam się jak idiotka, jak kobieta, którą opanowały czy wręcz zaślepiły żądze.

Nie widzę w ciemności twarzy Daniela, ale próbuję odgadnąć jej wyraz. Chcę wiedzieć, czy się uśmiecha, czy jest zły, że nie potrafię wyczuć jego nastroju.

Kiedy zrobiło się ciemno i cicho, Daniel kieruje się w stronę schodów. Słyszę jego rytmiczny oddech i wyciszone kroki, gdy stąpa po dywanie. Jestem rozczarowana. Daniel wstępuje na schody i po chwili dochodzi do mnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. A potem zostaję sama. Stoję przy kominku, wpatrując się w rodzinne fotografie, na których jest inna kobieta.

\* \* \*

Samolot obniża lot.

Pali się... Niczego nie dotykać!...

Uciekaj!

Za późno...

Unoszę się w powietrzu, przewracam się i koziołkując, wrzeszczę: spadamy!

Budzę się z krzykiem w swoim pokoju. Jest ciemno. Mam zmiądzoną klatkę piersiową i rozkwaszoną twarz. Nie mogę poruszać nogami. Jestem sparaliżowana.

Nie! To mi się tylko śni...

Dotykam piersi, staram się wyczuć bicie serca. Uderza szybko, ale regularnie.

- Nic ci nie jest! - mówię sama do siebie. Dźwięk własnego głosu mnie uspokaja, zwłaszcza że dochodzi - a tak się właśnie dzieje - z głębi mego pokoju. Na chwiejnych nogach podchodzę do okna i je otwieram; pachnące sosną powietrze pieści moje policzki i pomaga szybko się opanować.

Jestem tu i teraz. Żyję!

Drobne kropelki deszczu padają na parapet i zraszają mi twarz, chłodząc skórę. Stopniowo odzyskuję spokój. Widziadła blakną i chyłkiem wślizgują się znów do mojej podświadomości. Stoję i obserwuję kropelki wody lśniące w świetle księżyca; trwam tak, dopóki dłonie nie przestają mi drżeć i nie wraca miarowy oddech.

Słyszę kroki na górze. Ktoś tam przemierza pokój. Nie śpi tak jak ja. To Daniel. Chciałabym pójść do niego i po prostu mu powiedzieć, że ja też nie mogę spać... Ale tego nie robię, tylko odchodzę od okna i wracam do wąskiego, pustego łóżka.

\* \* \*

Za oknem unosi się mgła. Jest półprzezroczysta i cieniuteńka jak warstwa jedwabnej organdy, lecz zamazuje mi widok dalekiego lasu. Przez ten delikatny welon wszystko wygląda inaczej: kilkudziesięciometrowe drzewa wydają się dziwnie wątle. Nawet czas płynie tu odmiennie. Dnie i noce mijają niewyobrażalnie szybko. Właśnie

dlatego, że chciałabym, aby czas zwolnił swój bieg, on - jak na złość - przyspiesza.

Tego ranka, gdy stojąc przy oknie, patrzę na ogród, dostrzegam cienie krążące między drzewami. Wcale się nie dziwię, że w tej zamglonej rzeczywistości Bobby widuje swoją matkę. W tych okolicach atmosfera jest bowiem nie z tego świata i łatwo zobaczyć to, co się chce widzieć...

Zanim Thom mnie zdradził i opuścił, już niemal od roku wiedziałam, że nie jest ze mną szczęśliwy. Ja też byłam nieszczęśliwa. Ale oboje zachowywaliśmy się tak, jak większość ludzi w podobnych okolicznościach: udawaliśmy, że nic się nie dzieje.

Wiedziałam, że Thom opowiada Stacey o naszych problemach. Gdybym się starała widzieć, a nie tylko patrzeć, nie byłabym tak bardzo zaskoczona, że nasze sprawy się źle zakończyły.

Teraz solennie przyrzekam, że od Nowego Roku będę uczciwie wobec siebie postępować... I będę miała oczy otwarte, aby dostrzegać prawdę, a nie to, co chcę zobaczyć.

Biorę prysznic, przebieram się w stare ubranie, biorę aparat fotograficzny i wychodzę z pokoju. Hol, tonący w herbacianych cieniach, wita mnie ciszą. Przesuwam się obok zimnego, ciemnego kominka. Spoglądam przez okno i widzę, że nie ma już ciężarówki Daniela. A skoro wyjechał, nie można się dziwić, że jest tu teraz tak cicho i spokojnie.

Ta cisza emanuje spokojem. Inaczej niż w moim domu, gdzie przez ostatni rok była jak wciągnięty do płuc wdech poprzedzający krzyk.

Cisza i mgła zachęcają do wyjścia. Stoję w ogródku i patrzę na srebrzące się w oddali jezioro. Przesłonięte oparami, wygląda jak

podświetlone, a nabrzeże przypomina narysowaną węglem linię na tle szarych grzbietów fal.

Muszę to sfotografować, i to niejeden raz. Podnoszę aparat na wysokość twarzy i próbuję w ten zamazany świat wprowadzić ostrość. Dopiero po zrobieniu serii zdjęć czuję, że jest mi zimno. Rozczarowana, wracam do ciepłego domu, ale nie rezygnuję ze spaceru w perlistej mgle. Przychodzi mi na myśl, że mogłabym pożyczyć jakieś grube ubranie od moich gospodarzy. Czemu nie? Przecież się zameldowałam, no i stołuję się u nich, więc mam prawo zachowywać się jak w domu. A poza tym obaj wyszli... Chyba nie będą mieli do mnie żalu, jeśli pożyczę na godzinę czy też dwie jakieś okrycie. Ale najpierw muszę go poszukać. Szafa z ubraniami stoi blisko drzwi wychodzących na podwórko; odkrywam w niej mnóstwo różnych kurtek, swetrów i nieprzemakalnych płaszczy. Wyciągam gruby sweter, pięknie wydziergany warkoczowym splotem, i wkładam go na siebie. Jest o wiele za duży, ale ciepły i ma ciekawy niebieskozielonawy kolor.

Teraz już bez przeszkód mogę penetrować okolice i fotografować ten rajski zakątek. Zrobiłam siedemnaście zdjęć. Sfotografowałam nawet promienie słońca odbijające się w jeziorze, uciekającego łabędzia i pajęczynę, którą kilka wtopionych w nią kropeł rosy zamieniło w piękny naszyjnik. Potem puszczam wodze fantazji. Zaczynam sobie wyobrażać, jak zdjęcia oprawię i gdzie je powieszę. Najlepiej - pomyślałam - umieszczę je w salonie nad kanapką, tak żeby każdego dnia przypominały mi w szarej codzienności mego prawdziwego życia tę cudowną zimową przygodę. Około godziny drugiej po południu głód zmusza mnie do powrotu do domu.

Właśnie kończyłam jeść kanapkę, kiedy usłyszałam nadjeżdżającą ciężarówkę. Szybko zrobiłam w kuchni porządek

I pobiegłam do holu, aby powitać domowników. Wiem, że to głupie, a może nawet idiotyczne, ale bardzo mi ich obu dzisiaj brakowało.

- Joy! - woła już z daleka Bobby.

Miło mi, że chłopiec wymawia moje imię czułym tonem, jakby przez cały dzień za mną tęsknił.

- Cześć, Bobby - mówię, wypatrując Daniela, który wchodzi chwilę później, a jego wygląd aż dech mi zapiera z wrażenia.

- Wieczór spędzimy na plaży - zapowiada Bobby, biegnąc ku mnie.

- Musimy stąd wyjechać w ciągu piętnastu minut - informuje nas po chwili Daniel - więc się lepiej pospieszcie! -I patrzy na mnie, a ja czuję dreszcz przebiegający po plecach.

- Jestem zaproszona? - pytam.

- Oczywiście! - odpowiada Bobby, chichocząc.

- Włóżcie ciepłe okrycia - radzi Daniel - bo jest zimno. Na wszelki wypadek postanawiam działać szybko, bo

a nuż Daniel zmieni zdanie. Czuję się jak dziewczyna na pierwszej randce: pędzę do swego pokoju i wydobywam z szafy ten duży sweter, dziergany w warkoczowy splot. Na pewno będzie wystarczająco ciepły. W ciągu dwóch minut wracam i dołączam do Bobby'ego.

- Umyłeś zęby? - pyta syna Daniel.

- Tak! - odpowiadamy oboje jednocześnie i wybuchamy śmiechem. Daniel kwituje naszą wesołość uśmiechem, który mnie powala z nóg, a jego odmładza o dziesięć lat; mogę sobie wyobrazić, jak on wyglądał, gdy jako młody zawiadziak szalał w pubach Dublina.



- W drogę! - komenderuje; zakłada plecak i wychodzi, a my z Bobbym idziemy za nim, nie przestając się śmiać. Od lat nie czułam się tak swobodnie. Zastanawiam się, co jest takiego w tym miejscu i w tych ludziach, że dają mi ogromne poczucie wolności. Wśród nich staję się o wiele młodsza. Przemieniam się w osobę, jaką zawsze chciałam być. Już w dzieciństwie marzyłam, żeby kimś takim zostać, gdy dorosnę. Upodabnam się do mojej matki; jestem jak ona: wolna, kochająca i niefrasobliwa. W suchym i zapyłonym miasteczku Bakersfield byłam niby więdnący kwiat - tutaj, w wilgoci i mgle, czuję, że rozkwitam.

W ciężarówce włączamy radio i śpiewamy razem z Bruce'em Springsteenem *Urodzeni, żeby biec...* Dla mnie słowa tej piosenki nagle nabierają znaczącej treści. Kiedy kończymy śpiewać, zauważam, że wjechaliśmy na jakąś starą krętą szosę o dwóch pasach ruchu; odtąd przez wiele kilometrów będą nam towarzyszyły tylko drzewa. Po jakimś czasie krajobraz jednak się zmienia. Teraz droga wiedzie przez wy-karczowany las. Po wielu hektarach dawnej puszczy pozostały jedynie sadzonki i znaki drogowe informujące, że na tym terenie prowadzi się zalesianie i rekultywację gleby.

- Przecież te małe drzewka nie mogą zastąpić tamtych starych - zastanawiam się głośno. - To wszystko jest wręcz żalosne.

Bobby się odwraca, żeby na mnie spojrzeć.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - mówi.

- Mieszkacie w jednej z nielicznych już na naszej planecie prastarych puszczy. Ścinanie dwustuletnich drzew to zbrodnia.

- Czy oni pójdą do więzienia? - chce wiedzieć chłopiec.

- Oni, czyli kto? - pyta Daniel. Włącza kierunkowskaz i zatrzymuje samochód.

- Drwale, którzy ścinają stare drzewa - wyjaśnia Bobby.

- Ach, nie - zapewnia Daniel i marszcząc brwi, rusza dalej.

- Nie należy dosłownie rozumieć słowa „zbrodnia” - wyjaśniam. - Chodzi po prostu o potępienie wyrąbywania starych drzew, bo to grzech przeciw przyrodzie.

- Gdy dorosnę, będę bronił starych drzew - z powagą obiecuje Bobby i potakuje, jakby potwierdzał, że jego decyzja jest niepodważalna.

- Od czego zaczęliśmy naszą rozmowę? - stara się przypomnieć sobie Daniel.

Już miałam odpowiedzieć, ale właśnie dojeżdżamy na miejsce: jeszcze tylko ostatni skręt i parkujemy. Przed nami rozciąga się Ocean Spokojny: bezmiar ryczących fal, niebieskich wód i szarego nieba. Plaża niczym nie przypomina dobrze mi znanego południowokalifornijskiego wybrzeża, z miłą jak puder piaskiem, białymi grzywaczami i mniej więcej co sto metrów siatkami do gry w piłkę.

Tu plaża jest tak samo dzika jak puszcza i tak samo prymitywna. Uderzającym o brzeg falom towarzyszy ciągły huk przypominający ryk lwa, który słyhać nawet z dużej odległości.

- Co za widok! - mówię i wygodnie się rozsiadam w kabinie.

- Tata nigdy przedtem nie spędzał wieczorów na plaży - wspomina Bobby. - A mamusia i ja bywaliśmy tutaj regularnie co tydzień: we wtorek po herbacie.

- Cieszę się, że tu jestem - oznajmia Daniel. Wsłuchuję się w ton jego głosu i nie wiem, czy wyraża rozrzewnienie, żal, czy tęsknotę za byłą żoną. -

A jak twoja Joy? -zwraca się do syna. - Myślisz, że należy do zwolenniczek plaży?

- No i co powiesz? - pyta mnie Bobby.

- Kocham plażę - odpowiadam, zerkając na Daniela.

- Wiedziałem... - cieszy się chłopiec i aż podskakuje na siedzeniu. - Joy kocha plażę!

Mam takie dziwne uczucie, jakby rozpromieniła mi się dusza. Nie wiem, jak to właściwie wyrazić. Daniel zabiera swój plecak i pomaga Bobby'emu wydostać się z kabiny. Gdy tylko chłopiec dotyka stopą piasku, natychmiast rusza biegiem przed siebie.

- Nie za blisko wody, synku! - woła Daniel. Wychodzę z ciężarówki i staję przy nim.

Plaża jest naprawdę piękna. Na bezchmurnym, prawdziwie błękitnym niebie widać jarzące się słońce. Jego złote promienie rozświetlają fale.

Uwagę moją zwraca ogromna ilość drewna wyrzuconego na brzeg. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nie są to po prostu zwykłe patyki, ale sterta złożona z mnóstwa różnorodnych srebrzystych bali, bez gałęzi i wypolerowanych do białości; długość wielu z nich przekracza trzydzieści metrów. Natomiast rosnące wzdłuż drogi drzewa w taki dziwny sposób wyrzeźbił wiatr, że wyglądają jak japońskie bonsai powiększone do olbrzymich rozmiarów.

- Tato, podaj mi latawiec! - krzyczy Bobby, biegnąc w naszą stronę.

- Już się robi - odpowiada mężczyzna, ale najpierw próbuje rozpalić ognisko. W parę sekund niewielki stosik złożony z drewna i gazet staje w płomieniach. Siedzę na grubej kłodzie blisko ognia i obserwuję Daniela, który uczy syna puszczać latawca. Zanim Bobby przyswoił sobie tę umiejęt-

ność, popołudnie miało się ku końcowi. Po ciemnogrnatowym niebie mknęły teraz pomarańczowe chmury.

- Spójrz, tato! Popatrz, Joy! Już umiem go puszczać! - cieszy się Bobby.

- Tak, rzeczywiście, ale musisz szybciej biec. - Daniel poucza syna i śmiejąc się, siada tuż przy mnie, tak że wyczuwam ciepło jego ciała.

- Żałuję, że nie wzięłam aparatu fotograficznego - mówię.

- Widzieliście mnie?! - woła Bobby, ciągnąc po piasku latawca.

- Tak, widziałam - potwierdzam. - Byłeś świetny. Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto robiłby to lepiej.

Pogodny uśmiech na twarzy Bobby'ego zapalił jasne błyski radości w jego ciemnych oczach. Klapnął na piasek obok nas. Po jakimś czasie zauważyłam jednak, że chłopiec przestał się uśmiechać i zapadło milczenie, które przerywał tylko trzask ognia i szum fal.

- Nad czym się tak zamyśliłeś, synku? - pyta Daniel. Bobby milczy i kopie przed sobą piasek, ale po chwili odpowiada pytaniem:

- W Bostonie nie będziemy mogli spędzać wieczorów na plaży, prawda? - i patrzy nam prosto w oczy.

- Ach, więc to cię gnębi... Myślisz o przeprowadzce, tak?

Bobby rzuca mi szybkie spojrzenie, a ja potakuję, chcąc mu dodać odwagi. Chłopiec wciąga głęboko powietrze w płuca, po czym oświadcza:

- Chciałbym zostać tutaj, tato!

- Wiem, że tego chcesz, Bobby.

- Przecież sam wybrałeś tu dom - upiera się malec.

- Tak, ale wtedy wszystko było inaczej.

Obaj uświadomili sobie, jak wiele się w ich życiu zmieniło, i zamilkli. Dopiero po dłuższej przerwie Bobby podejmuje temat:

- Tatusiu, może opowiedziałbyś Joy, jak znalazłeś to miejsce.

Daniel ciężko wzdycha i to westchnienie, docierając do mnie w nocnej ciszy, daje mi dużo do myślenia. Jestem prawie pewna, że nie ma ochoty opowiadać tej historii, ale przełamuje opór. Pochyliła się, opiera łokcie na udach i zaczyna mówić, a na jego twarzy odbijają się blaski płonącego ogniska.

- Mieszkaliśmy wtedy w Bostonie, w pobliżu domu babci i dziadka. Twoja mama kierowała działem kosmetyków w domu towarowym Macy'ego, a ja dni i zbyt wiele nocy spędzałem na trzynastym piętrze gmachu Beekman Building. Marzyłem o życiu wśród niebotycznych drzew i nad jeziorem pełnym ryb. Ale tak naprawdę chodziło mi o to, żebyśmy mogli: mama, ty i ja, cały czas być razem, a nie jak było wtedy - oddzielnie. Pewnego dnia przeczytałem ogłoszenie, że w stanie Waszyngton jest do kupienia willa, w której ktoś prowadził w sezonie letnim pensjonat i zbankrutował.

- I my po prostu kupiliśmy ten dom, od razu, bez oglądania... - relacjonuje Bobby.

- Tak - potwierdza Daniel. Jestem pewna, że w jego głosie słyszę jakąś tkliwość. Potem dodaje: - Chcieliśmy w ten sposób spełnić nasze marzenia...

- Oczywiście...

I znowu zapada cisza. Wiem, że teraz ojciec i syn rozpamiętują, jak wiele ich dzieli. Ale widzę również, że stają się sobie bliscy i wystarczy najmniejszy ruch któregoś z nich, żeby się na nowo spotkali.

Odwracam się, by zobaczyć twarz Daniela. Siedzimy obok siebie, tak że mogę dostrzec drobniutkie ziarenka piasku i pyłki popiołu, które przyłgnęły do jego skóry i włosów. Spogląda na mnie zielonymi oczami denerwująco przenikliwie; czuję, że Bobby bacznie nas obserwuje.

- Rozumiem, dlaczego zakochaliście się w tym miejscu -mówię. - Ono jest magiczne.

- To właśnie zawsze powtarzała mama - oświadcza Bobby z nutką smutku w głosie. - Chcę wiedzieć, dlaczego musimy się stąd wyprowadzić - domaga się nagle.

Daniel spogląda na swoje dłonie, jakby tam szukał odpowiedzi.

- Pragnę dla ciebie tego, co najlepsze, Bobby - zapewnia syna.

- Najlepiej jest mi tutaj - upiera się chłopiec.

- Ale jak mogę sam, bez żadnej pomocy, prowadzić ten hotel? - pyta Daniel, zwracając się wprost do syna. - Przecież nawet nic nie wiem o wędkowaniu, nie mówiąc o innych sprawach. Zrozum to, synku!

Choć nikt mnie o to nie prosi, postanawiam wyrazić swoje zdanie.

- Słuchaj, Danielu! Jest mnóstwo podręczników, z których możesz się nauczyć potrzebnych rzeczy. Czytałam wiele takich książek. Zabierz mnie do miejscowej biblioteki, pomogę ci je znaleźć.

- Mamusia zawsze twierdziła, że jesteś bardzo zdolny -kadzi ojcu Bobby.

- Chciałbym w to wierzyć - śmieje się Daniel.

- Więc się ucz - radzi chłopiec.

- Wiecie, co wam powiem? - kończy Daniel. - Zastanowię się nad możliwością pozostania tutaj, jeśli ty, Bobby, pomyślisz o ewentualnym wyjeździe.

Ojciec i syn patrzą na siebie. Gdy im się przyglądam w świetle zachodzącego słońca i płonącego ogniska, uderza mnie ich podobieństwo.

- Okej - z powagą mówi Bobby.

- Okej - powtarza Daniel. - A teraz pomyślmy o hot dogach i o jakimś słodkim deserze, zanim słońce opuści nas na dobre.

Przez następną godzinę, podczas której słońce powoli zniknęło za horyzontem i na niebie pojawiały się gwiazdy, pieczemy hot dogi, szykujemy leguminę, a potem spacerujemy brzegiem plaży. Jadłam późny lunch, więc nie mam apetytu, ale nie przeszkadza mi to cieszyć się piknikiem. Mamy ze sobą małe radio, które zawiesiliśmy na kiju przy ognisku; płyną z niego jedna po drugiej piękne melodie, a my śpiewamy do wtóru. Głos Daniela, czysty i mocny, robi na mnie ogromne wrażenie. Gdy jesteśmy już spakowani i gotowi do opuszczenia plaży, z radia rozlega się piosenka *The way you look tonight* we wspaniałym wykonaniu.

Daniel śpiewa z uczuciem świadczącym o tym, że ma ona dla niego szczególne znaczenie.

- Dawniej często śpiewałeś tę piosenkę - stwierdza Bobby.

- Rzeczywiście.

- Może zatańczyłbyś z Joy, tatusiu? Zdumiona, wstrzymuję oddech.

- To chyba nie jest dobry pomysł - mówi Daniel i stara się na mnie nie patrzeć.

- Proszę cię, zrób to dla mnie - upiera się Bobby, nie spuszczać z nas wzroku.

Stoję w mroku tam, gdzie nie sięgają płomienie ogniska, a Daniel po przeciwnej stronie. Jego twarz jest częściowo w cieniu, a częściowo w

pomarańczowym blasku ognia. Nie mogę dojrzeć jego oczu, ale jestem przekonana, że nie ma w nich uśmiechu.

- Przecież Joy jest tuż obok, tatusiu - nalega Bobby i wskazuje na mnie.

Wiem, że nie jest aż tak ciemno, żeby Daniel nie mógł mnie dostrzec, więc próbuję go tłumaczyć. Mówię, że dobrze jest, jak jest, ale po chwili cichnę, bo on się zbliża i wyciąga do mnie rękę, a ja biorę ją w swoją dłoń i pozwalam się objąć. Pod wpływem ciepła jego dotyku wyrywa mi się z piersi tęskne westchnienie. Próbuję je stłumić, ale mi się nie udaje i w ciemności brzmi ono zbyt głośno, zbyt seksownie.

Oboje poruszamy się trochę nieporadnie. Zastanawiam się, czy Daniel też miał taką długą przerwę w tańczeniu jak ja.

- Nigdy nie byłem dobrym tancerzem - tłumaczy się. Jego słowa nie wyrażają jasno odmowy. Mój mąż, Thom, gdy chodziło o tańce, bez owijania w bawełnę mówił po prostu „nie”... i już.

Daniel obrzuca mnie wzrokiem.

- Nie widzę twoich stóp, ale założę się, że po nich depczę - mówi, chichocząc.

W jego ramionach czuję się młoda i bezpieczna. Bez trudu odnajdujemy rytm i po chwili nasze kroki są tak zgodne, jakbyśmy tańczyli ze sobą od lat.

Oboje widzimy gwiazdę, która spada z nieba i zostawia za sobą jasną smugę.

- Wypowiedz jakieś życzenie - szepcze Daniel.



Zastanawiam się, czego pragnę. Najchętniej powiedziałabym: „pragnę ciebie”, ale boję się ośmieszyć. Chybabym tego nie przeżyła, gdyby mnie Daniel wyśmiał, więc mówię:

- Chciałabym wszystko zacząć jeszcze raz od początku. Muzyka się skończyła, Daniel puszcza mnie z objęć i choć

bardzo bym pragnęła w nich pozostać, nic nie mogę zrobić. Wiem tylko, że o tej chwili i o jego dotyku będę myślała przez całą noc.

Bobby wyłącza radio i tym samym wprowadza nas na nowo w realny świat. Teraz słyszymy już tylko szum fal i trzaskanie ognia.

- Wypowiedziałem swoje życzenie, a jakie było twoje, tatusiu?

Długo nie odpowiada, potem, patrząc na mnie, mówi:

- Byłoby miło, gdybym mógł zacząć wszystko jeszcze raz na nowo...

Wpatruję się w Daniela i nie mogę oderwać od niego wzroku; nie potrafię też zrezygnować z zadawania sobie pytań: A jeżeli? A jeżeli tak? A jeżeli jeszcze raz się zakocham i zacznę od początku? A jeżeli znajdę nową rodzinę tutaj?

- Trzeba się już stąd zabierać - postanawia Daniel. - Nie mamy światła.

A ja znów siebie pytam: Czy rzeczywiście? Czy straciliśmy światło, czy może dopiero teraz ujrzeliśmy je po raz pierwszy? Jedno wiem na pewno: że się uśmiecham, wchodząc do kabiny ciężarówki z mężczyzną o imieniu Daniel i jego synem. Uświadamiam sobie, na co czekałam przez te wszystkie lata, w jakim celu gromadziłam owe liczne broszury i książki i po co zbierałam zdjęcia różnych ciekawych miejsc na świecie.

Chciałam zacząć na nowo... Marzyłam o tym.

I teraz już wiem, gdzie ostatecznie osiadę, gdy będę mogła rozpocząć nowy etap życia.

Przez całą noc leżę w łóżku i myślę o Danielu. O tańcu z nim, o tym, w jaki sposób na mnie patrzył, jak trzymał w objęciach i szeptał: „Wypowiedz jakieś życzenie”. W miarę zbliżania się świtu, moje marzenia powleka patyna mitu.

Budzi mnie hałas i czyjeś kroki na schodach. Domyślam się, że to Daniel.

Szybko odrzucam kołdrę i wyskakuję z łóżka. Biegnę do łazienki, ubieram się, a potem ostrożnie uchylam drzwi. W holu się świeci. Cicho stąпам po korytarzu przykrytym dywanem; okazuje się, że w holu nikogo nie ma. Spostrzegam, że drzwi prowadzące na dwór są otwarte. W fioletowej mgle wczesnego poranka widzę Daniela. Jest sam; stoi w ogródku. Tym razem ani myślę trzymać się od niego z daleka. Przecież zaczynam wszystko od nowa i to będzie mój start.

Już się zbliżam, kiedy zauważam Bobby'ego. Chłopiec jest na końcu przystani i mówi do kogoś niewidzialnego, po prostu rzuca słowa w przestrzeń. Nawet z tej odległości widać, że dzieciak płacze; płacze i krzyczy.

Z ust Daniela wydostaje się dziwny dźwięk. W ten mglisty poranek dochodzi do mnie zniekształcony, ale wydaje mi się, że brzmi jak szloch. Kładę mu dłoń na ramieniu.

- Jestem tu - mówię.

Pod moim dotykiem przenika go dreszcz, ale się nie ogląda.

- O Boże! Jak długo to jeszcze będzie trwało? - słyszę. „Może się nigdy nie skończyć albo ustać już wkrótce” - myślę. Lecz Danielowi tłumaczę:

- Będzie rozmawiał ze swoją matką, dopóki nie przestanie odczuwać takiej potrzeby.

Stoję obok Daniela, a na przystani Bobby krzyczy, przyzywając swoją mamusię.

- Wszystko będzie dobrze - szepczę. - Bobby ma tatę, który go kocha. Jakże inaczej ułożyłoby się moje życie, gdybym i ja miała ojca! Myślę oczywiście o sytuacji, w jakiej się znalazłam po śmierci matki. Mnie została wówczas tylko siostra.

Nieoczekiwanie odżywa w mojej pamięci dzień pogrzebu matki; całkiem się wówczas załamalam, ale Stacey pomogła mi się pozbierać, nie pograżać w rozpacz, nie tracić ducha. Już wcześniej była moją podporą w czasie długiej choroby mamy.

Stacey... Po raz pierwszy od wielu miesięcy myśl o niej nie sprawia mi przykrości. Przeciwnie. Wspomnienie o siostrze nie tylko mnie nie boli, lecz nawet przybiera formę tęsknoty. Brakuje mi jej. To jedna z wielu prawd, z powodu których zdecydowałam się na ucieczkę z domu.

Widząc, że Bobby biegnie w naszą stronę, Daniel przyklęka, żeby go chwycić. Chłopiec gwałtownie się zatrzymuje. Policzki ma mokre od łez i oczy nabiegłe krwią.

- Mama nie przyszła - skarży się - choć ją tak wołałem.

- Ach Bobby! - mówi Daniel, ścierając łzy syna. Ma trudności ze znalezieniem właściwych słów pocieszenia. Oboje wiemy, że chłopiec powinien już zaprzestać „widywania” nieżyjącej matki, ale zdajemy sobie sprawę, że będzie to dla niego bolesne przejście.

Daniel bierze syna w ramiona i mocno przytula, szepcząc słowa w jakimś melodyjnym języku, którego nie rozumiem.

- Boję się, tatusiu - wyznaje Bobby.

- Czego się boisz?

- Że mógłbym zapomnieć, jak mama wyglądała - żali się cicho.

Daniel przymyka oczy i po tym poznaje, jak bardzo dotknęły go słowa dziecka. Kiedy znowu podnosi powieki, widzę, że lśnią na nich łzy.

- Już dawno powinienem to zrobić - mówi.

- Zrobić? Co?

Mężczyzna bierze Bobby'ego na ręce i niesie do domu.

- Zaczekaj tu! - poleca i zostawia go na kanapce, a sam biegnie na górę.

Patrzę na malca, na jego mokre od płaczu policzki i widzę, że brakuje mu dwóch przednich zębów; wydaje mi się taki drobny sam na kanapce.

- Czy zrobiłem coś złego? - zastanawia się chłopczyk. Siadam naprzeciw niego, bo chcę, żeby mnie uważnie wysłuchał.

- Opowiedz mi o niej, Bobby! - proszę.

- O mamusi? - Głos mu się łamie, ale zaraz na twarzy pojawia się uśmiech. A ja zadaję sobie pytanie, jak długo musiał czekać, by ktoś go zapytał o matkę.

- Mama lubiła różowy kolor i bardzo szybko mówiła...

Cieszę mnie jego słowa, bo przypominają mi moją własną matkę i jej przywary. Na przykład często w śmiechu prychała, a kiedyś, gdy byłam mała, tak bardzo się śmiała, że pite przez nią mleko ułało się nosem... To wspomnienie już wypadło mi z pamięci, ale właśnie wróciło. Mama zwykła mnie całować w czoło, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Ogromnie to lubiłam.

- Kiedy mama chciała elegancko wyglądać, we włosy wpinała spinki w kształcie motyla.

Pochylam się nad chłopcem i mówię:

- Nie zapomnisz jej, Bobby. Przysięgam ci to!

- Ale ja się boję, że ty też mnie zostawisz, tak jak ona... Zostawisz?

Powiedz!

Robi mi się przykro, gdy słyszę to pytanie i smutek w jego głosie. Wiem, że nie powinnam niczego obiecywać. W moim życiu panuje teraz duże zamieszanie i to, czego pragnę, niekoniecznie musi być osiągalne. Nie mogę jednak po prostu siedzieć i nic nie mówić.

- Mieszkam w Kalifornii, Bobby. Tam jest mój dom i drugie życie.

- Ale nie znikniesz nagle, bez pożegnania ze mną?

- Nigdy cię nie opuszczę bez pożegnania - obiecuję. Mimo wszystko takie zobowiązanie śmiało mogę złożyć.

Daniel schodzi z góry, niosąc wielki album z fotografiami i pudełko po butach.

Wstaję nieco chwiejnie. Wiem, że teraz ojciec i syn pograżą się w rodzinnych wspomnieniach i nie powinnam im przeszkadzać.

- Muszę już iść. Mam... - mówię.

- Nie odchodź - przerywa mi Bobby. - Powiedz jej, tatusiu! Powiedz Joy, żeby została!

- Proszę cię, Joy - powtarza Daniel, przygarniając syna do siebie. - Zostań z nami.

Ujmuje mnie sposób, w jaki wymawia słowo „proszę”. Do pozostania skłania mnie także świadomość, że Bobby jest bardzo przeczulony. Obchodzę dookoła kufer służący za stolik do kawy i siadam przy Danielu.

- Zrób Joy miejsce, tato!

Daniel przesuwa się w stronę syna.

- Dziękuję, mam mnóstwo miejsca - zapewniam.

- Joy mówi - odzywa się Bobby - że zawsze będę pamiętał różne szczegóły związane z mamusią, na przykład spinki z motylami, które nosiła we włosach. Albo to, jak mnie całowała na dobranoc, układając buzię w ciup.

- Układała buzię w ciup - powtarza Daniel szorstkim głosem i wiem, że on też myśli o Maggie.

- Pamiętam, że mamie zawsze się myliły słowa w piosence o Kubusiu Puchatku... - Głos Bobby'ego brzmi teraz mocniej i pewniej.

- Albo te jej wieczorne modlitwy, które trwały bez końca - wspomina Daniel, uśmiechając się. - Była życzliwa wszystkim, których kiedykolwiek spotkała, i modliła się za nich. A ciebie bardzo kochała - dodaje, spoglądając na syna.

- I ciebie też.

- Tak.

Daniel otwiera album, który trzyma na kolanach. Widzę tam serię czarno-białych zdjęć małego chłopca: na jednym gra na brudnej ulicy w piłkę, którą mu zastępuje puszka po konserwach; na innym jeździ na zardzewiałym rowerku albo stoi przy kamiennym murze z latawcem w ręku. Chłopiec ma kruczoczarne włosy, które dawno nie widziały fryzjera. To Daniel.

Jest tam jeszcze jedno zdjęcie brudnej ulicy i pubu o nazwie Pig and Whistle\*.

Wskazując parę, która pozuje do fotografii pod drewnianymi drzwiami pubu, Bobby objaśnia:

- Moja babcia i dziadek. Oni teraz mieszkają w Bostonie -dodaje.

- I nadal spędzają czas, wystając przed pubami - śmieje się Daniel, odwracając stronę.

A oto spogląda na nas Maggie, przystrojona w ślubne koronki. Jest młoda, inteligentna i ogromnie szczęśliwa. Uśmiech ma tak jasny, że mógłby rozświetlić całe Staples Center\*\*.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o moim albumie ślubnym, który obrasta kurzem głęboko wciśnięty w regał z książkami.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek rozpoznam siebie na fotografii z czasów młodości, czy też będę patrzeć na sceny z własnego życia sprzed lat jak archeolog, badający ślady jakiejś dawnej cywilizacji.

A co ze Stacey? Czy naprawdę mogę zbojkotować ślub siostry, tak ważne dla niej wydarzenie? Zawsze uczestniczyłyśmy we wszystkim, co się działo w życiu każdej z nas. Przecież tym chyba właśnie jest rodzina; nawet jeśli rozbita, zdradzona i krwawiąca, to jednak zawsze coś ją łączy.

Po chwili odsuwam od siebie wspomnienia i skupiam się na fotografiach w albumie Daniela.

*\* Pig and Whistle - nazwa sugeruje, że można tam dobrze zjeść i wypić. \*\* Staples Center - centrum sportu i rozrywki.*

Kilka następnych stron zajmują zdjęcia ślubne. Dziesiątki fotografii. Daniel przegląda je bez komentarza, a gdy dochodzi do końca, wydaje westchnienie ulgi.

- A tu jestem ja - wyjaśnia Bobby, wskazując zdjęcie noworodka. Dziecko jest tak małe, że jego twarzą wygląda jak różowa ćwierćdolarówka.

- Tak, zrobiłem je tego samego dnia, kiedy przynieśliśmy cię ze szpitala do domu.

- Ale mamusia na tym zdjęciu płacze.

- Płacze ze szczęścia, bo tak bardzo ciebie kochała.

W miarę jak Daniel przewraca kartki albumu i opowiada historię rodziny - a jego słowa, wymawiane z melodyjnym irlandzkim akcentem, brzmią niemal jak liryczna pieśń - widzę, że ci dwaj: chłopiec ze złamanym sercem i mężczyzna, który go kocha, stają się sobie coraz bliżsi.

- Tu jest twój pierwszy przyjaciel, Bobby, a to twój kuzyn Sean... twoje pierwsze urodzinowe przyjęcie... i dzień, kiedy po raz pierwszy powiedziałaś: mama.

Po jakimś czasie zauważam, że w albumie pojawia się coraz mniej zdjęć Daniela i nie ma żadnych razem z Maggie. Właściwie są tylko fotografie Bobby'ego.

Dobrze wiem, jak do takich sytuacji dochodzi. Nie dzieje się to nagle, ale stopniowo: dzień po dniu. Coraz mniej cię bawi rejestrowanie na kliszy każdej chwili życia, gdy nie jest już ono szczęśliwe. W Bakersfield mam całą szufladę pełną albumów. W najstarszych są zdjęcia, na których jestem razem z Thomem; w najnowszym - same krajobrazy.

Gdy Daniel dochodzi do ostatniej strony albumu, Bobby już śpi przytulony do ojca.

- Joy? - słyszę moje imię wypowiedziane szeptem. Daniel, wymawiając je w ciszy, jaka tu panuje, wzdycha i się uśmiecha.



- Jestem tu - odpowiadam, czekając na dalsze słowa. Kiedy nie następują, decyduję się na pewną śmiałość. Pochyliam się do niego i próbuję coś zasugerować: - Może byśmy, ty i ja... - I nie wiem, jak dokończyć zdanie, jak prosić o to, czego pragnę. Cokolwiek bym powiedziała, nie ma już żadnego znaczenia. Posunęłam się za daleko, za bardzo się odsłoniłam... Daniel potrząsa głową i odsuwa się ode mnie.

- Nic z tego nie rozumiem... tracę chyba rozum... - bąka, nie patrząc w moją stronę. Potem wstaje, bierze Bobby'ego na ręce i zanoszą na górę.

Co ja sobie właściwie myślałam, mówiąc „ty i ja”, gdy przed nami leżały fotografie jego nieżyjącej żony?

Jak zwykle odezwałam się nie w porę. Jestem mistrzynią w popełnianiu takich gaf.

I znowu zostałam sama.

Próbuję zasnąć, ale zaczęło świtać, więc sen już nie przychodzi. Około siódmej poddaję się, wstaję i biorę prysznic. Jestem w kuchni i rozglądam się za kawą, gdy słyszę kroki, najpierw na schodach, potem w korytarzu. Odwracam się i widzę wchodzącego Daniela. Jest wymizerowany i wygląda na zmęczonego. Ma podkrążone oczy, jakby ktoś narysował pod nimi węglem głębokie i ciemne obwódki.

Patrzy na mnie, a później na ekspres do kawy i uśmiecha się.

- Ach, kawa... - mówi.

- Okazuje się, że oboje mamy nawyk picia kawy - zauważam. - Łączy nas także to, że chcemy zacząć wszystko od początku. - Ledwo mi się te słowa wypsnęły, już chciałabym je odwołać, tym bardziej że ich brzmienie jest tak samo seksowne jak głos Marilyn Monroe, gdy z okazji urodzin śpiewała prezydentowi Kennedy'emu *Happy Birthday to You*.

Daniel zatrzymuje na mnie na chwilę wzrok, po czym wychodzi. Stoję i czuję się jak idiotka, bo cokolwiek powiem, jest źle...

Przyznaję, że mnie to nie zaskakuje ani nie dziwi, bo nie mam doświadczenia w sprawach męsko-damskich. W szkole średniej chodziłam z jednym chłopcem, Jedem Breenem, a w lecie po ukończeniu liceum romansowałam z Jerryem Wistem. I to wszystko. Thoma poznałam na pierwszym roku studiów w Davis, a od czasu rozvodu z nikiem się nie spotykałam i Bóg mi świadkiem, że tak było!

Popijając kawę, idę do holu. Bobby, jakby na mnie czekał, podbiega i prosi:

- Chciałbym, żebyś mnie znowu uczyła czytać.

- Bardzo chętnie - odpowiadam.

Od razu ciągnie mnie na kanapkę i siedzimy razem wiele godzin, sylabizując zdanie po zdaniu. Chwalę go i zachęcam, a jednocześnie nasłuchuję, czy nie nadchodzi Daniel. Wciąż rozpamiętuję taniec z nim i jego wyszeptane słowa zachęty, abym wypowiedziała jakieś życzenie, a potem stwierdzenie, że „byłoby miło, gdyby mógł zacząć wszystko jeszcze raz od początku”.

- Joy! - woła Bobby, a po chwili już wrzeszczy: - JOY!!! Mrugam i wracam do rzeczywistości.

- Przepraszam, Bobby! - bąkam.

Jestem jak nastolatka, która rozmarza się, tęskniąc za swoim chłopakiem... Myśl o tym mnie rozśmiesza; no, no, kto by pomyślał!

- Powiedz, co to za słowo! - słyszę. Kieruję uwagę na książkę, która leży na moich kolanach. Jest to Disneyowska wersja *Pinokia*, a Bobby wydaje się z niesłabnącym apetytem „pożerać” tę historię o wystruganym z klocka chłopcu, który pragnie być żywy. Czytamy ją dziś już po raz drugi.

- Ż... y... w... y... - sylabizuję. - Żywy - powtarzam.

- Chciałbym - mówi Bobby, patrząc na mnie - żeby dobra wróżka sprawiła, by mój Freddy też stał się żywy.

Gdyby dobra wróżka istniała naprawdę, Freddy chodziłby teraz po kolana w koniczynie. Bobby szczerze kocha tego baranka z filcu i zmierzwionej wełny, z rozluźnionymi oczkami z guzików.

Gdy ktoś głośno otwiera drzwi, chłopiec natychmiast zamyka książkę. Chce zrobić ojcu niespodziankę, że już umie czytać. Wchodzi Daniel; jego flanelowa koszula i puchowa kamizelka są poproszone trocinami i mokre od

deszczu. Twarz ma tak zabłoconą, że aż szarą, ale kiedy się uśmiecha, jego zęby lśnią wspaniałą bielą.

- Witajcie! - mówi. Zdejmuje kamizelkę, kładzie ją na fotelu, a potem włącza telewizor. - Nie ma sensu dłużej pracować. Idzie burza - tłumaczy.

- Burza? - Bobby jest wyraźnie przestraszony.

- Nie bój się, synku! Jestem tu po to, by cię chronić. Bobby przytula się do mnie i jęczy:

- Nienawidzę burzy.

Dopiero teraz zauważam, jak ciemno zrobiło się w holu. Czarne chmury zakrywają niebo. Po jeziorze i trawie pełzną jakieś cienie.

- Włącz wiadomości, Bobby! Dobrze? - poleca Daniel i pochyla się, żeby zdjąć buty. - Zaraz wrócę - oznajmia i idzie na górę.

Bobby sięga po pilota i naciska odpowiedni guzik. Słychać głuchy dźwięk, a potem pojawia się obraz.

- Nie znoszę wiadomości - mruczy chłopiec i zerka przez okno na ciemniejący dzień.

Na ekranie ładna blondynka najpierw informuje o trzech pożarach w śródmieściu Seattle, a potem podaje resztę newsów: w mieście zanotowano kilka włamań, w Hoquiam ukradziono samochód, a z sąsiedniego gimnazjum ktoś wyprowadził kozę, która była maskotką uczniów.

Pokazują przygotowania do świąt: pojawia się szereg bardzo pięknie przystrojonych domów z dokładnym adresem, aby ludzie mogli z jadącego samochodu podziwiać dekorację.

Pomyślałam, że u nas, w południowej Kalifornii, co innego się robi z jadącego samochodu.\*

*\* Autorce chodzi zapewne o przestępstwa polegające na strzelaniu do ofiary z jadącego samochodu.*

Coraz częściej rozlegają się grzmoty, a po niebie przelatują zygzaki błyskawic.

Bobby zaczyna krzyczeć. Przygarniam go do siebie i uspokajam:

- Nie denerwuj się! Jestem przy tobie.

Nagle dociera do mnie, że w telewizji znów mówi się o katastrofie samolotu. Chcę poprosić Bobby'ego, by wyłączył telewizor albo zmienił kanał, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Zrywam się na nogi i podchodzę bliżej.

- ... Katastrofa wydarzyła się w piątek wieczorem, w odległości około stu trzydziestu kilometrów na północ stąd -relacjonuje spikerka. - Jak już donosiliśmy wcześniej, dzięki pomocy straży pożarnej udało się uratować wszystkich jedenastu pasażerów, których nazwiska figurują na liście lotu. Osoby poszkodowane zostały umieszczone w miejscowych szpitalach.

Na ekranie w dużym powiększeniu ukazuje się fotokopia mojego prawa jazdy.

- Poszukujemy Joy Faith Candellaro pochodzącej z Bakersfield w Kalifornii - ogłasza spikerka takim tonem, jakby podawała przepis na zapiekanekę z tuńczyka, a nie wiadomość o zaginionej osobie. - Najemca lotu czarterowego, pan Riegert Milosovich, powiedział władzom, kiedy odzyskał przytomność po operacji, że pani Candellaro nabyła bilet w ostatniej chwili i znajdowała się na pokładzie samolotu w czasie, gdy...

- Czy ten piorun już w końcu uderzył? - pyta zdenerwowany Bobby.

- Chwileczkę, mój drogi!

Straszliwy hałas, jaki powstał w mojej głowie, zagłusza słowa spikerki. Próbuje się w nie wsłuchać, ale raptem obraz się zmienia, a mnie aż zatyka z wrażenia. Bo oto na ekranie pojawia się Stacey. Stoi przed garażem mieszczącym trzy samochody i płacze. Ma na sobie bladożółty podkoszulek i dobrane kolorystycznie spodnie, które podarowałam jej w ubiegłym roku na urodziny. Wygląda szaro i bezbarwnie.

- Modlimy się, aby Joy do nas wróciła - mówi i patrzy na Thoma, który robi wrażenie zaskakująco poruszonego.

Czyżby płakał? - Ale skoro mamy okres świąteczny, to możemy się spodziewać cudu, prawda? - kończy Stacey.

- Ta pani jest podobna do ciebie - zauważa Bobby, wskazując moją siostrę.

- Naprawdę? - odpowiadam zduszonym głosem. Słyszałam to przez całe życie. Mówiono o nas „irlandzkie bliźniaczki”, choć między nami jest rok różnicy. Ale mimo że nie byłyśmy bliźniaczkami, jako siostry mogłyśmy na sobie zawsze polegać.

- Ta pani jest bardzo smutna - stwierdza Bobby.

Kto by pomyślał, że siostra będzie tak za mną tęsknić! -mówię sobie w duchu. Ale sama siebie okłamuję, gdyż doskonale znam prawdę, którą przez te wszystkie dni i noce starałam się ukryć. Nie tylko wiedziałam, że Stacey będzie za mną tęsknić i płakać, ale tego właśnie pragnęłam. Chciałam, by żałowała, że wyrządziła mi krzywdę. Chciałam złamać jej serce, tak jak ona złamała moje. Ale co innego chcieć, by Stacey miała z mego powodu wyrzuty sumienia, a całkiem co innego pozwolić, żeby myślała, iż ja nie żyję. Rozumiem więc, że zbliża się koniec moich wakacji...

- Co się z tobą dzieje, Joy?

Na dworze szaleje burza. Domem raz po raz wstrząsają grzmoty. W oknach brzęczą szyby.

- Tatusiu! - krzyczy Bobby i zeskakuje z kanapki.

W ciągu sekundy Daniel zjawia się na dole, obejmuje chłopca i przyciska do siebie.

- To tylko burza, synku! - uspokaja. - Nie ma powodu do strachu.

- Tata ma rację, Bobby. Nie ma się czego bać - przekonuję łagodnie, ale wiem, że to nieprawda. Mamy powód do niepokoju - zarówno Bobby, jak i ja - bo przecież wkrótce go opuszczę i wrócę do swego domu.

Błyskawica rozjaśnia pokój i wszystko w nim tonie w błękitnobiałej poświacie. Patrzę na Daniela mocno tulącego syna i na Bobby'ego, którego bladą twarzyczkę zalewają łzy.

- Tak było, kiedy mamusia... - wspomina Bobby.

- Pst - szepcze Daniel - cicho... - Odwraca się i zanosz syna na górę. Słyszę ich głosy, stłumione i niepewne.

Potem Daniel śpiewa Bobby'emu. Na tle przyciszonych dźwięków pieśni rozpoznaję płacz chłopca. Nie znam tej melodii i nie rozumiem słów, ale piosenka mnie wzrusza; wracam myślami do dawnego okresu w moim życiu, kiedy czułam się bezpieczna i kochana.

Po ciemku odnajduję drogę do biurka w recepcji i sięgam po telefon. Najwyższy czas, żebym zadzwoniła do Stacey. Migoczące światło błyskawic to gaśnie, to znów się zapala i raz po raz przenosi mnie z jasności w ciemność.

Podnoszę słuchawkę i czekam na zgłoszenie się telefonistki. Po dwóch sygnałach całkiem wysiada prąd: telefon milknie i wszystko pogrąża się w mroku.

W moich snach świat pełen jest dziwnych odgłosów i nieznanych zapachów. Światło brzęczy dokoła mnie jak pszczoły wokół plastra miodu. I jakiś świszczący dźwięk powtarza się wciąż na nowo i na nowo.

Źródłem dziwnych dźwięków są spienione fale omywające plażę, którą nazywają Kalaloch. Słyszę, jak wzywają mnie szeptem, żebym podeszła bliżej i poczuła ich chłód. Mam takie uczucie, jakby mnie ktoś trzymał pod wodą. Nie mogę oddychać. Ogarnia mnie panika. Walczę, żeby się wydostać na powierzchnię, ale na próżno.

- Zbudź się, Joy!

- Obudź się, proszę! To głos mojej siostry.

Fale oceanu już mi nie grożą. Znów mam dziesięć lat i razem ze Stacey jesteśmy na wakacyjnym obozie w Needles w Kalifornii. Stacey, wbrew przepisom, ma zamiar pójść w nocy na basen i popływać. Ciągnie mnie za rękaw.

Teraz znajduję się na ulicy Madrony. Stoję wystarczająco blisko mojej ciężarnej siostry, by móc jej dotknąć, a jednak z jakiegoś powodu nie jestem w stanie do niej sięgnąć. Zaproszenie na ślub leży na asfalcie między nami. „Thomas James Candellaro i Stacey Elizabeth McAvoy mają zaszczyt zaprosić... ”

- Obudź się, Joy!

Ktoś dotyka mojego ramienia i delikatnie nim potrząsa.

Otwieram oczy. Początkowo nie mam pojęcia, gdzie jestem, bo otacza mnie ciemność. Zdawało mi się, że przebywam we własnym domu i wpatruję się w sufit, wsłuchana w przenikliwy dźwięk kosiarki strzygącej trawnik u starego pana Lundgrena. Tymczasem widzę, że przy moim łóżku



stoi Bobby i przygląda mi się z niepokojem. Unoszę się na łokciach i odgarniam spadające mi na czoło rude, rozwichrzone włosy.

- Bobby! - mówię, próbując otrząsnąć się ze snu. Ale wszystko wydaje mi się nadal niewyraźne i pogmatwane. Nie pamiętam już, kiedy tak głęboko spałam...

- Nie mogłem się ciebie dobudzić - skarży się chłopiec.

- To dlatego, że wczoraj długo nie mogłam zasnąć - tłumaczę mu, jakby dziecko potrafiło zrozumieć, jak bezsenne miewamy noce, gdy nęka nas poczucie winy.

- Mnie się śniło, że odeszłaś.

Przymykam oczy i wzdycham; że też mogłam tak lekkomyślnie się z nim zaprzyjaźnić, nie zastanawiając się, do czego to może doprowadzić. Poniosła mnie fantazja i pozwoliłam, żeby piękne wyobrażenia o niemożliwej przecież do zrealizowania przyszłości otoczyły mnie ochronnym wałem, tworząc bezpieczne miejsce, w którym mogłabym osiąść. Myślałam o moim pobycie tutaj jak o przygodzie, a tymczasem to była jedynie ucieczka i przez cały czas tykał zegar, wskazujący godzinę, w której zostanę wykryta, tylko że ja go wcześniej nie słyszałam.

- Czy stąd wyjedziesz? - pyta Bobby, a ja pragnę go okłamać. Więcej: życzę sobie, by moje kłamstwo okazało się prawdą. Wiem jednak, że jestem tu obca i że bez względu na to, jak bardzo tego chcę, ta piękna, choć dzika okolica nie jest moim domem. Tę właśnie prawdę uzmysłowiłam sobie ubiegłej nocy, gdy, leżąc w ciemności, na próżno próbowałam zasnąć. Daniel nigdy najmniejszym nawet gestem nie dal mi do zrozumienia, że cokolwiek do mnie czuje. Te wszystkie moje domysły: „a jeżeli coś, a jeżeli tak”, powinny raczej brzmieć: „a jeżeli nic, a jeżeli nie”.

Zachowywałam się jak Bobby, jak dziecko, które o świcie wyczekuje na przystani na przyjście ducha.

Dotykam okrągłych policzków chłopca. Już niedługo skóra na nich stanie się szorstka i pojawi się zarost. Bobby będzie młodym mężczyzną, a ja wspomnieniem z jego dzieciństwa.

- Tak bym chciał, żebyś została... - mówi nieśmiało. Kiedyś w przyszłości pewnie zdobędę się na to, żeby poczuć ból zawarty w tych słowach, ale nie teraz.

- Ty masz tatusia, który ciebie kocha, a ja mam... siostrę, która prosiła mnie o przebaczenie, i muszę do niej wrócić. Tego właśnie nauczyłam się tutaj od ciebie i od twego ojca.

- Będę za tobą tęsknił, kiedy odjedziesz. Nie przejmujesz się tym?

- Bardzo się tym przejmuję - zapewniam, choć niełatwo mi mówić, gdyż łyzy ściskają mi gardło.

Bobby patrzy na mnie wilgotnymi oczami, w których maluje się wyrzut.

- Może zostaniesz choćby do pierwszego dnia świąt, żebyśmy razem otworzyli prezenty.

- Nie mogę.

- Proszę cię...

I jak mu powiedzieć „nie”? Zwłaszcza że sama tak bardzo tego pragnę. Zadzwońię do Stacey i powiem, że u mnie wszystko w porządku, a potem zakończę bożonarodzeniową przygodę i wyjadę z miejsca, które tak mocno pokochałam.

- Dobrze - mówię, wzdychając - zostanę do pierwszego dnia świąt, ale na świętego Szczepana będę musiała wyjechać. Okej?

- ... więc obiecujesz, że do świąt zostaniesz?

- Obiecuję.

Bobby z trudem zdobywa się na uśmiech. Oboje wiemy, że to nie jest najlepsze rozwiązanie, nie tego pragniemy, ale jednocześnie mamy pewność, że nic więcej nie da się teraz osiągnąć.

Zanim wzięłam prysznic i zjadłam śniadanie, była już prawie dziesiąta.

Wychodzę z pokoju - w każdym razie mam taki zamiar - ale potykam się na progu i upadam. Kiedy się podnoszę i patrzę na tę małą, nędzną klitkę, jaką jest pokój 1A w mocno już podniszczonym hotelu o absurdalnej nazwie „Komfortowy Ośrodek Wędkarski”, wiem jedno: będzie mi go bardzo brakowało.

Ale wystarczy, że przymknę oczy, i jawi mi się pokój taki, jaki mógłby być i o jakim marzyłam. Ma ściany z bali, wyszorowanych do białości, potem zaimpregnowanych i wypolerowanych. Zamiast zielonego dywanu, który dawniej zakrywał podłogę, jest posadzka z szerokich sosnowych desek. W pokoju stoi też ładne białe łóżko z kutego żelaza, a na nim ręcznie zrobiona narzuta i ozdobne poduszki w lawendowoniebieskim odcieniu, który dokładnie oddaje koloryt wieczornego nieba tuż przed zachodem słońca. W wazonie na antycznej toaletce są świeże kwiaty. W odnowionej łazience białe kafle, mosiądz i wanna na lwich łapach.

Opuszczam pokój moich marzeń, zamykam drzwi i wychodzę. Bezszelestnie stąpając po oliwkowozielonym dywanie, udaję się do kuchni. Pusto w niej, ale na ladzie znajduję tacę pełną owoców i kilka plasterków sera. Nie muszę wchodzić na górę (zresztą nie miałam takiego zamiaru), by wiedzieć, że Daniel i Bobby wyszli już z domu. Przygnała mnie tu zwykła ciekawość. Chciałam się przekonać, jaka w tym miejscu panuje aura, gdy są

tu ludzie, a jaka, gdy ich nie ma. Chciałam zobaczyć, jak to jest, gdy nie trzeszczy nad głową podłoga ani nie osypuje się z sufitu kurz, bo tak się właśnie dzieje, ilekroć Bobby jeździ w holu na piętrze na swojej deskorolce. Lampki na choince są wygaszone, biurko w recepcji ciemne.

Podchodzę do okna jedynie po to, aby się upewnić, że moich gospodarzy rzeczywiście nie ma w domu. Widzę, że burza ustala, chmury skupiły się nad lasem, a wiatr rozwiewa liście po przystani i napiera na drzewa, gnąc je, jakby były z plasteliny. Deszcz nie pada. Nigdzie nie widać ciężarówki.

Rozglądam się, chcąc sprawdzić, czy nie zostawili dla mnie jakiejś notatki, choć wiem, że jej nie znajdę. Przecież jestem hotelowym gościem, więc z jakiej racji mieliby mnie powiadamiać, dokąd się udali albo kiedy wrócą. Mimo wszystko - i nic na to nie poradzę - czuję się rozczarowana.

Pozostaję w holu dłuższy czas. W końcu podchodzę do telefonu i podnoszę słuchawkę. Wydaje mi się dziwnie chłodna i nadal nie ma sygnału.

Na krótką chwilę czuję ulgę. Zdaję sobie sprawę, że choć bardzo bym chciała, nie mogę tutaj zostać i wciąż ukrywać się przed światem. Moim światem. Myślę, że mój telefon do Stacey będzie dla niej swoistym prezentem gwiazdkowym. Tylko tyle, ale to już coś. Zacznę od tego, lecz kto wie, dokąd dojdziemy.

Wracam do pokoju, wyjmuję z szafy pożyczony niebieski sweter, potem za biurkiem w recepcji znajduję parasolkę i na wszelki wypadek zabieram ją ze sobą. Wychodzę.

Wiatr pędzi wzdłuż drogi i świszczę między drzewami. Las wydaje się ciemniejszy niż zwykle, takie jest też niebo. Kieruję się w stronę asfaltowej

szosy, która, wijąc się niczym czarna wstążka, biegnie równoległe do jeziora. Liście i śmieci suną po chodniku i unoszą się w powietrzu koło mnie. W przydrożnych rowach bulgocze brązowa woda. Ustawiam się przeciw wiatrowi i idę do przodu, taplając się w kałużach pozostałych po burzy. Droga jest mokra i błyszcząca. Początkowo maszeruję w niezłym tempie. Jestem w całkiem dobrej formie. Mimo wszystko regularnie ćwiczę aerobik; w zeszłym tygodniu nawet nieco schudłam. W każdym razie czuję się szczuplejsza, bo, prawdę mówiąc, nie sprawdziłam tego na wadze.

Każdy mijany zakręt wydaje mi się tym właściwym, który prowadzi do miasta. Wciąż oczekuję, że jeszcze chwila, a zobaczę przed sobą domy podmiejskiej dzielnicy, a nad nimi diadem świątecznych świateł, migoczących w burzowej ciemności. Tymczasem za każdym rogiem zaczyna się inny odcinek prostej drogi, jak gdyby ta szosa ciągnęła się bez końca.

Tracę siły, co wydaje mi się o tyle dziwne, że moje oddechy przypominają białe chmurki wypływające z ust i unoszące się przede mną. Niemniej z coraz większym wysiłkiem stawiam kroki. Jest zimno. Wiatr smaga mi twarz i targa włosy.

Nie mogę uwierzyć, że zaraz po katastrofie zdołałam przejść taki szmat drogi. Wtedy miałam wrażenie, że wędrówka przez prastary las to nic trudnego. A tymczasem są to długie, niekończące się kilometry. Nie rozumiem, jak wówczas udało mi się je pokonać.

Idę dalej i dalej, ale po jakimś czasie zaczynam się zastanawiać, czy nie zawrócić. Choćby dlatego, że jestem tu sama. Podczas marszu nie minął mnie żaden samochód i ani razu się nie zdarzyło, żeby jakieś światła rozbłysły choć na moment, by wskazać drogę. Złowieszcze czarne chmury

unoszą się tuż nad ziemią, co sprawia, że mimo popołudniowej pory na dworze jest już prawie ciemno.

Przede mną jeszcze jeden zakręt. - To właśnie ten - mówię na głos. - Ale jeśli za rogiem nie będzie miasta, zawrócę.

I nagle gdzieś z dali dochodzi do mnie odgłos przejeżdżających samochodów.

- Dzięki Bogu - szepczę.

Łatwiej mi się teraz idzie, gdy koniec drogi jest niemal w polu widzenia. Nawet trochę przyspieszam i wreszcie, gdy wchodzę do miasta, brakuje mi tchu.

Opuszczam dwupasmową szosę i skręcam w ładną, obsadzoną drzewami uliczkę o wdzięcznej nazwie Azalea. Po przejściu jakichś dwudziestu pięciu metrów nagle sobie uzmysławiam, że miasto tonie w ciemności. Budynki wydają się mniejsze, a stoją tak blisko siebie, jakby się do siebie tuliły, żeby im było cieplej.

Na skraju parku dostrzegam nieco archaiczną budkę telefoniczną: coś, czego dawno nie widziałam. W tej części Kalifornii, gdzie mieszkam, świat stał się „komórkowy” i o oszklonych budkach telefonicznych całkiem zapomniano.

Wchodzę do budki i zamykam za sobą drzwi, zdziwiona, że nie zapala się światło. Jeszcze przed podniesieniem słuchawki wiem, że telefon jest nieczynny. Nie ma tu także książki telefonicznej; został tylko zardzewiały łańcuch, na którym kiedyś wisiała.

Kiedy wychodzę z budki, po ciemnoszarym niebie roznosi się groźne pomrukiwanie grzmotu. Zygzaki błyskawic co parę minut elektryzują śpiące

miasto. Po chwili zaczyna padać, i to gwałtownie. Otwieram parasolkę; deszcz dudni o plastikową kopułę nad moją głową. Biegnę przez park.

Na ulicach okapy chronią mnie przed deszczem. Gdy przechodzę blisko budynków, nawet w panującym mroku widzę, jak bardzo są zadbane. Każde okno jest przystrojone świąteczną dekoracją. Na drzwiach małej restauracji z zachęcającym szyldem: „Wstąp na chwilę” figuruje napis: „Zamknięte” z dopiskiem: „Zabrakło soku”. Te słowa pobudzają mnie do śmiechu, choć jest mi zimno i podle się czuję.

Gdy na końcu ulicy dochodzę do znaku drogowego wskazującego cztery kierunki, skręcam w prawo, tam bowiem dostrzegam owe chroniące przed deszczem okapy. Dwa bloki dalej wpada mi w oko - w co trudno uwierzyć - stacja benzynowa, w której się świeci. Pewnie mają własny generator -myślę. Pędzę przez mokrą i śliską ulicę i dopadam do drzwi kantorka. Okazuje się, że mieści się tam niewielki sklep z rzędami kolorowych półek wypełnionych towarami. Jaskrawe oświetlenie zmusza mnie do mrużenia oczu.

Za ladą siedzi starszy mężczyzna i czyta coś, co wyjął z manilowej teczki. Robi także notatki na kartce papieru, umieszczonej na tabliczce z zaciskiem przytrzymującym arkusz. Na ladzie leży wąski szary telefon komórkowy.

- Chwała Bogu! - cieszę się i wytrząsając wodę z parasolki na przykrytą linoleum podłogę, zaczynam: - Ale się ta burza rozszalała...

Mężczyzna patrzy na mnie wyraźnie zaskoczony, że ktoś odważył się wyjść w taką pogodę. Ma szczupłą twarz, elegancko przystrzyżone siwe włosy i niebieskie oczy, które wydają się zadziwiająco bystre u tak starego człowieka.

- I nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, jak długo to może potrwać - zauważa.

Uśmiecham się; wiem, że tak zawsze mówią synoptycy, gdy nie mogą przewidzieć, jak się zmieni aura.

- Czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu? - pytam.

Facet dziwnie na mnie patrzy i przytyka w aparat słuchowy widoczny w jego lewym uchu.

- Z jakiego tonu? - odpowiada pytaniem.

- Nie, nie z tonu. Chodzi mi o telefon. Muszę zadzwonić. Rozmowa będzie na rachunek odbiorcy.

- Czy pani mnie słyszy? - Zirytowany pochyła się w moją stronę. - Telefon jest zepsuty.

- Ależ ja świetnie pana słyszę - mówię, próbując opanować zniecierpliwienie w głosie. Jestem zmęczona, przemoczona do suchej nitki i marzną. W tej sytuacji niewiele mi trzeba, żeby mu nawymyślać. By temu zapobiec, biorę głęboki wdech i silę się na uśmiech. - Wiem, że nie ma prądu. Ale może mogłabym użyć tego? - I postukuję w jego telefon komórkowy. - Bardzo pana proszę... Muszę porozmawiać z siostrą.

Na te słowa mężczyzna szeroko się uśmiecha, błyskając nieskazitelnie białymi sztucznymi zębami, i pociąga się za ucho, w którym, ku memu zdumieniu, tkwi ozdobny kolczyk, wyglądający na brylancik.

- Tak, dobrze jest porozmawiać... - przyznaje.

Ten biedny człowiek jest głuchy jak pień. Gdybym nie była taka zmarznięta i tak bardzo zdesperowana, na pewno bym się zdobyła na uprzejmiejsze zachowanie. Ale jest inaczej, więc walę prosto z mostu:



- Ma pan rację, ale muszę skorzystać z pańskiego telefonu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu.

- Tylko nie leciwemu, proszę pani...

- Dziękuję! Bardzo mi pan pomógł - mówię, sięgając po jego komórkę. Kiedy ją uruchamiam i naciskam odpowiednie guziczki z cyframi, cały czas się boję, że lada chwila mnie ten pan powstrzyma, ale on nie reaguje, tylko wraca do czytania.

Komórka dzwoni i dzwoni, a ja przy każdym jej beklowym dzwonku coraz bardziej się denerwuję. W końcu włącza się poczta głosowa i słyszę nagraną wypowiedź Stacey:

- Wesołych świąt! Stacey i Thom są w tej chwili nieosiągalni, ale proszę zostawić wiadomość, a na pewno oddzwonimy. Dziękujemy! - Okropnie się zestresowałam, słysząc razem ich imiona, które brzmią niemal jak jedno słowo: Staceyithom, Thomistacey. Kiedyś tak brzmiały nasze imiona, moje i jego...

- Cześć, Stacey! Tu Joy. U mnie wszystko w porządku. Nie musisz się o mnie martwić. Zadzwoń do ciebie w pierwszy dzień świąt. - Wydaje mi się, że powinnam powiedzieć coś więcej, ale nic mi nie przychodzi do głowy. -Do widzenia! - rzucam jeszcze i przyciskam guziczek kończący rozmowę.

- Dziękuję panu! - mówię, zwracając komórkę właścicielowi. - Może pani jeszcze mówić dłużej - zachęca mnie starszy pan.

- Nie, dziękuję. Skończyłam. - Uśmiechając się, zabieram swoją parasolkę, po czym opuszczam ciepłą i jasno oświetloną stację benzynową.

Dopiero gdy znów jestem w parku i z trudem brnę przez ulewny deszcz, przychodzi mi na myśl, że mogłam poprosić tego pana o

podwiezienie mnie do domu. Przecież jesteśmy w Stanach, i to w typowym amerykańskim miasteczku. A u nas ludzie wzajemnie sobie pomagają i świadczą różne grzeczności. Zawracam i kieruję się w dół ulicy. Grzmi i deszcz siecze bez litości. Gwałtowność burzy sprawia, że wszystko mi się myli. Czuję się zagubiona i nie potrafię odnaleźć drogi prowadzącej do stacji benzynowej. Zawsze byłam kiepska, jeśli chodzi o orientację w terenie. Wzdychając żałośnie, kieruję się w stronę parku, by po chwili dojść do starej szosy. I pierwsze, co wtedy przychodzi mi na myśl, to konstatacja, że ta droga prowadzi do mego domu.

Dopiero potem sobie przypominam, że mój dom jest gdzie indziej: przy ładnej małej uliczce w niezbyt eleganckiej dzielnicy Bakersfield - miasta, w którym moja ciężarna siostra i mój były mąż stanowią teraz małżeńską parę: Staceyithom. I co ja im powiem?

## 8

Ledwie pomyślałam, że pogoda już gorsza być nie może, zaczął padać śnieg. W jednej chwili krajobraz zmienił się z burzowego w magiczne miejsce o nieprawdopodobnej jasności. Chmury się uniosły, wyjrzał świetlisty księżyc i zalał drogę srebrzystą poświatą. Siekący deszcz przerodził się w grad drobniutkich śnieżnych kuleczek, które leniwie opadały na ziemię.

Wszystko ucichło, świat wstrzymał oddech. Bulgocząca w rowach woda przypomina teraz śmiech dziecka. Znów poczułam ostrą woń sosnowych drzewek i bogate zapachy mokrej ziemi.

Niestety, to nieoczekiwane piękno ma też ujemne cechy: jest bardzo zimno. Mój sweter okazał się niewystarczająco ciepły i cała trzęsę się z przenikliwego chłodu. Robię wszystko, co tylko można, żeby nie marznąć, ale nic nie pomaga. Każdy mój oddech natychmiast zamienia się w białą chmurkę i wkrótce odnoszę wrażenie, że idę w gęstej mgle.

Nie mogę przestać trząść się z zimna. Pewnie wyglądam jak umysłowo chory pacjent, który uciekł ze szpitala, gdzie mu robiono elektryczne wstrząsy, i teraz podryguje, zataczając się na nierównej drodze. Jestem tak zmęczona, że nade wszystko pragnę choć na chwilę przystanąć. Wiem jednak, że jeśli przerwę marsz, to padnę i być może już się nie podniosę. Powieki mi ciążą, a palce u rąk i nóg aż pieką z zimna. Policzki mam tak złodowaciałe, że wydają się gorące. Każdy płatek śniegu pali mi skórę. Wyrzucam sobie, że się wybrałam na spacer w taki straszny dzień. Usprawiedliwia mnie tylko to, że wychowałam się w Kalifornii i nie wiedziałam, jaki jest tutejszy klimat.

„Skończ z tym ponurym myśleniem” - nakazuję sobie. Ale choć próbuję nadać swoim słowom surowy ton, nic z tego nie wychodzi. Szczękam zębami głośno jak evinrude\*. Muszę myśleć pozytywnie, choćby o tym, że może Bobby i Daniel będą mnie oczekiwać na przystani świątecznie przystrojonego ośrodka wędkarskiego. A jeśli są teraz w domu, czy zauważyli, że wyszłam, i czy się o mnie martwią? A swoją drogą, ileż to czasu minęło, od kiedy ktoś na mnie czekał i się o mnie niepokoił?

*\* Evinrude - hałaśliwe silniki do łodzi.*

STACEY.

Mimo że z jej winy tyle się wydarzyło i mimo całego zła, jakiego od niej doznałam, to jednak - choć pozornie okazuję jej niechęć - bardzo za moją siostrą tęsknię. Taka jest prawda. Prawdą jest również to, że właśnie jej, Stacey, chciałabym opowiedzieć o moim pobycie w lesie deszczowym, a także o pewnym mężczyźnie i chłopcu, na których mi coraz bardziej zależy.

Myślę, że katastrofa samolotu i moje zgubienie się w czasie burzy śnieżnej wszystko jej wyjaśnią.

Tak głęboko pogrążyłam się w myślach, że dopiero po chwili usłyszałam dochodzący gdzieś z tyłu warkot silnika, a kilka sekund później dostrzegłam dwa snopy światła z przednich reflektorów zbliżającego się samochodu. Zauważyłam też, że pada teraz gęsty śnieg.

Zatrzymuję się i odwracam. Poznaję czerwoną furgonetkę Daniela, która wolno wlecze się drogą. Ta plama czerwieni w śnieżnobiałym świecie wydaje mi się czymś nierealnym, wyśnionym. Nie jestem pewna, czy widzę ją naprawdę, czy moi wybawcy to tylko przywidzenie.

Ciężarówka podejżdża i zatrzymuje się obok mnie. Niebieskie drzwi kabiny skrzypią, po czym z hukiem się otwierają. Bobby zsuwa się na sam skraj siedzenia. Na jego twarzy widać, że coś go gnębi, ale jednocześnie buzia wydaje się zbyt kolorowa w tym mglistym świetle i panującym półmroku.

- Joy?

Próbuję odpowiedzieć, czy choćby się uśmiechnąć, że niby nic takiego się nie stało, ale słyszę jedynie szczekanie swoich zębów. I nagle wybucham płaczem jak dziecko, bo dopiero teraz sobie uświadamiam, jak bardzo się bałam, że się zagubię i znowu będę całkiem sama. Nic więc dziwnego, że pomyślałam o Stacey.

- Pomóż Joy, tato! - krzyczy Bobby. - Ona marznie!

Daniel wyskakuje z kabiny.

- Nic mi nie jest - mówię, ale mój głos brzmi chrapliwie, jakby ktoś wiertarką kruszył cement. Chwytam drzwi ciężarówki i choć lodowaty metal pali mi dłonie, podciągam się i wchodzę do kabiny. Nie chcę, żeby Daniel się dowiedział, jak strasznie zmarzłam i jak głupio się naraziłam, kto wie, czy nie na śmierć. Przecież mogłam tu umrzeć...

- Dziękuję - mamroczę, nie przestając szczekać zębami.

Daniel stoi z boku, zagląda do kabiny i patrzy na mnie z niepokojem. Pewnie nigdy jeszcze nie widział kobiety, której policzki byłyby tak sine z zimna. Ma dziwny wyraz oczu, którego nie potrafię odgadnąć. W jego wzroku kryje się coś więcej niż tylko niepokój o mnie. Z pewnością Daniel gniewa się, że byłam do tego stopnia nierozważna, by wyjść w taką pogodę z domu, i że tym czynem wystraszyłam jego syna.

Zajawszy miejsce kierowcy w kabinie, Daniel zatrzaskuje drzwi.

- W taką pogodę człowiek może zamarznąć na śmierć -mówi cicho.

- Nic mi nie jest, naprawdę... - zapewniam go. - A wszystko dlatego, że chciałam znaleźć czynny telefon, aby zadzwonić do siostry. Przepraszam, że was zaniepokoiłam...

- Przecież mój tatuś ma komórkę - z wyrzutem informuje Bobby. Poznaje po tonie, jak głęboko chłopiec przejął się tą całą sytuacją. Myślał, że odeszłam bez słowa, że zniknęłam jak jego matka...

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Postąpiłam głupio. Po prostu głupio i tyle...

- Przez wiele godzin wypatrywaliśmy ciebie, objeżdżając dookoła teren - relacjonuje Bobby; w jego głosie wciąż jeszcze słychać przerażenie. - Powiedziałem tacie, że chyba grozi ci poważne niebezpieczeństwo.

- Przecież ci obiecałam, że zostanę do pierwszego dnia świąt. Nie pamiętasz? - pytam. - Wyszłam, bo musiałam zatelefonować. Naprawdę!

- W porządku! - bąka, ale nie wygląda na przekonanego. W końcu odważam się spojrzeć na Daniela.

- Bobby mnie poprosił, żebym spędziła z wami pierwszy dzień świąt - oznajmiam.

- Uprzedziłem tatę, że zaraz potem wyjeżdżasz... - wtrąca chłopiec.

Daniel nadal na mnie nie patrzy. Prowadzenie ciężarówki w takim śniegu wymaga ogromnej koncentracji. A może on wolałby pozostać w te dni tylko ze swoim synem - myślę. Dawniej, w moim poprzednim życiu, nie odważyłabym się w takim momencie odezwać, czekałabym, żeby mężczyzna pierwszy mnie zaprosił, żeby okazał, że pragnie mego towarzystwa. Ale teraz, odkąd przeżywam tę przygodę, stałam się śmielsza. Już

wiem, że życie może być krótkie, iż samolotom zdarzają się katastrofy, a siostry mogą już nie mieć więcej szans. I dlatego odważam się go spytać:

- Co o tym sądzisz, Danielu?

W ciszy, jaka następuje, nawet wycieraczki w samochodzie wydają się nieprzyzwoicie głośne. Jestem świadoma tego, że Daniel może mnie zranić, zniszczyć jednym spojrzeniem czy uśmiechem, ale decyduję się ponieść ryzyko, bo bardzo pragnę spędzić Boże Narodzenie z nim i z Bobbym. Potem wrócę do Bakersfield, ale teraz boleśnie przeżywam każdą chwilę, w czasie której Daniel milczy i zostawia moje pytanie bez odpowiedzi. Wiem, że zachowuję się idiotycznie i naiwnie, ale nic na to nie poradzę...

Bobby pewnie wyczuwa moje napięcie i widać, że mi współczuje.

- Tatusiu! - mówi, kiedy milczenie ojca się przeciąga. - Chyba chcesz, żeby Joy została u nas na Boże Narodzenie, prawda?

Wstrzymuję oddech. Daniel zwraca się nie do mnie, tylko do swego syna i spokojnie odpowiada:

- Oczywiście, że tego chcę.

Skoro to oczywiste, niepotrzebnie go pytałam. Od razu uchodzi ze mnie całe napięcie, czuję się dziwnie słaba i zagłębiam się w oparcie siedzenia.

Daniel włącza radio i z głośnika rozlega się ulubiona bożonarodzeniowa pieśń mojej matki *Jingle Bell Rock*. Uśmiecham się.

- Jak w twojej rodzinie spędza się pierwszy dzień świąt? - pyta mnie Bobby.

- Rano chodzimy do kościoła.

- To tak jak dawniej my z mamusią...

- Zapalam mojej matce świeczkę - dodaje - aby wiedziała, że wciąż ją bardzo kocham.

- To może zapaliłabyś też świeczkę mojej mamusi?

- Na pewno to zrobię, jeśli pójdziesz ze mną do kościoła.

Po dłuższym milczeniu, kiedy ciszę zakłóca tylko szmer pracujących wycieraczek, Bobby szepce:

- Okej... Pójdę.

Patrzę na niego i zbiera mi się na płacz. Wzrusza mnie ten chłopiec.

- Wtedy razem pomodlimy się za twoją mamusię.

- Powiedziałeś „okej”, Bobby? O co chodzi? - pyta nagle Daniel i zaniepokojony, że mogło mu coś umknąć, wyłącza radio.

- Razem z Joy mam zapalić mamusi świeczkę w pierwszy dzień świąt - wyjaśnia chłopiec.

- W kościele? - docieka Daniel.

Bobby potakuje, a mężczyzna jest wyraźnie przejęty. Nie patrzy na syna ani na mnie, ale przypuszczam, że jego oczy są wilgotne od łez.

- Teraz już wiem, dlaczego Joy dano imię, które znaczy „radość”... - mówi Daniel, a jego głos brzmi miękko i ciepło; otula mnie jak puchowa pierzynka.

Uśmiecham się, opieram głowę o chłodną szybę okna i przymykam oczy. Raptem czuję się ogromnie zmęczona.

Daniel zaraz po wjechaniu na parking przy ośrodku i wyłączeniu silnika przywołuje do siebie Bobby'ego.

- Przysuń się bliżej, synku - mówi. A kiedy ten przytula się do ojca, dodaje: - Jestem z ciebie dumny!

- Nie chciałbym, żeby Joy wyjechała... - skarży się malec.



- Wiem.

Widok ojca i syna przytulonych do siebie sprawia, że utrwalam go w duszy na wypadek, gdybym kiedykolwiek miała stracić wiarę w miłość; wtedy przypomnę sobie tę scenę.

Daniel mocniej obejmuje chłopca.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Bobby! Chyba wiesz o tym, prawda? Tworzymy teraz jedną drużynę: ty i ja.

- A czy Joy, kiedy do nas wróci, może zostać członkiem naszej drużyny? - pyta Bobby.

Daniel się uśmiecha i sprawia wrażenie, jakby mu ubyło nie tylko lat, ale i zmartwień. Wstrzymuję oddech. Jakże łatwo byłoby się zagubić w oczach ojca Bobby'ego i odnaleźć w jego świecie!

- To jest możliwe, synku - odpowiada Daniel, zerkając na mnie ponad jego głową. - Ale nie wiem, trudno powiedzieć... O takich sprawach decyduje...

- ... przeznaczenie... - Wymawiamy to słowo jednocześnie, Daniel i ja. I brzmi ono tak miękko jak pieśń miłosna, którą śpiewał w kabinie ciężarówki, a zarazem jest tak mocne i nieugięte jak drzewo w tutejszym prastarym lesie. Bobby domaga się jednak konkretniejszej odpowiedzi.

- Chcę wiedzieć, czy jeśli Joy wróci, będzie mogła zostać z nami.

Daniel się krzywi i wyraźnie widzę, że nie jest zadowolony. Zastanawiam się, czy i on, podobnie jak ja, czuje się zagubiony z powodu tego jednego słowa, które nam w jakiś sposób stale towarzyszy i każe wierzyć, że „kto wie, może jednak”.

- Oczywiście - potwierdza.

- Obiecujesz? - upewnia się Bobby.

- Obiecuję - powtarza Daniel, wciąż patrząc na mnie. A ja mam wrażenie, że budzi się we mnie jakaś tęsknota, powodująca przyspieszone bicie serca. - Wystarczy - żartuje mężczyzna - że Joy powie „Otwórz te cholerne drzwi, Danielu, bo mi zimno”, a od razu ją wpuszczę.

Bobby się śmieje i jest to najczystszy, najjaśniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

- Przecież Joy nie klnie, tatusiu!

W tym momencie oboje z Danielem po raz pierwszy roześmialiśmy się równocześnie.

Ostatnie czekoladki w bombonierce zawsze smakują najlepiej. Ta prawda odnosi się także do ostatnich dni mego pobytu w hotelu, a dokładniej - do przedostatniej nocy, jaką spędziłam z Danielem i Bobbym w Komfortowym Ośrodku Wędkarskim.

Gdy wróciliśmy z miasta, prąd był już włączony. Od razu choinka i półka nad kominkiem rozjarzyły się kolorowymi światłami, a w kominku wesoło buzował ogień.

Bobby z Danielem poszli do kuchni zrobić kolację, a ja udałam się do swego pokoju i wzięłam prysznic, żeby się solidnie rozgrzać. Nie mam ochoty na jedzenie. Wolę zastanowić się nad tym, co będzie jutro. A jutro jest Wigilia i jednocześnie mój ostatni wieczór tutaj. A więc koniec wakacji...

Kiedy Stacey wróci do domu z przyjęcia u Thoma w biurze (przypuszczam, że tam właśnie oboje byli) i wysłucha nagranych przeze mnie wiadomości, natychmiast rozpocznie poszukiwania. Stanę się sensacją dnia. Władze będą się domagały wyjaśnień i stawiały pytania, na które nie chcę odpowiadać, co więcej - nie życzę sobie, by mi je zadawano. Nie

sądzę, aby którykolwiek z tych ważniaków pojął, jakie powody skłoniły mnie do opuszczenia miejsca katastrofy. Tylko nieliczni mnie rozumieją, a należeć będą do nich ci, którzy w pierwszych dniach grudnia znaleźli się w podobnej sytuacji. Ludzie, którzy zagubili się w ciemnym lesie życia, których zdradziły kochane osoby i zapomnieli o marzeniach, będących kiedyś przedmiotem ich dążeń i drogowskazem.

A Daniel? Choć nie potrafię tego uzasadnić, jestem przekonana, że on mój dziwny wybór zrozumie. Ten człowiek wie, co znaczy bezsilne poddawanie się biegowi wypadków, czym jest zdrada i strata. Głęboko w to wierzę. Myślę, że właśnie takie doświadczenia skłoniły go przed laty do kupienia tego hotelu. I zrobił to wtedy, kiedy wraz z rodziną żył wśród domów z czerwonej cegły w Bostonie. Czasem wyjściem z sytuacji bywa zmiana otoczenia. Sądzę, że jest to jakieś rozwiązanie. Także Stacey pewnie mnie zrozumie i wybaczy to, co zrobiłam. Ale czy ja jej wybaczę? Nawet po tej lekcji, jaką otrzymałam od życia, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie i, szczerze mówiąc, nie mam ochoty. Nie zostało mi wiele czasu do końca pobytu w ośrodku. Cenna jest każda minuta. Chciałabym je wszystkie wchłonąć i cały ten czas przekształcić we wspomnienia. Będą mi potrzebne, gdy znów się znajdę w swoim dawnym domu. By zdobyć ich jak najwięcej, muszę wyjść na poszukiwanie. Wracam więc do holu, gdzie Bobby i Daniel oglądają film *Miracle on 34th Street*\*

- Przyszłaś w samą porę - mówi do mnie Bobby. - Nic nie straciłaś. Dopiero się zaczęło.

Ten dzieciak jeszcze nie wie, jak wiele razy w życiu oglądamy te same bożonarodzeniowe filmy. Siadam na czerwonym skórzanym fotelu tuż przy kominku.

Razem, jak prawdziwa rodzina, siedzimy przed telewizorem i śledzimy losy bohaterów. I choć obserwuję rozwój akcji, to jednocześnie wracam pamięcią do świąt Bożego Narodzenia sprzed lat.

- Mamusia najbardziej lubiła oglądać właśnie tę scenę - Bobby szepcze mi do ucha.

Na ekranie młodziutka Natalie Wood biegnie przez swój nowy dom i znajduje łaskę świętego Mikołaja, sprawcy cudu.

- Moja mama także się tym zachwycała - mówię. W tym momencie ekran robi się ciemny i pojawiają się końcowe napisy.

Bobby markotnieje, ale po chwili z uśmiechem mi proponuje:

- Może zagrasz ze mną w *Chutes and Ladders*?

- Chętnie - odpowiadam.

- To lepsze niż oglądanie po raz nie wiem który filmu o potworze Grinchu - śmieje się Daniel.

Bobby mu wtóruje i ich śmiech: niski i gardłowy Daniela oraz cienki i dziecinny jego syna, bardzo mnie wzruszają.

Chłopiec pędzi na górę i niemal natychmiast wraca, żeby na stoliku karcianym rozłożyć planszową grę. Daniel siedzi po przeciwnej stronie i z zainteresowaniem się temu przygląda. Płonący na kominku ogień oświetla go od tyłu i nietrudno zauważyć, jaki przystojny z niego mężczyzna.

- No i jak, synku? - pyta, zacierając ręce. - Szykujesz się na świetną zabawę, co?

Bobby chichocze i rozstawia pionki na planszy. Zajmuję fotel z lewej strony Daniela. Jego syn siada naprzeciw mnie.

- Będę za was przesuwał pionki - oznajmia i układa karty w odpowiednie stosiki.

- Jasne - mówi Daniel - przecież zawsze to robisz, tak jak zawsze otwierasz wszystkie prezenty innych.

Przez następną godzinę Bobby dyryguje naszymi ruchami na planszy. Wyciąga karty, przesuwa pionki i głośno się cieszy, kiedy obejmuje prowadzenie. Z trudem możemy wtrącić jakieś słowo i prawdę powiedziawszy, wcale się o to nie staramy. Daniela wyraźnie urzeka radosny nastrój syna, a ja jestem oczarowana nimi oboma.

Bobby nigdy nie dozna bólu, jakiego ja od lat doświadczałam z powodu nieobecności ojca. Oczywiście będzie miał zadkę w sercu po stracie matki w postaci nieustannie mu towarzyszącej smugi cienia, zaciemniającej nieco jasność jego dni, ale nie zazna przygnębiającego uczucia, że nie jest kochany czy wręcz niegodny miłości. Przez całe życie będzie się kładł spać z przeświadczeniem, że ma ojca, który go kocha.

- Dużo się dziś śmiejesz, synku! - Głos Daniela wrywa mnie z zadumy.

- Bo Joy wciąż dostaje najgorsze karty - chichocząc, odpowiada Bobby.

- Ale to z pewnością nie moja wina... - Patrząc na planszę, spotykam wzrok Daniela i zastanawiam się przez chwilę, czy on też widzi, że pasujemy do siebie i moglibyśmy być parą. Próbuję rzucić jakąś celną uwagę, prawdziwą perełkę, która by sprawiła, że ojciec Bobby'ego zapragnie mnie tak jak ja jego. Ale nic mi nie przychodzi do głowy i ten moment mija.

Wieczorem zmieniamy grę. Znudziły nam się już *Chutes and Ladders* i teraz gramy w *Candy Land*.

Wciąż muszę sobie tłumaczyć, że jestem tu tylko gościem. Gdyby nie to, dotknęłabym ramienia Daniela i zagadnęła z głupia frant na przykład:

„Czy ty też czujesz się samotny?” albo: „Czy także odnosisz wrażenie, że między nami coś zaiskrzyło?”. Tylko dzięki dużej samokontroli udaje mi się nie palnąć jakiegoś piramidalnego głupstwa, choć z drugiej strony wiem, że milczenie jest chwilą straconą i nieubłaganie przybliża nas do momentu rozstania.

O takim wieczorze i o tym wszystkim, co się tutaj zdarzyło, marzyłam przez całe życie. Zawsze chciałam mieć kochającą się rodzinę: dziecko, któremu byłabym potrzebna, i mężczyznę, który wie, co to miłość. Teraz desperacko pragnę stać się członkiem rodziny Daniela. Byłabym szczęśliwa, gdyby mi zaproponował, żebym z nimi została. Mogłabym tu zacząć wszystko od początku; może dostałabym pracę w miejscowym gimnazjum lub liceum. Pomogłabym też odnowić hotel... Wiem na pewno, że bardzo dobrze bym się z tego wywiązała, gdyby mnie tylko o to poprosił lub gdybym miała tyle odwagi, by mu to pierwsza powiedzieć...

- Musisz się teraz cofnąć - chichocze Bobby, patrząc w moje karty. - Spójrz, tato! Mamusia musi wrócić na sam koniec...

W pokoju nastąpiła nagle taka cisza, że słychać było trzaskanie ognia w kominku i głośny oddech Daniela, gdy wciągnął powietrze do płuc.

- ... chciałem powiedzieć, że Joy musi się cofnąć na sam koniec - świergocze Bobby, przesuwając mego pionka do tyłu.

Daniel zbladł i zacisnąwszy wargi, utkwiał wzrok w synu. Nie znam go tak dobrze, żeby poznać, co oznacza wyraz jego twarzy: czy wyraża lęk, że Bobby za bardzo mnie pokochał, czy żal, że to, co upragnione, nie może się ziścić. Możliwe też, że w ten sposób objawia się jego tęsknota za kobietą, która dzisiejszego wieczoru powinna zajmować miejsce przy tym stole. Nie wiem. Jestem natomiast pewna, że pragnę, by Daniel zechciał choćby tylko

przelotnie na mnie spojrzeć i uśmiechnąć się. Ale nic z tego, bo w chwili, gdy po raz pierwszy w życiu nazwano mnie mamusią, wyraźnie omija mnie wzrokiem: nie chce na mnie patrzeć.

- Teraz twoja kolej, tato - mówi Bobby, sięgając po następną kartę. I gra toczy się dalej. Usiłuję zapomnieć, że Bobby nazwał mnie mamusią i że Daniel wydaje się tym dotknięty, ale nie mogę... Mamusia. Czuję, że bardzo pragnę tego słowa i wszystkiego, co się z tym łączy.

W ten mroźny zimowy wieczór czegoś się o sobie dowiedziałam. Czegoś, co być może powinnam wiedzieć już dawniej. Gdybym to sobie uświadamiała, nigdy nie odeszłabym z miejsca katastrofy. Można uciec od swego życia i swojej przeszłości, ale nie od własnego serca.

\* \* \*

O ósmej Daniel ogłasza zakończenie naszego wspaniałego dnia.

- Znam pewnego chłopca - mówi, wstając od stołu - który musi się szykować do łóżka.

- Ach tato - jęczy Bobby i krzywi buzię. Po chwili jednak zrywa się z fotela i ze śmiechem próbuje oponować: - Przecież Joy i ja musimy zapakować prezent dla ciebie.

- Teraz? - dziwi się Daniel i z niedowierzaniem patrzy na syna.

- A tak - wtrącam się - bo jutro jest wigilia Bożego Narodzenia i wszystkie prezenty muszą znaleźć się pod choinką.

Daniel nie daje się przekonać.

- Przyznaj, Bobby - zwraca się do syna - że po prostu chcesz dłużej zostać. Okej! Mam parę własnych prezentów do zapakowania... Ale o ósmej trzydzieści chcę cię zobaczyć na górze. Czy mam nastawić minutnik w kuchence, żeby ci o tym przypomniał?

- Nie, nie ma potrzeby.

- Dopilnuję, żeby Bobby przyszedł na czas - dodaję. Daniel jeszcze przez chwilę stoi i patrzy na nas, a chłopiec

jest teraz blisko mnie i widzę, jak bardzo wszystko przeżywa. Jego małe ciało aż wibruje z podniecenia.

- W porządku - zgadza się Daniel. - Widzimy się za pół godziny.

Po wyjściu ojca Bobby biegnie do kanapy i wyciąga spod poduszki opowieść doktora Seussa o zielonych jajach i szynce.

- Muszę to jeszcze raz przećwiczyć - oznajmia. - Pomożesz mi?

- Oczywiście!

Rozsiadamy się na poduszkach i otwieramy książkę.

- Na imię mi Sam. Na... imię... mi... Sam. - Bobby zapamiętał tę część opowiadania, więc szybko ją przeleciał. Kiedy jednak dochodzi do strony szesnastej, zwalnia tempo i zaczyna sylabizować: - Ja... n... i... e... ch... c... ę... i... ch, ja nie chcę ich, a... n... i tu, ani tam.

Mocniej przytulam go do siebie.

Kiedy kończy książkę, jego uśmiech przypomina burzową falę, która zalewa plażę: nic mu się nie oprze.

- Umiesz czytać. To najlepszy prezent, jaki możesz ojcu ofiarować.

- I Arnie Holtzner nie będzie się już ze mnie wyśmiewał i nazywał głupkiem. - Potem odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i mówi cicho: - Dzięki!

Słowo to, choć wypowiedziane szeptem, ogromnie mnie wzrusza.

- Z przyjemnością ci pomagałam, Bobby! - zapewniam malca i pochyliwszy się, delikatnie całuję go w czoło. Zdawałoby się, że jest to wspaniały moment, którego wspomnienie zabiorę na zawsze ze sobą.



Tymczasem czując miękkość jego aksamitnej, ciepłej skóry i wdychając słodki cytrusowy zapach włosów, myślę tylko o jednym: jak się będę czuła w momencie, gdy mu powiem „żegnaj!”.

Odsuwam się od niego i próbuję się uśmiechnąć.

- Zostało nam jeszcze kilka minut do wyznaczonej przez tatę godziny.

Mógłbyś mi w czymś pomóc? - pytam.

- Oczywiście.

- Potrzebny mi jest kawałek papieru i coś do pisania.

Bobby węzowym ruchem ześlizguje się z kanapy i biegnie do biurka w recepcji. Po chwili wraca, trzymając w ręku żółty zeszyt w linijki i czerwoną kredkę. Śmieję się na widok kredki, bo nie posługiwałam się czymś takim od lat.

- W porządku. A teraz chodźmy do karcianego stolika -proponuję.

Najpierw sprzątamy grę planszową, a potem siadamy blisko siebie. Podaję Bobby'emu kredkę i kładę przed nim zeszyt.

- Ułożyłam listę najważniejszych rzeczy, jakie są do zrobienia w ośrodku, i pomyślałam, że to będzie prezent gwiazdkowy ode mnie dla twego taty. Chciałabym, żebyś ją spisał.

- Ale ja nie umiem pisać...

- Owszem, umiesz. To będzie doskonała wprawka. Ja będę ci dyktowała słowa, a ty je przesyłabizujesz i zapiszesz. Dzięki temu mój prezent nabierze szczególnego znaczenia.

Biedny Bobby wydaje się tak przerażony, że mam ochotę go uściskać, ale przybieram iście belferską minę i mówię:

- Pierwsze słowo to „pomysł”: p... o... m... y... s... ł... y. - Pomagam mu w sylabizowaniu, ale potem Bobby musi to słowo napisać. Kredka drży

w jego ręce. Trzyma ją mocno w zaciśniętej dłoni i pochyla się nad papierem.

- Dyktuj powoli - prosi i skupia się, marszcząc brwi.

Nasze wspólne dzieło powstało po jakichś piętnastu minutach wyteżonej pracy. Mamy już listę, która wygląda mniej więcej tak:

Pomysły:

Zmieni naswę na romantyczną.

Kfiaty

Wyszykować domk kempingowe

Założyć stron internetową

Potłoga bez dywanu.

- Wspaniale! - Bobby zachwyca się swoim dziełem. - Moja mama też chciała zrobić niektóre z tych rzeczy. Myślisz, że tata się na to zgodzi? Chciałbym...

- Wiem - przerywam mu. Ale wolę, aby głośno nie wypowiadał swoich nadziei. Uważam, że niektórym rzeczom należy pozwolić, by same wzeszły, skoro zasialiśmy je w żyznej glebie możliwości... - Zapamiętaj sobie, Bobby! Najważniejsze, żebyście ty i twój tata zawsze byli razem. Jesteście obaj w jednej drużynie: tworzycie rodzinę.

- Ale ty, Joy, pewnego dnia do nas wrócisz. Prawda? -I chłopiec patrzy mi w oczy.

- Nie ma takiej siły, która mogłaby mnie od tego powstrzymać. A teraz zapakujmy prezent i połóżmy go pod drzewkiem.

Pokazuję Bobby'emu, jak zrolować listę i zawinąć w ładną czerwoną cynfolię, a potem przywiązać z obu końców kokardki. Kiedy kończymy, zegar wskazuje ósmą dwadzieścia pięć.

- Czas, żebyś poszedł na górę, Bobby! Malec narzeka i protestuje, ale posłusznie kieruje się do schodów.

Po jego wyjściu siadam przy kominku i wsłuchuję się w ostatnie tchnienia gasnącego ognia.

Został mi jeszcze jeden prezent, który chciałabym umieścić pod choinką, ale wszystko zależeć będzie od tego, czy znajdę to, czego szukam.

Wracam do swego pokoju i wyjmuję z szafy wciąż jeszcze nieco wilgotny sweter, który miałam na sobie rano, gdy udawałam się do miasta. Bez entuzjazmu wkładam go na siebie i wychodzę z domu.

Noc jest cicha i zimna. Rozmokła warstwa świeżo spadłego śniegu przykrywa ziemię, ale już zaczyna topnieć. Spod niej wyziera trawa, tworząc duże nieregularne plamy zieleni. Woda kapie z okapów i gałęzi i w tającym śniegu powstają małe, ciemne dziurki.

Idę nierówną ścieżką w stronę jeziora. Nagle, jakby na jakiś sygnał, nie wiadomo skąd dany, wisząca nade mną chmura przesuwa się i odsłania świecący księżyc. Skrząca się niebieska poświata pada na mnie, na jezioro, na zegar i na ziemię. Wrażenie jest niesamowite, widok nieprawdopodobny; dreszcz przebiega mi po plecach i choć wiem, że coś takiego nie może się zdarzyć, słyszę kobiecy głos. Jest cichy, ledwie słyszalny, ale ja go słyszę i słyszę wyraźny nakaz kobiety: Tam!

Patrzę w dół. Na wierzchu stosu błyszczących czarnych kamieni leży biały, lśniący grot. Gdy rozjaśniło go światło księżyca, przez chwilę wyglądał jak gwiazda, która spadła z nieba.

Rozglądam się dookoła, ale oczywiście w pobliżu nikogo nie ma.

Schylam się i podnoszę grot. Doskonale pasuje do wnętrza mojej dłoni; jest gładki jak jedwab i chłodny niczym płatek śniegu. Wkładam go

do kieszeni i wracam do hotelu, ruszając w srebrzyście jasną, a jednocześnie kruczoczarną noc.

Zanim dotarłam do domu, potrafiłam się przekonać, że nad jeziorem nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Po prostu wybrałam się na poszukiwanie grotów i udało mi się jeden znaleźć. Niemniej, kiedy byłam już na pomoście i usłyszałam skrzypiące pod stopami deski, powiedziałam, nadając swemu głosowi ciepłe brzmienie:

- Dziękuję ci, Maggie!

I dopiero potem weszłam do hotelu.



## 9

Do rana śnieg prawie stopniał. Stoję przy oknie i przyglądam się zalanemu słońcem ogródkowi za domem. Widzę narożnik jednego z domków kempingowych; gonty na jego dachu porosły już gęstym mchem. Wyobrażam sobie, że gdy nadejdzie wiosna, wśród tych mchów pojawią się drobniutkie kwiatki.

Szkoda, że na liście pomysłów nie umieściłam propozycji, by te domki pokryć łatwo zmywalnymi dachami, a także żeby szerzej reklamować ośrodek w czasopismach rozdawanych pasażerom na lotniskach. Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak przekazać te propozycje Danielowi, gdy będę z nim rozmawiała.

W Wigilię mamy zmienną pogodę: świeci słońce, a za chwilę jest szaro i siąpi deszcz. Jego krople są tak drobne, że przypominają łzy.

Nieoczekiwanie przychodzi mi na myśl Stacey. Wracam pamięcią do naszego ostatniego dnia w Bakersfield, gdy mnie zapraszała na swój ślub i demonstrowała ciężarny brzuch.

- Przepraszam cię - powiedziała wtedy. Przypominam sobie, jak wyglądała, gdy ją zobaczyłam na ekranie telewizora. Oplakując mnie, wciąż wierzyła, że może się zdarzyć cud i wrócę.

Myślę również o Thomie - mężczyźnie, z którym ślubowaliśmy sobie dożgonną miłość, a tymczasem on teraz kocha moją siostrę... Myślenie o tym mnie zasmuca, ale nie uważam już tego faktu za taką katastrofę jak jeszcze niedawno. Dziś potrafię wspominać tę parę bez zdenerwowania.

Zawdzięczam to przede wszystkim moim niespodziewanym wakacjom, które pozwoliły mi jakby innymi oczami patrzeć teraz na swoje

dawne życie. Nie czuję się na siłach, aby tym dwojgu wybaczyć. Moje uczucie nie jest nawet zbliżone do wybaczenia, można je nazwać... akceptacją, a to na pewno lepsze niż nic.

Nie wiem, jak długo stałam przy oknie i myślałam o swoim dawnym życiu, a także o tym, co się jeszcze może wydarzyć. Tu, gdzie obecnie przebywam, czas wydaje się inny, płynie szybciej niż ten, do którego przywykłam.

Decyduję się przerwać rozmyślenia; biorę prysznic i wkładam wypożyczone ciuchy: spódnicę i sweter, po czym wychodzę do holu. Bobby'ego zastaję przy choince; zabawia się przekładaniem prezentów, a Daniel stoi za nim i się śmieje.

Zatrzymuję się na moment, by się im z dala przyjrzeć. I wystarczy, że popatrzę na Bobby'ego i Daniela, że chwilę spędzę w ich obecności, a znika posmak goryczy, jaki pozostawiło po sobie moje poprzednie życie. Przy nich łatwo zdobywam się na uśmiech i czuję go nie tylko na wargach, ale głęboko w sobie. Taki uśmiech podnosi mnie na duchu. Ja też im w jakiś sposób pomogłam, poświęcając dla nich swój czas. To dzięki choince mogli nawiązać do przeszłości i przywołać na pamięć zwykłe wydarzenia, które dopiero po latach wydają się nadzwyczajne. Mam nadzieję, że w ten sposób uda mi się i sobie pomóc. Obie, Stacey i ja, musimy uważniej spojrzeć na siebie i kto wie, czy wówczas nie znajdziemy drogi powrotu do dawnej bliskości.

- Joy! - krzyknął Bobby na mój widok i na chwilę przestał zajmować się prezentami. - Czy wybierzesz się z nami w odwiedziny do staruszków?

- Nie wiem, o co ci chodzi - mówię.

- Tato, powiedz Joy, dokąd pójdziemy!

- Co roku odwiedzamy pewien dom opieki i pomagamy w przygotowaniu wigilijnego spotkania organizowanego przez nasz kościół, który do suto zastawionego stołu zaprasza wszystkich pensjonariuszy - wyjaśnia Daniel.

To samo robiłam w okresie świąt u siebie w domu. Tradycję tę zapoczątkowała moja matka. Pamiętam, że przez całe dzieciństwo wszystkie popołudnia w wigilię świąt Bożego Narodzenia spędzałam w domu opieki. Chodziłam tam z babcią Lund. A gdy dorosłam, pracowałam w tym domu jako wolontariuszka.

Los czy przeznaczenie?

- Lepiej się pospieszcie! - poleca Daniel Bobby'emu i mnie.

Pędzę do pokoju, przyglądam niesforne włosy, czyszczę zęby i ścielę łóżko. Potem idziemy do ciężarówki i ruszamy w drogę.

Miasto skrzy się świątecznymi iluminacjami i pobłyskuje w resztkach porannego deszczu; lśni wodą i światłami. Tłumy ludzi na chodnikach, a na ulicach tyle aut, że tworzą się korki.

Daniel wjeżdża na parking przed Centrum Opieki w mieście Rain Shadow. Uroczy niewielki, murowany budynek usytuowany jest w głębi dość sporej działki. Z obu stron otaczają go stare drzewa, teraz pozbawione liści, z frontu zaś rosną olbrzymie rododendrony i azalie. Okna są przybrane girlandami świątecznych lampek, a na parapecie stoi oświetlona menora.

W Centrum Opieki panuje ożywiony ruch: wrze tu jak w ulu. W holu ubrani na biało salowi pomagają pensjonariuszom na wózkach inwalidzkich dostać się do sali, na której drzwiach widnieje wielki napis: ZAPRASZAMY DO WIGILIJNEGO STOŁU.

- Chciałbym się teraz spotkać ze starymi przyjaciółmi i włączyć się w przygotowania do Wigilii. A wy może pomoglibyście starszym ludziom zasiąść przy stole, dobrze? - zwraca się do nas Daniel.

- Ja pójdę po pana Lundberga! - krzyczy Bobby i zbiega w dół holu.

Odwracam się, by spytać o coś Daniela, ale już go nie ma. Właściwie nie muszę prosić o wskazówki, ponieważ tak wiele czasu spędziłam w domach pogodnej starości, że umiem pomagać innym. Przechodzę przez zatłoczony hol i zaglądam do różnych pokoi: większość jest pusta i to wyjaśnia, dlaczego korytarze są przepelnione.

W pokoju na końcu korytarza zastaję samotną kobietę, która siedzi w fotelu i patrzy przez wychodzące na ogród okno. Ma na sobie blad różowy fałdzisty szlafrok i w tym samym kolorze wstążki, oplatające białe jak śnieg włosy. Jej drobna twarz, mająca kształt serca, jest cała w zmarszczkach, a jaskrawa pomadka do ust nie trzyma się konturów warg. Tylko jej oczy zdradzają, że była to kiedyś bardzo piękna kobieta, zwracająca na siebie powszechną uwagę.

- Dzień dobry - mówię, wchodząc do małego pokoju. - Życzę wesołych świąt! Jeśli ma pani ochotę pójść na wigilijną kolację, służę pomocą.

Kobieta nie odpowiada, widocznie mówiłam za cicho. Nie zrażam się, tylko podchodzę bliżej, mijam łóżko i przyklekam przed nią. Ona mruczy coś do siebie i bawi się wąską czerwoną satynową wstążką, którą owija sobie dookoła przegubów guzkowatych, żylastych dłoni.

- Przyszłam tu, żeby zabrać panią na kolację! - Wykrzykuję głośno.

Kobieta marszczy brwi. Jej palce zamierają w bezruchu. Przygląda mi się, mrużąc oczy.

- Czy już czas na mnie? - pyta.



- Kolacja zaczyna się za dziesięć minut.

- Miała po mnie przyjść siostra.

- Jestem pewna, że spotkają się panie w jadalni. - Wstaję i podaję jej pomocne ramię.

Staruszka nie spuszcza ze mnie oczu, które są ogromne w jej małej twarzy.

- Mam iść? - dziwi się.

- Pomogę pani. - Obejmuję ją ramieniem i pomagam się podnieść. Przychodzi mi to łatwo, bo starsza pani jest bardzo drobna i lekka. Powoli poruszamy się wzdłuż korytarza. Teraz jest tu mniej tłoczno. Zauważam tylko kilka snujących się po holu osób. Mijamy jakąś pielęgniarkę czy salową, w każdym razie młodą kobietę w białym poliestrowym stroju; najpierw się na nas gapi zaciekawiona, a potem wykrzykuje ze zgorzowaną miną:

- Pani Gardiner?!!

- Już czas posadzić tulipany - odzywa się trochę nedorzecznie prowadzona przeze mnie staruszka i mocniej przytrzymuje się mego ramienia.

Dochodzimy do sali jadalnej. Zauważam, że wszyscy dziwnie surowo na nas patrzą. Niektórzy fukają i sarkają z irytacją. Wreszcie jakaś tęga pielęgniarka rusza w naszą stronę.

- Co też pani wyrabia, pani Gardiner? Przecież pani dobrze wie, że w każdej chwili salowa przewiozłaby panią w fotelu na kółkach.

- Ależ ta pani doskonale sobie radzi z chodzeniem - wtrącam, trzymając ją mocno.

- A gdzie jest moja siostra? - chrapliwym głosem pyta starsza pani, patrząc wyczekująco na pielęgniarkę,

- No, nie! Czyżby pani zapomniała, że Dora nie żyje?! Ale jest tu pani syn i są pani wnuczki. - Pielęgniarka wskazuje stolik w końcu sali, gdzie siedzi przystojny siwowłosy mężczyzna z dwiema bliźniaczkami. Na nasz widok cała trójka wstaje i nawet stąd widzę łzy w ich oczach.

Mężczyzna biegnie w naszą stronę i chwyta matkę za rękę.

- Witaj, mammo! - mówi drżącym głosem.

- A gdzie Dora? - uparcie powtarza staruszka.

- Chodź, mammo, zobacz, tu są twoje wnuczki. -I przytulając matkę, prowadzi ją do stolika.

Stojąca obok mnie pielęgniarka współczująco potrząsa głową i wzdycha:

- Biedna pani Gardiner...

Dołącza do nas druga pielęgniarka.

- Biedaczka, całymi dniami czeka na swoją siostrę - wyjaśnia. - To smutne, bo Dora zmarła już prawie piętnaście lat temu.

Opuszczam je i udaję się do bufetu. Chcę pomóc, ale nie mogę, bo wolontariusze stoją w ciasnym szeregu, ramię przy ramieniu, i nie dopuszczają nikogo tam, gdzie wydaje się potrawy. Nie ma tu dla mnie miejsca... Przyszło mi jednak na myśl, że może mogłabym zmywać naczynia. Przy okazji rozglądam się, gdzie jest Bobby, ale go nie widzę. Zatrzymuję się przy drzwiach i stąd próbuję zwrócić na siebie uwagę Daniela. Nie udało się, bo jest zbyt pochłonięty rozmową z jakimś starszym panem, który dobiera się do ogromnego półmiska z mięsną zapiekanką. Wracam więc na puste korytarze i wchodzę do holu.

- Bobby! - wołam. Nie słyszę odpowiedzi i zaczynam chłopca szukać. Znajduję go w świetlicy; jest sam i bawi się swoimi figurkami. Odgłosy tej zabawy doszły do mnie, zanim weszłam do pokoju.

- Cześć, dzieciaku! Co porabiasz?

- Jestem za maty - mówi rozżalony i wcale na mnie nie patrzy.

Siadam przy nim na kanapie.

- Już niedługo się to zmieni - pocieszam go.

Malec przysiada na piętach, a figurki, którymi się bawił, odrzuca na bok.

- Mamusia nigdy nie mówiła, że jestem za mały... Pozwalała, żebym roznosił staruszkom serwetki i podawał jedzenie.

- Chodź tu, Bobby! - proponuję, poklepując wolne siedzenie obok mnie. Chłopiec wskakuje na kanapę i przytula się. -A powiedziałeś ojcu, że chciałbyś pomagać?

Chłopiec przecząco potrząsa głową i wygląda na bardzo nieszczęśliwego.

- Trzeba ludziom mówić o tym, co się czuje...

I nagle wstrząsnęło mną wspomnienie o siostrze. W głowie nieznośnie mi huczy i nasila się przejmujący ból.

„Przepraszam cię” - powiedziała Stacey. Powinnam wysłuchać tego, co miała mi do przekazania.

- Trzeba dać ludziom szansę - tłumaczę Bobby'emu.

- Ale to trudne - żali się malec.

- W tej sprawie nie otrzymasz ode mnie dobrej rady, mój drogi... - przyznaję. I kiedy później zadzwonię do mojej siostry, okaże się to dla mnie najtrudniejsze zadanie w życiu.

- Ach, więc tu jesteś, a ja cię wszędzie szukam! - woła Daniel, wchodząc do świetlicy.

Uśmiecham się do niego nad głową chłopca.

- Bobby jest rozczarowany, bo okazał się za mały, by pomagać przy stole.

Chłopiec patrzy na mnie i widzę, że chce, bym dodała mu odwagi. Więc potakuję, a wtedy on zwraca się do ojca i mówi cicho:

- Mamusia zawsze pozwalała mi pomagać.

- Przepraszam cię, Bobby, ale ja się dopiero uczę być dobrym ojcem.

- To samo powiedziała Joy...

- Cwaniutka ta twoja Joy - śmieje się Daniel. - A teraz, synku, czas, byśmy poszli do kościoła.

- Ojej... - szepcze Bobby.

- Niczego się nie bój - uspokaja ojciec. - Będę cię trzymał za rękę. Zapalimy twojej mamie świeczkę. To na pewno sprawi jej radość.

- Ale nie odejdziesz? - upewnia się malec.

- Nie odejdę - obiecuje Daniel.

- A ty też ze mną zostaniesz? - pyta, patrząc na mnie.

- Oczywiście.

Bobby głęboko oddycha.

- A więc dobrze - zgadza się. - Chodźmy!

Kościół skąpany w świetle przypomina biały klejnot na tle błękitnego nieba. Daniel i ja stoimy na chodniku na zewnątrz, a Bobby między nami. Wszędzie dookoła nas ludzie tłumnie zapełniają kamienne schody prowadzące do kościoła i rozmawiają ze sobą z ożywieniem.

- Nie odchodź ode mnie, tatusiu!

- Nie odejdę - zapewnia syna Daniel.

Obaj stanowią zgraną parę i mocno się razem trzymają. Tak jak niektóre baśniowe postacie postępujemy ostrożnie i zbliżywszy się do schodów, powoli, stopień po stopniu, podchodzimy do góry. W drzwiach stoi starszy ksiądz. Uśmiecha się na widok Bobby'ego.

- Witamy cię, Robercie, i cieszymy się z twego powrotu - mówi z błyskiem w oku. - Brakowało nam ciebie.

Bobby potakuje ruchem głowy i nie ustaje w pokonywaniu schodów. Widzę, jak bardzo jest zdenerwowany, ale nie przestaje piąć się w górę.

- Jesteś dzielnym chłopcem - chwale go i czuję rosnącą dumę. Ogarnia mnie podziw dla tego dziecka, które w tak młodym wieku uczy się zwalczać w sobie lęk.

Bobby prowadzi nas do ostatniego rzędu ławek i zajmuje miejsce w jednej z nich; domyślam się, że stara się być blisko drzwi. Daniel i ja osłaniamy go z obu stron, chcąc dać mu poczucie bezpieczeństwa.

Dopóki ludzie wchodzą i zapelniają ławki, Bobby stoi sztywny i wyprostowany jak struna. Usiadł dopiero wtedy, kiedy zaczęło się nabożeństwo i zamknięto drzwi.

W momencie, gdy zobaczyłam pełne ławy, zamknięte drzwi i usłyszałam, że ksiądz pozdrawia wiernych, nagle sobie uświadomiłam, jak bardzo osłabła moja wiara. Nie byłam w kościele od śmierci mojej matki.

Podczas następnej godziny wstajemy, klękamy i znów wstajemy i z każdym wypowiedzianym słowem, z każdą odmawianą modlitwą stopniowo odzyskuję cząstkę mej wiary.

Po zakończeniu Modlitwy Pańskiej Bobby patrzy na ojca i szepcze:

- Czy mamusia mnie teraz słyszy?

- Słyszysz cię wszędzie, gdziekolwiek jesteś - odpowiada Daniel.

Bobby zmienia się na twarzy i wyrzuca z siebie jednym tchem:

- Przepraszam cię, mamusiu, że byłem na ciebie zły.

- Ach, Bobby... - słyszę szept Daniela.

Chłopiec spogląda na ojca i oczy mu lśnią.

- Powiedziałem kiedyś mamie, że jej nienawidzę.

Daniel dotyka twarzy syna i ściera z niej łzy.

- Twoja mama dobrze wie, jak bardzo ją kochasz, synku. Żadne głupie, wypowiedziane w złości słowa tego nie zmieniają.

Takiego właśnie pocieszenia Bobby potrzebował. Pierwszy raz widzę, że jego twarz rozjaśnia szczerzy uśmiech, który przy okazji odsłania wszystkie krzywe, brakujące i dopiero wyrastające zęby chłopca.

Kiedy zaczyna się antyfona, Bobby znajduje właściwą stronę w modlitewniku i przyłącza swój czysty, wysoki głos do głosu ojca.

Przez pozostałą część mszy świętej stoją obok siebie i trzymają się za ręce. Obserwując ich, widzę, jak zgodnie śpiewają, i ten widok napędza moje serce radością.

Zacząć wszystko od początku...

Wyobrażałam sobie, że zaczynanie na nowo jest czymś niezwykle skomplikowanym i czasem kończy się w dość zagmatwany sposób. A tymczasem to może być takie proste: mały chłopiec, Bobby, znowu zaczyna śpiewać pieśni kościelne.

*Przepraszam cię...*

W tym momencie oczy same mi się zamknęły, a kiedy je znów otworzyłam, msza dobiegła końca. Ludzie przystają, łączą się w gromadki,

ściskają sobie dłonie i z ożywieniem rozmawiają. Jakiś rumiany mężczyzna zwraca się do mnie z uśmiechem i pyta:

- Jak się pani dzisiaj czuje?

- Dobrze - odpowiadam. Nie przestaję się uśmiechać. Ogarnia mnie oszałamiające uczucie szczęścia. Już zapomniałam, jakie to wspaniałe doznanie.

Tłum ludzi - a my wraz z nimi - rusza na parking za kościołem, gdzie występuje grupa kolędników ubranych w staromodne wiktoriańskie stroje. Wolontariusze rozdają słuchaczom styropianowe kubki z grzanym cydrem, a także papierowe torebki z pieczonymi gorącymi orzechami. Stajemy z tyłu i słuchamy pięknego śpiewu.

- Nie widzę kolędników. Może byś mnie podniósł, tato?

Ojciec bierze Bobby'ego na ręce, a ja przysuwam się jak najbliżej Daniela. Chociaż otaczają nas zasluchani ludzie i między sobą szeptem wymieniają uwagi, popijając gorący cydr, do mnie dociera jedynie spokojny, równy oddech Daniela. Jego rytm jest zgodny z biciem mego serca.

Teraz właśnie jest ten odpowiedni dla mnie moment. Jeśli nawet w ostatnich kilku dniach niczego się więcej nie nauczyłam, to na pewno odkryłam tę jedną prawdę: o szczęście należy walczyć. Jeszcze dziś wieczór muszę powiedzieć Danielowi, co do niego czuję. Jutro moja przygoda już się skończy. Na myśl o tym serce coraz szybciej mi bije i głęboko w głowie rodzi się ból.

Zawsze bałam się sięgać po to, czego pragnęłam... ale nie tym razem. Nigdy więcej nie pozwolę, żeby mnie powstrzymała jakaś nagła panika.

- Danielu! - mówię.

Tymczasem kolednicy intonują nową pieśń. Melodię poznaję, ale nie potrafię określić, co to za kołęda. Coś złego się ze mną dzieje. Szumi mi w głowie i mąci się wzrok.

- Czy mnie słyszysz? - pytam podniesionym głosem. Ale kiedy on dalej na mnie nie patrzy, odważam się go dotknąć. -Danielu!!! - krzyczę i usiłuję chwycić go za ramię.

- Joy! Co się dzieje? - Bobby wyraźnie się o mnie niepokoi; chyba widzi, że jestem czymś przejęta.

- Coś ze mną niedobrze... - odpowiadam. Czuję, że się od nich oddalam, choć wcale tego nie chcę. Walczę, by powrócić. Dookoła są ludzie. Wydaje mi się, że widzę stojącą w tłumie Stacey. Siostra płacze i coś do mnie mówi, ale nie mogę jej zrozumieć. Jednocześnie wiem, że to przecież niemożliwe, bo ona nie ma pojęcia, gdzie jestem. Dociera do mnie jakiś dziwny hałas i słyszę, że ludzie coś mówią i krzyczą.

- Nie opuszczaj nas, Joy!

To był chyba głos Bobby'ego... Nie, to nie był on. Chwytam Daniela za rękaw i proszę:

- Pomóż mi!

- Tato, pomóż jej! - wstawia się za mną Bobby.

- Joy? - Daniel szepcze moje imię; tak mi się przynajmniej wydaje, bo szum w uszach nie pozwala mi nic więcej usłyszeć. Czuję ból w piersi.

Kolednicy znowu zmieniają melodię. Słyszę, że teraz śpiewają:

„Cicha noc, święta noc... NOC

... pokój niesie ludziom wszem... " NOC

Bobby mnie dotyka i krzyczy:

- Joy! Przecież mi obiecałaś... Przymknęłaś mi...



NOC

Ból eksploduje w mojej piersi, przenika całe ciało i świat ogarnia ciemność.

RS

## *Część druga*

*Widzisz rzeczy, które się zdarzyły, i pytasz: „Dlaczego?”. A mnie marzą się rzeczy, które się nigdy nie zdarzyły, i mówię: „ Czemu nie? ”.*

George Bernard Shaw

### **10**

Otwieram oczy i widzę światło: jasne, białe, brzęczące. Leżę w łóżku, ale nie jest to moje łóżko w hotelowym pokoju 1A. Sufit wyłożony jest białymi, pochłaniającymi dźwięk kafelkami, i przebiegają po nim długie jarzeniowe rury.

Otoczają mnie ludzie ubrani w pomarańczowe stroje: wchodzi i wychodzi; kręcą się wokół jak tancerze. Widzę, że ze sobą rozmawiają, ale nie słyszę ich, bo nie pozwala na to szum w uszach i wyjąco-warczący dźwięk maszyn, które huczą jak uderzające o brzeg morskie fale. Hałaśliwe maszyny stoją z obu stron łóżka. Przed sobą mam też czarny ekran telewizyjny, a na nim zielony wykres, jaki tworzą przesuwające się faliste linie.

Jestem w szpitalu. Musiałam zemdleć w parku albo miałam atak serca czy coś w tym rodzaju. Próbuję się poruszyć, tak bym mogła usiąść i zobaczyć, co się znajduje w pobliżu. Moje ramiona i nogi okazują się jednak niesprawne; są za ciężkie.

- Bobby! - szepczę. Pali mnie w gardle, męczy bolesne pragnienie. - Daniel?

- Witam panią, Joy! Milo mi panią widzieć.

Jakaś męska twarz „przepełnia” przed moimi oczami. Usilnie próbuję skupić na niej wzrok, ale dostrzegam tylko jej fragmenty: białe jak śnieg włosy... opaloną cerę... niebieskie oczy... brylantowy kolczyk. To ten starszy pan ze stacji benzynowej.

- C... o? - dukam, usiłując go spytać, co tutaj robi, ale moje narządy mowy nie działają jak trzeba: język mi skołowaciał. Dostaję od tego pana kawałek lodu na uśmierzanie palącego bólu gardła.

- Proszę nie próbować mówić; jest pani zaintubowana. Ból gardła, jaki pani odczuwa, to normalny objaw. Nazywam się doktor Saunders. Nieźle nas pani wystraszyła...

- Kim... pan jest? - Nie rozumiem, co się wokół mnie dzieje, i to mnie denerwuje.

- Teraz proszę tylko odpoczywać, nic więcej.

Ludzie przebywający w pokoju porozumiewają się ze sobą szeptem, abym nie słyszała, co mówią. Ich twarze zlewają się w morze rozmazanych kółek. Patrzą i marszcząc brwi, wskazują na mnie. Często potrząsają głową. Potem jeden po drugim wychodzą. Dociera do mnie odgłos ich oddalających się kroków, otwieranie i zamykanie drzwi.

Zostają ze mną jedynie maszyny wydające hałaśliwe tony: dudnią, szumią, stukają i piszczą. Jestem sama, nie mogę się poruszyć; leżę, wpatrując się w nieznany mi, obcy sufit.

Biedny Bobby. Pewnie się przeraził.

- *Nigdy cię nie opuszczę...* - obiecywałam mu, a znajduję się w szpitalu. Chciałabym widzieć Bobby'ego przy moim łóżku, bym mogła się do niego uśmiechnąć i zapewnić, że czuję się dobrze.

Za mną znów otwierają się drzwi. Słyszę kroki, które się przy mnie zatrzymują. To pewnie Bobby. Dzięki Bogu...

Doznaję miłego uczucia ulgi. A więc Bobby już wie, że go nie opuściłam i mam się nieźle. Ale choć te zapewnienia brzmią w mojej głowie wyraźnie i czysto, głos, który wydostaje się z suchych i popękanych warg, jest ledwie słyszalnym szeptem. Wydanie tego dźwięku okazało się bezskuteczne, ale już sama próba bardzo mnie zmęczyła. Usiłuję więc unieść rękę, by pokazać chłopcu, jak dobrze się czuję.

- Joy?

Ten głos to pewnie jakaś pomyłka. Bobby mówi całkiem inaczej. Upłynęły całe wieki, zanim udało mi się odwrócić głowę, a wtedy się okazało, że poduszka zasłania mi lewe oko. Mimo to zupełnie wyraźnie widzę Stacey. Wydaje mi się mniejsza; jak ołówek, który się już nieco wypisał. Ma zapuchnięte i czerwone oczy; nie ulega wątpliwości, że te ślady na policzkach są po łzach. Nie rozumiem, skąd się tu wzięła i jak mnie znalazła.

- Co się dzieje? - pytam, ale wychodzi mi to niezbyt składnie. Stacey pochyła się nade mną i odsuwa kosmyk wilgotnych włosów, spadający mi na oczy. Dotknięcie jej palców trwa jednak bardzo krótko, jakby nie była pewna, czy będzie mile widziane. Jeszcze dobrze go nie poczułam, a już cofnęła dłoń.

- Tak się o ciebie bałam... - mówi.

- Jak mnie znalazłaś? - seplenię.

Po ruchu warg poznaję, że Stacey mi odpowiada, ale coś się chyba ze mną dzieje, bo słyszę tylko szum w uszach i nic więcej. Boli mnie także

głowa. Chcę spytać siostrę, gdzie są Bobby i Daniel, ale głos mnie zawodzi.

Wszystko, co zdołałam z siebie wykrztusić, to:

- Gdzie?

- Przewieziono cię samolotem do Bakersfield. Jesteś w domu.

- W domu? - wymawiam to słowo łamiącym się głosem. Nic nie rozumiem. - Czy dziś jest wigilia Bożego Narodzenia?

- Nie. Przykro mi, bo wiem, jak bardzo lubisz te święta...

- A jaki mamy dzień?

- Dziś jest trzydziesty grudnia. Masz za sobą dwa trudne tygodnie, ale lekarze sądzą, że teraz nastąpi poprawa.

Stacey mówi za szybko; trudno mi pojąć sens jej słów.

- Daniel?

Stacey się chmurzy.

- Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię, Joy? Przeżyłaś katastrofę samolotu. Nie pamiętasz? Strażacy uratowali cię na parę sekund przed eksplozją maszyny. Lekarze uprzedzali mnie, że możesz mieć kłopoty z pamięcią.

Jak to możliwe, że uratowali mnie strażacy? Przecież sama odeszłam z miejsca katastrofy. Postanowiłam zostawić swoje zszargane życie we wraku samolotu i udać się na poszukiwanie wielkiej przygody. Jeśli ktoś mnie uratował, to tylko Bobby i Daniel, nikt inny! Chcę zaprzeczyć słowom siostry ruchem głowy, ale mi się nie udaje.

- Nie! - mówię z wysiłkiem.

- Prawie dziesięć dni byłaś w śpiączce; lekarze specjalnie cię w ten stan wprowadzili, bo odniosłaś ranę głowy.

Więc miałam ranę głowy?...

Znaczenie tych słów mnie przeraża. Stacey twierdzi, że od momentu katastrofy przebywam w tutejszym szpitalu. Cały czas w łóżku. Nie rozumiem, dlaczego miałyby mnie okłamywać. Czy dlatego, że uciekłam, a ona myślała, że nie żyję?

- Powiedz mi, Joy, co zapamiętałaś z tego okresu?

Daniela i Bobby ego...

To, że odeszłam...

I taniec przy ognisku na plaży...

Serce zaczyna bić bardzo szybko, nie mogę złapać tchu. Stojąca przy mnie maszyna zaczyna pikać.

- Kłamiesz! - oskarżam szeptem siostrę. Wymówienie słowa łączy się z takim wysiłkiem, że w gardle pali mnie jak ogniem.

Jakby z oddali słyszę, że Stacey wzywa pomocy. W ciągu paru sekund do pokoju przybiegają jacyś ludzie. Widzę igłę strzykawki.

- Przestań się rzucać - mówi siostra - bo zrobisz sobie krzywdę.

- Proszę leżeć spokojnie!

Czuję, że twarz mi blednie, zamykam oczy. Straszliwy szum w głowie powoli mija.

Lecę nad lasem deszczowym i patrzę w dół na diadem świateł nad miastem. Z dala dostrzegam czarną wstążkę szosy. Światło księżyca złoci szlak rozdzielający dwupasmową arterię i wskazuje mi drogę.

Tym razem wiem, że to sen. Słyszę szum jarzeniówek nad głową i wyjąco-warczący dźwięk, jaki wydaje przypominająca bociana maszyna, która stoi obok mego łóżka. Czuję też niezbyt mocne tętnienie krwi, coś w rodzaju euforii, i wiem, że tak działa dożylna kroplówka. Jak się domyślam,

ona powoduje, że nie odczuwam żadnego bólu. Może to niedobrze, ale skoro nie cierpię, niczym się nie przejmuję.

Przebywam gdzieś pośród srebrzystych chmur i stamtąd patrzę na Komfortowy Ośrodek Wędkarski rozciągający się wzdłuż szklistoszarego jeziora. Światło księżyca połyskuje na wodzie.

Tam właśnie pragnę być. Zamykam oczy i sprawiam, że moje życzenie się spełnia.

Kiedy znów otwieram oczy, widzę, że jestem w holu ośrodka wciśnięta w jedną ze ścian. Pokój jest jeszcze świątecznie udekorowany. Na choince świecą się lampki, a na półce nad kominkiem stoi rząd palących się świec i skrzy się śnieżne miniaturowe miasteczko. Z odtwarzacza stereo płynie bożonarodzeniowa pieśń *Santa Claus is Coming to Town* w wykonaniu Bruce'a Springsteena. Słyszę czyjeś kroki na piętrze. Ten stary dom trzęsie się cały i jęczy, gdy ktoś pędzi przez hol na górze, a potem głośno stukając, zbiega po schodach na dół. To Bobby, który tak właśnie zaczyna pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. W holu skręca w lewo i mijając mnie, wpada do pokoju 1A.

Otwiera drzwi i z okrzykiem „Joy!” znika w głębi.

Wyobrażam sobie, że chłopiec zatrzymuje się nagle przy moim pustym łóżku. Ta scena budzi we mnie ogromny żal. Tak bardzo się tym przejmuję, że znów mam kłopoty z oddychaniem.

Po chwili schodzi ojciec Bobby'ego i zatrzymuje się tuż przy mnie. Pragnę poczuć ciepło jego ciała, ale mi się to nie udaje. Jestem tak blisko Daniela, że mogę dostrzec drobne, odcisnięte podczas snu linie, jakie znaczą jego policzki, i wyczuć w oddechu lekkie zmęczenie. Mimo to mam wewnętrzne przekonanie, że dzieli nas ogromna odległość.

- A ja myślałem, Bobby, że poszedłeś sprawdzić, co jest pod choinką - żartuje Daniel.

Bobby wychodzi z pokoju i przyłącza się do ojca. Chłopiec wydaje się jakby mniejszy i młodszy. Ma opuszczone ramiona, usta mu drżą i widzę, że z trudem powstrzymuje płacz.

- Joy zniknęła - mówi rozżalony.

Próbuję do niego podejść, ale nie mogę oderwać się od ściany. Moje nogi są tak ciężkie, jakby były z ołowiu.

Bobby przytula się do ojca z miną winowajcy. Dzieci zawsze przybierają taką minę, gdy są bardzo rozczarowane.

- Obiecała mi, że tego nie zrobi, ale opuściła mnie tak samo jak mamusia.

- Jestem tu. Nie mów, że mnie nie ma! - krzyczę; choć próbuję ze wszystkich sił, nie udaje mi się sięgnąć ręką, by malca dotknąć.

Daniel bierze Bobby'ego w ramiona. Widzę, że dzieciak płacze, ale jest to niemy szloch; w taki sposób daje wyraz swojej rozpaczyci chłopiec, który zbyt wcześnie nauczył się płakać i usiłuje to ukryć. Kiedy odrywa się od ojca, oczy ma zaczerwienione i mokre od łez.

- Czy pamiętasz, co mówił lekarz? - pyta Daniel, delikatnie ocierając mu twarz. - Pan doktor powiedział, że kiedy nie będziesz potrzebował wymyślonej przyjaciółki, wówczas ona zniknie.

- Ale Joy nie była wymyślona, tato - przekonuje ojca Bobby, gwałtownie potrząsając głową. - Nie była! Przecież sam z nią rozmawiałeś.

- Udawałem, bo tak radzili lekarze.

Tę wiadomość odbieram jak bolesny cios. Byłam więc wymyślona przez Bobby'ego przyjaciółką. Daniel nigdy mnie nie widział.



- To nieprawda! - krzyczę. W tej jednak chwili przypominają mi się pewne sceny. Oto bywało, że Daniel nie patrzył na mnie ani się do mnie nie zwracał. A kiedy mówił - to udawał, stosując się do poleceń lekarzy. Chodziło o to, by Bobby miał uczucie, że jest kochany. Albo wówczas, gdy Daniel ze mną tańczył... Teraz sobie uzmysławiam, że to Bobby wskazał mi miejsce, gdzie jestem. „Przecież Joy jest tuż obok, tatusiu! Zatańcz z nią”.

- Posłuchaj, Bobby! Przecież ja mógłbym być tą osobą, z którą byś rozmawiał - proponuje chłopcu Daniel. Głos mu się załamuje i po wyrazie jego oczu poznaję, jak jest tą sytuacją speszony i jak bardzo się niepokoi.

- Nie, bo ty mi nie wierzysz... - argumentuje Bobby. Od-wraca się na pięcie, podchodzi do choinki i kuca przed nią.

Kiedy Bobby się oddala, ja mam pewną swobodę ruchu. Mogę iść za nim, poruszać się, gdy on się porusza, i być tam, gdzie on. Gdy Bobby klęczy przed choinką, ja siedzę obok, jak to czyniłam wiele razy przedtem. Z mojej lewej strony stoi stolik karciany, a na nim leży gra planszowa, i widać, że graczy było troje...

- Ja będę za Joy przesuwiał pionki, tato...

Przy tej okazji przypominam sobie jeszcze jedną rzecz, która daje mi wiele do myślenia. Zawsze ilekroć Bobby i ja bawiliśmy się figurkami, on chciał, żebym to ja była Frodem i miała pierścień, a przecież to właśnie pierścień czynił Froda niewidzialnym.

Chłopiec sięga pod choinkę i wyjmuje małą paczuszkę. Jest to dość niedbale opakowany w cynfolię rulon z byle jak zawiązanymi kokardkami na obu końcach. Bobby i ja jednocześnie wstrzymujemy oddech. Przecież ten prezent jest dowodem na to, że moja absurdalna, zdawałoby się, podróż jednak się odbyła! Czyż nie tak?

- Zobacz, tato! To prezent dla ciebie od Joy.

- Bobby!

- Otwórz paczuszkę!

Daniel bierze do ręki rulon; w jego długich, opalonych palcach paczuszka wydaje się mała i krucha. Ostrożnie ją rozpakowuje i wyciąga listę. W miarę jak ją czyta, coraz bardziej się chmurzy. Potem patrzy pytająco na syna:

- Jak to zrobiłeś?

- To prezent od Joy: dyktowała mi, co mam napisać. Daniel jeszcze raz spogląda na listę.

A więc ja tu byłam... byłam! Teraz Daniel na pewno uwierzy Bobby'emu.

- Sam tę listę ułożyłeś i spisałeś: przyznaj się, proszę! - mówi Daniel, nie spuszczając wzroku z syna.

- Nie potrafiłbym, tato - z powagą odpowiada Bobby. Daniel, milcząc, rozgląda się dookoła.

- A czy Joy teraz też jest z nami? - pyta po chwili.

- Nie. Przecież zniknęła wtedy w parku.

- ZOBACZ MNIE! - krzyczę tak głośno, jak tylko ja potrafię.

Daniel marszczy brwi. Widzę, że go ta sytuacja gnębi. Wie, że Bobby sam nie mógł napisać tej listy, ale nie wierzy w moje istnienie. Jakżeby mógł?

- Proszę cię, tato, uwierz mi! - szepcze Bobby. - Z Joy nie było tak jak z mamusią czy z panem Patchesem. Przysięgam!

Daniel wpatruje się w listę, którą trzyma w dłoni; papier lekko drży w jego trzęsących się rękach. Potem zwraca się do syna:

- Chcesz, żebym uwierzył w magię?

Bobby potakuje, a to sprawia, że do oczu jego ojca, a także moich, napływają łzy.

- Mamusia by mi uwierzyła...

- Ale...

- Trudno, myśl, co chcesz! - mówi Bobby i wzdycha. Na mnie robi to wrażenie straszne, wręcz przerażające; tak wzdycha ten, kto czuje się przegrany.

- No, dobrze - powiada w końcu Daniel. - Jestem przecież Irlandczykiem, a Irlandczycy, wiadomo, chmara wariatów...

Bobby mocno wciąga powietrze. Tym razem jest to dźwięk nadziei.

- Pamiętam, co babcia mawiała, że kobold, ten duszek, który strzeże skarbów, mieszka w jej puszcze do ciastek.

- Jestem dokładnie tego samego zdania - uśmiecha się Daniel - a jeśli chodzi o ciebie, synku, to spróbuję ci uwierzyć, ale musisz mi to ułatwić.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

- A jak miałbym to zrobić? Daniel wzrusza ramionami.

- Musisz mi o Joy opowiadać tak długo, aż uwierzę. Bobby rzuca się ojcu w ramiona.

Widzę, jak Daniel obejmuje syna. Gorliwość, z jaką to czyni, świadczy o jego wielkim uczuciu. Gdy Bobby uwalnia się z ojcowskiego uścisku, obaj się uśmiechają.

- Zauważcie mnie! - szepczę. Pragnę tego aż do bólu. -Proszę!

- Czy moglibyśmy teraz rozpakować prezenty?

- Oczywiście.

Bobby biegnie do choinki i zaczyna wyciągać spod niej paczuszki, które umieszcza na stoliku do kawy. Na koniec sięga głęboko pod drzewko i wyjmuje pomarańczową książeczkę o przygodach doktora Seussa, z żółtą wstążką służącą za zakładkę. Niesie ją ostrożnie i wręcza ojcu wygodnie siedzącemu na kanapie.

- Dajesz mi w prezencie swoje ulubione opowiadanie, Bobby? - dziwi się Daniel.

- Nic podobnego! - Bobby siada obok ojca i otwiera książkę.

- Chcesz, żebym ci ją poczytał? - krzywi się Daniel. -A może lepiej...

- Muszę się skupić, tatusiu, więc mi nie przeszkadzaj. -Chłopiec robi poważną minę i wyraźnie stara się skoncentrować. Potem słowo po słowie czyta i idzie mu to całkiem gładko: - Na... imię... mi... Sam.

- Bobby!

- Nie przerywaj, tatusiu! Nie... lubię... zielonych... jaj... i... szynki.

Wysłuchuję się w głos Bobby'ego, który tak słodko się zacina, i patrzę na Daniela. Początkowo siedzi wyprostowany i robi wrażenie opanowanego. Ale w miarę jak syn czyta, widzę, że mężczyzna traci swą sztywność. Jest wzruszony: mięknie spojrzenie jego zielonych oczu, łagodnieje zarys szerokich ramion i prosta linia pleców.

Miłość: nigdy jej sobie tak jasno nie uzmysławiałam ani tak desperacko nie pragnęłam.

- W tym, co się tu dzieje, mam swój udział - mówię do nich. - Spróbujcie na mnie spojrzeć! Dostrzeżcie także i mnie!

Bobby kończy książkę i patrzy na ojca.

- Płaczesz? - dziwi się. - Czyżbym aż tak źle wypadł?

- Twoja matka byłaby z ciebie dumna - zapewnia Daniel syna i głaszcze go po policzku.

Ja też mam łzy w oczach i wszystko widzę zamazane. Ale jestem zadowolona, czuję bowiem, że taki moment jak ten był mi potrzebny, aby znaleźć się poza centrum uwagi.

- Joy codziennie uczyła mnie czytać - zwierza się Bobby. Daniel przez dłuższą chwilę zatrzymuje na nim wzrok.

- Uważam, że skoro to robiła, zasłużyła sobie na miejsce w naszym domu. Mam rację?

- Tęsknię za nią, tato!

- Wiem, ale pamiętaj, że masz także starego ojca, który nigdy od ciebie nie odejdzie.

- Obiecujesz?

Słyszę lęk w głosie Bobby'ego i doznaję olśnienia. Ten lęk cały czas chłopcu towarzyszył: Bobby bał się, że zostanie sam. Ja miałam podobne obawy i to one właśnie skłoniły mnie do wejścia na pokład samolotu, którego stacją docelową była miejscowość o nazwie Hope, czyli Nadzieja.

- Obiecuję - solennie przyrzeka Daniel. Pochyłam się, bo tylko taki ruch mogę wykonać.

- Uwierzcie we mnie! - desperacko wołam do obu, pragnąc ich zmusić, by patrzyli na mnie nie oczami, lecz sercem. Skupiam na tym całą uwagę i jak mantrę wciąż powtarzam w myśli: Uwierzcie!

Ten wysiłek wyczerpuje moje siły do tego stopnia, że z trudem łapię powietrze. Znowu czuję przyspieszone bicie serca. Świat zaczyna się rozmywać w moich oczach, jego obraz staje się nieostry. Słabnę. Z każdą

chwilą bardziej. Szukam czegoś, czego mogłabym się przytrzymać, ale bez skutku. Zamykam oczy i krzyczę: „Nie!”.

Kiedy znów podnoszę powieki, widzę jarzące się białe światła, a przy moim łóżku pielęgniarkę, która pyta dobrze mi znanym głosem:

- Jak się pani czuje?

Jest to ta sama kobieta, którą „spotkałam” w poczekalni przed gabinetem lekarza w moim śnie.

- Świetnie - udaje mi się odpowiedzieć i znowu zamykam oczy. Próbuję odnaleźć powrotną drogę do lasu deszczowego, lecz tym razem przede mną jest tylko ciemność. I nic więcej.

Chciałabym znowu być na prochach i nic nie czuć. Jest jednak inaczej; całkiem przytomna siedzę na łóżku. Mnóstwo osób tłoczy się wokół mnie; wszystko mi przesłaniają, za nimi nie widzę nawet ściany. Przez okno, którego nie sposób dojrzeć, płynie światło, rozjaśniając sufit. A ja łapię się na tym, że tęsknię za szumem deszczu. Ale na próżno nastawiam uszu, by go usłyszeć: jestem w Bakersfield, mamy trzydziesty pierwszy grudnia i na dworze świeci słońce.

- Nie rozumiem, co mówisz. Powtórz to jeszcze raz! - złością się otaczający mnie ludzie. Poznają ich; oczywiście wśród nich jest Stacey. Moja siostra nie opuściła tego pokoju od chwili, gdy się przebudziłam. Jeśli na chwilę wychodziła, to tylko po to, aby wziąć sobie coś do jedzenia albo - w co nie wątpię - zadzwonić do Thoma. Jest tu także ta pielęgniarka, którą widziałam we śnie. Cały czas się mną opiekuje. A ten pan z rumianą twarzą, który zagadnął mnie w kościele, okazał się ortopedą z tutejszego szpitala. To on zestawiał mi prawą nogę i prawdopodobnie zastosował gwóźdź z tytanu, aby utrzymać kości we właściwej pozycji. Niestety, nie mogę tego

powiedzieć o stanie mego umysłu, którego ostatnio nic nie może utrzymać w równowadze. Z kolei starszy pan ze stacji benzynowej jest w rzeczywistości kardiologiem, który przywrócił mi życie. Jednak prawdziwe zasługi położyli tu pewien mężczyzna i mały chłopiec, którzy chyba w ogóle nie istnieją.

- Złamała pani prawą nogę tuż pod kolanem i doznała wstrząsu mózgu. Obrzęk mózgu przez kilka dni bardzo nas martwił. - Tę diagnozę usłyszałam z ust pana ze stacji benzynowej; teraz już wiem, że nazywa się doktor Saunders. Chciałam zażartować, że może będę miała większy mózg, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów.

- Po krótkiej fizjoterapii całkowicie wrócisz do zdrowia -zapewnia mnie siostra, a specjaliści z konsylium lekarskiego zgodnie potakują. Przypominają śmieszne główki na sprężynce, jakie podskakują na tylnym siedzeniu w naszych samochodach.

- Czy będę mogła znów jeździć na łyżwach? - pytam, chociaż nie ślizgałam się od czasu, gdy Melinda Carter urządziła przyjęcie na swoje dziewiąte urodziny.

Doktor Saunders krzywi się: nie oczekiwał takiego pytania.

- Z czasem - duka - z pewnością tak... ale...

- Nie szkodzi... - uspokajam go i próbuję się uśmiechnąć. - A kiedy będę mogła wrócić do domu?

Znowu zaczynają się potakujące ruchy głowy, lecz to pytanie raczej się podoba.

- Na razie proszę o tym nie myśleć - mówi doktor Saunders. A ja patrzę na moją prawą nogę w gipsie i rozumiem, że to nie przelewki. - Ale jeśli pani zachowa maksymalną ostrożność, no i jeśli nie powstaną żadne

nieprzewidziane komplikacje, to sądzimy, że za kilka dni będzie pani mogła opuścić szpital.

Chcę się do nich uśmiechnąć, naprawdę tego chcę. Wiem, jak oni wszyscy ciężko pracowali, żeby mi pomóc i żebym mogła wrócić do domu.

- To wspaniale - udaję, a w duchu myślę: Znow będę sama.

Poznaję po sposobie, w jaki Stacey na mnie patrzy, że ona wie, co myślę. Więż, jaka między nami przez tak wiele lat istniała, wytrzymała wszelkie próby: ani złość, ani zdrada nie potrafią jej zerwać.

- Dziękuję - mówię i naprawdę czuję wdzięczność.

Po jakimś czasie grupa lekarzy wychodzi i zostajemy tylko my dwie: Stacey i ja. Obie milczymy; nie wiemy, co powiedzieć i od czego zacząć.

Kolej na mnie. Wiem. Stacey już wykonała pierwszy ruch: zaprosiła mnie na ślub. I właśnie dlatego teraz tu leżę, podłączona do maszyn i szcepiona metalowym gwoździem w nodze.

Siadam w łóżku i przekładam poduszki, żeby było wygodniej. Ale gdy się podniosłam, zrozumiałam, że popełniłam błąd: teraz nie uniknę widoku brzucha Stacey. Chyba przybrała kilka kilogramów na wadze.

Siostra natychmiast zauważyła, na co patrzę.

- Dziwię się, że mnie jeszcze stąd nie wyrzuciłaś - mówi cicho. Ale ja słyszę w jej głosie tęsknotę i to, że jej mnie brakowało. Odżyły we mnie wspomnienia z naszej młodości.

- Twoja obecna waga wymagałaby czegoś w rodzaju wyrzutni - żartuję.

Widzę, że siostra ma ochotę uśmiechnąć się na mój niezbyt udany dowcip. Byłoby to oczywiste, ale tego nie robi... Przypuszczalnie nie może.

- Aż tyle znowu nie przytyłam... - słyszę.



- Zapewniam cię jednak, Stacey, że gdybym miała obie zdrowe nogi, to dałabym ci teraz kopa...

- Przestań - prosi siostra. - Zawsze sobie żartujesz, kiedy cierpisz.

I w tym tkwi sedno. Jesteśmy siostrami i znamy się jak łyse konie. Znamy na wylot naszą przeszłość, wszystkie tajemnice i obawy. Co prawda próbowałyśmy ten cenny dar odrzucić, ale się okazało, że nadaremnie...

Stacey przygryza dolną wargę. Robiła to od małego, zawsze wtedy, kiedy się czegoś bała.

- Tak mi przykro, Joy. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Nie miałam takiego zamiaru...

Podnoszę dłoń gestem, który ma powstrzymać Stacey od tego rodzaju wyznań. Ze wszystkich rzeczy, które mamy sobie do powiedzenia, odpowiedź na pytanie, dlaczego i jak to się stało, co się stało, umieściłam na samym końcu listy. Za późno jednak swój ruch wykonałam: słowa z ust Stacey już padły, a one nie dosyć że złością, ale także ranią.

- Mówisz to tak - wyrzucam jej - jakbyś się pośliznęła na skórce od banana i wpadła... na mego męża.

- No to co teraz zrobimy?

Łagodny ton głosu, drżenie warg, żal w jej oczach - widzę to i widzę też ją. To wszystko sprawia, że złość mi mija, udaje mi się z nią uporać. Przecież właśnie o Stacey myślałam wtedy, kiedy samolot spadał. I o tym muszę zawsze pamiętać.

- Na pewno znajdziemy jakiś sposób, by sobie z tym poradzić. To wszystko! - mówię.

- Nie do wiary! Kim ty jesteś i co zrobiłaś z moją siostrą?

- A kto teraz próbuje być dowcipny?

Stacey patrzy na mnie wzrokiem, w którym podziw łączy się z wdzięcznością.

- I pomyśleć, że jeszcze dwa tygodnie temu nienawidziłaś mnie...

- Nigdy nie miałam w sobie nienawiści, Stacey! - Przemawiam do niej łagodnie, ale bardzo szybko zdaję sobie sprawę, że słowa nie wystarczą. Chcę i powinnam jej powiedzieć, zanim mnie poniosą nerwy, to, czego się nauczyłam w lesie deszczowym: że jesteśmy siostrami.

I właśnie wtedy Stacey zaczyna płakać. Czekam, żeby coś powiedziała, ale ona milczy. Może, podobnie jak ja, zastanawia się, jak zacząć wszystko od nowa.

- To nie będzie łatwe - ostrzegam.

- A co jest łatwe? - replikuje Stacey, ocierając łzy. Podchodzi bliżej, patrzy na mnie i odgarnia mi włosy spadające na oczy. - Tak mi przykro... Przecież wiesz.

- Wiem - wzdygam. - Kiedy byłam w lesie deszczowym... - I przerywam gwałtownie, nie dokończywszy zdania, bo sobie uświadamiam, co miałam zamiar powiedzieć.

- W jakim lesie?

Usiłuję się uśmiechnąć, ale mi się nie udaje.

- Gdybym ci o tym opowiedziała, pomyślałabyś, że mam poważnie uszkodzony mózg albo że zwariowałam.

- Należysz do najbardziej zrównoważonych osób, jakie znam.

Przypatruję się siostrze i oceniam w duchu, ile mogę jej powiedzieć.

- Widziałam cię w telewizji, gdy w rozmowie z reporterami wyrażałaś nadzieję, że do was wrócę.

- Jak to... ? - dziwi się Stacey i marszczy brwi.

- Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie: Powiedziałaś to czy nie?

- Powiedziałam. Codziennie się modliłam, żebyś się obudziła ze śpiączki i wróciła do nas.

W jakiś niewytłumaczalny sposób w tym świecie, który był nieprawdziwy, zobaczyłam autentyczny program telewizyjny.

- I miałaś na sobie ten żółty kostium, który ci kupiłam na urodziny?

Stacey potakuje, potem pochyla się i opiera ramiona o poręcz mego łóżka.

- Nie mogłaś widzieć tego programu. Byłaś wtedy nieprzytomna.

Zastanawiam się, komu miałabym o tym opowiedzieć, jak nie mojej siostrze. A czuję, że koniecznie muszę o tym komuś powiedzieć, bo jeśli spróbowałabym sama sobie z tą historią poradzić, tobym zwariowała.

- Wiesz - zaczynam - kiedy się obudziłam po katastrofie...

Stacey zaprzecza ruchem głowy.

- Nie. Wtedy wcale nie odzyskałaś przytomności... Sanitariusze...

- Bo zwariuję... Pamiętaj o tym!

- Ach!

- W każdym razie na pewno znalazłam się na leśnej wycince. Pełno tam było dymu i ognia, głośnie hałasy i... mama.

- Widziałaś mamę? - szepnęła ledwo słyszalnie.

- Tak.

- I co?

- Uklękła przy mnie i powiedziała, że jeszcze nie nadszedł mój czas. - Pochyliłam się lekko i z całych sił pragnę, by ktoś mnie zapewnił, iż nie straciłam rozumu, choć w duchu wiem, że chyba jest inaczej. - No, dobrze... Powiedz mi, że psychol ze mnie i tyle.

- Prawda jest taka, że tam na polu prawie na minutę zatrzymała się praca twego serca. Przez chwilę uznano cię za zmarłą.

Westchnęłam, ale ta wiadomość dziwnie mnie uspokoiła.

- Mama zmusiła mnie, żebym się obudziła, i wówczas uświadomiłam sobie, że jestem sama, daleko od innych ocalonych osób. Najpierw chciałam do nich pójść, żeby mnie ratowali, lecz potem pomyślałam o tobie i zmieniłam zdanie. Oddaliłam się z miejsca katastrofy i w końcu znalazłam się w małym miasteczku w stanie Waszyngton.

- Myślałam, że wiesz, iż twój samolot rozbił się około stu sześćdziesięciu kilometrów na północny wschód stąd.

Ta informacja naprawdę mną wstrząsnęła.

- A więc nigdy nawet nie byłam w stanie Waszyngton?

- Nie byłaś.

Postanowiłam, że później się nad tym zastanowię, a teraz, skoro już zaczęłam opowiadać Stacey o mojej zwariowanej przygodzie, chciałabym ją dokończyć.

- Znalazłam coś w rodzaju hotelu. Nazywał się Komfortowy Ośrodek Wędkarski i dostałam w nim pokój. Był tam mały chłopiec i pewien mężczyzna, jego ojciec.

Stacey przerywa mi ruchem ręki:

- Poczekaj sekundę! -I biegnie tam, gdzie na musztardowożółtym plastikowym fotelu leży w rogu pokoju moja torebka, a obok niej aparat fotograficzny.

- Mój aparat - szepczę. - Czy wywołałaś film, który tam zrobiłam?

- Nie. - Stacey grzebie w mojej torbie i w końcu wyciąga z niej jakieś czasopismo, po czym szybko wraca. - Przeczytałam je, kiedy leżałaś na chirurgii. - Otwiera pismo na którejś stronie i mi je podaje.

Widzę, że to artykuł o Komfortowym Ośrodku Wędkarskim, ten, który przeglądałam na lotnisku.

Czuję, że coś się ze mną dzieje, coś we mnie pęka. Domyślam się, że właśnie wtedy się wszystko zaczęło. W mojej podświadomości. Patrzyłam na zdjęcie ośrodka i zapragnęłam tam pojechać. A dzięki kroplówce z morfiną to, o czym marzyłam, stało się możliwe.

- W tym artykule piszą, że ośrodek rozebrano w dwa tysiące trzecim roku, by na jego miejscu zbudować dom wypoczynkowy dla pewnej spółki.

„A więc go rozebrano” - myślę.

- Czy jest tam mowa o kimś, kto ma na imię Daniel? Stacey wertuje strony czasopisma.

- Nie. Dom zbudował pan Melvin Hightower z żoną. Kiedy go potem nabyła spółka Zimoń, ci państwo przenieśli się do Arizony. Teraz w tym domu mieszczą się sale rekreacyjno-rozrywkowe oraz pokoje dla uczestników seminariów i kursów doszkalających organizowanych przez spółkę.

A więc Komfortowy Ośrodek Wędkarski już nie istnieje i ja nigdy tam nie byłam! Nie mam już wątpliwości, że Daniel to mój neurolog, a Bobby jest synem którejś z pielęgniarek; może wpadł na chwilę do mego pokoju, kiedy spałam.

- Dobrze się czujesz, Joy? - pyta Stacey.

- Nie - odpowiadam i zamykam oczy, żeby nie widziała moich łez.

- Nie strasz mnie!

W końcu jednak na nią spoglądam i przez łzy widzę, jak bardzo jest zmartwiona. Chciałabym ją pocieszyć, ale nie potrafię.

- Może dasz mój film do wywołania? - proponuję.

- A jesteś pewna, że tego chcesz?

- Nie, Stacey! - wzdycham. - Niczego już nie jestem pewna...

RS

## 11

Czuję się jak autystyczne dziecko, które usiłuje ułożyć puzzle. Do końca pobytu w szpitalu zastanawiałam się nad każdym elementem układanki i zestawiałam ją na dziesiątki sposobów, licząc na to, że ukaże mi się dokładny obraz tego, co się stało po katastrofie.

Powiedziano mi, że nie odeszłam z miejsca wypadku; nie sądzę, by chciano mnie okłamać.

Przejrzałam starannie wszystkie artykuły opisujące katastrofę, jakie ukazały się w prasie, i obejrzałam towarzyszące im fotografie. Muszę przyznać, że po tej lekturze poczułam się naprawdę chora: fizycznie, nie na duszy... Kilku pasażerów, w tym pan Riegert, stwierdziło, że na własne oczy widzieli, jak mnie wynoszą z wraku samolotu. Gdy znaleźli moją torebkę i dowód osobisty, zadzwonili do Stacey. Nawet jeśli jest prawdą, że mam uszkodzony mózg, że żyję urojeniami i że mnie otumaniają prochami, to jednak nie jestem głupia; doceniam wymowę faktów.

Wiem już, że nie opuściłam miejsca katastrofy, ale muszę zacząć w to wierzyć. Gdybym pamiętała moment wypadku, może wtedy potrafiłabym nadać całej sprawie bardziej realne kształty. Ale psychiatrzy, którzy mnie teraz otaczają, niby rekiny, gdy w wodzie poczują krew, uważają, że nigdy sobie tego momentu nie przypomnę, bo było to dla mnie „zbyt traumatyczne” przeżycie.

Choć im tłumaczę, że dla mnie bardziej bolesne jest wspomnianie Daniela i Bobby'ego, ci specje od mózgu niechętnie tego słuchają. Ilekroć wspominam moją przygodę, cmokają z niedowierzaniem i potrząsają głową.

Jedynie Stacey pozwala mi mówić o Bobbym i Danielu, jakby byli prawdziwymi ludźmi. I ten prosty akt milczącej akceptacji pomógł nam się odnaleźć. Wydaje mi się zresztą, że nie tylko ja się zmieniałam w obliczu śmierci. Wiem od pielęgniarek, że siostra bardzo dzielnie o mnie walczyła i dopominała się o najlepszą opiekę. Organizowała też w mieście w mojej intencji modlitwy i nocne czuwanie.

Ubiegłej nocy spała nawet w moim pokoju, a rano wcześnie wstała, by przynieść dokumenty potrzebne do wypisania mnie ze szpitala.

- Czy jesteś już gotowa do opuszczenia tego przybytku? - pyta mnie, stojąc w drzwiach. Obok niej widzę pielęgniarkę i pusty fotel na kółkach.

- Jestem gotowa - odpowiadam. Ale mogłabym zrobić na drutach sweter w czasie, jaki zajmuje mi wyjście z łóżka i usadowienie się na wózku inwalidzkim. Nikt jednak nie zwraca na to uwagi.

Potem wyjeżdżam z pokoju i na wózku sunę korytarzem. Wszyscy, których po drodze spotykam, mówią:

- Życzymy ci wiele szczęścia, Joy! - A ja dukam podziękowania i udaję, że jestem szczęśliwa, wracając do domu.

Na dworze Stacey wiezie mnie do nowiutkiego czerwonego minivana.

- Nowy samochód?

- Dostałam go od Thoma na Gwiazdkę - odpowiada. Thom. Po raz pierwszy siostra wymówiła przy mnie jego

imię. Patrzymy na siebie o jedną przykrą chwilę dłużej, a potem Stacey pomaga mi zająć miejsce dla pasażera.

Po drodze staramy się nawiązać rozmowę, ale niezbyt nam się to udaje. Nagle czuję zapach wody po goleniu, jakby mój były mąż siedział z nami w aucie na tylnym siedzeniu.



- Odebrałam twój samochód z lotniska - informuje mnie Stacey, skręcając w Mullen Avenue. A ja mam wrażenie, jakby minął rok od czasu, gdy sama skręcałam na ten parking.

- Ciekawa jestem, w jakim stanie było drzewko? Pewnie wyschło na wiór?

- Nie, bardzo dobrze się przechowało. Podarowałam je Domowi Opieki w Sunset.

I bardzo słusznie - myślę. Było przymocowane do dachu mego samochodu tylko przez jeden dzień, a nie przez cały tydzień, jak mi się wydawało.

- Dzięki! - mówię.

Stacey wjeżdża na mój podjazd, parkuje i uroczyście oznajmia:

- Jesteś w domu.

Choć wszędzie mnóstwo samochodów i wzdłuż całej ulicy palą się światła, wydaje się tu zbyt cicho jak na późne popołudnie. Niemal dziesięć lat mieszkałam przy tej ulicy i w tym domu, a jednak właśnie teraz, gdy na niego patrzę, zastanawiam się, czy kiedykolwiek uważałam go za swój. Czy nie było to raczej pomieszczenie, w którym spędzałam czas wolny od dyżurów w gimnazjum, i miejsce, gdzie próbowałam uczynić z mego nieudanego małżeństwa coś, czym ono nigdy stać się nie mogło.

Teraz moim domem jest Komfortowy Ośrodek Wędkarski -coś, co prawdopodobnie w ogóle nie istnieje.

*Nie idź tam, Joy!*

Stacey okrąża samochód, podchodzi do drzwi z mojej strony i pomaga mi wysiąść. Potem podaje mi kule i razem, poruszając się bardzo wolno, przemierzamy ogród. Kiedy dochodzimy do rogu, gdzie rośnie ogromny

krzew bzu -przed laty była to nasza pierwsza inwestycja w tym ogrodzie - zza domu wylania się tłum z okrzykiem:

- Niespodzianka!

Raptownie stając, lekko się zatoczyłam, a wtedy Stacey położyła mi rękę na krzyżu i podtrzymała mnie, żebym nie upadła. Zgromadziło się tutaj chyba dwieście osób; większość trzymała w ręku zapalone świece, kilka niosło tablice z napisem: „Witaj w domu, Joy!”.

Pierwsza wysunęła się Gracie Leon. W ostatnim semestrze zabroniłam jej korzystania z naszej biblioteki za to, że zniszczyła wszystkie trzy egzemplarze powieści *Zabić drozda*, jakie mieliśmy w wypożyczalni, bazgrząc i rysując na nich jakieś gryzmoły.

- Modliliśmy się za panią i o pani zdrowie, pani Candellaro! - powiedziała.

Po niej wystąpił Willie Schmidt. Ten miody człowiek siedem lat temu, gdy jeszcze uczyłam, był moim asystentem. Teraz jest nauczycielem w miejscowym liceum.

- Witamy panią i cieszymy się, że pani wróciła - mówi, wręczając mi śliczne różowe pudełko, zawierające setki kart z pozdrowieniami od uczniów.

Następna była trzecioklasistka Mary Moro - nasza główna cheerleaderka. Przyniosła mi w białej porcelanowej doniczce pięknie kwitnący bożonarodzeniowy kaktus.

- Kupiłam go za pieniądze, które zarobiłam jako babysitterka, proszę pani. A wybrałam „grudnika”, bo zapamiętałam, co powiedziała pani kiedyś: że kaktus jest jedyną rośliną, jaką udaje się pani hodować.

Przybyły oczywiście Bertie i Rayla, koleżanki z pracy. Stoją tak blisko siebie, że robią wrażenie papużek nierozłączek. Obie, zamiast spędzać wolny czas z rodzinami, przyszły do mnie.

Czuję w gardle tyle łez, że trudno mi wydobyć z niego głos. Mogę jedynie szepnąć: „Dzięki!”.

Goście ruszają w moją stronę i wszyscy mówią jednocześnie. Stoimy w ogrodzie, śmiejąc się i wymieniając różne zdawkowe uprzejmości. Nikt nie wspomina o katastrofie samolotu, ale wiem, że męczy ich ciekawość i te niezadane pytania krążą nad nami, kryjąc się za zasłoną innych słów. Zastanawiam się, czy i kiedy będę mogła swobodnie o tym rozmawiać.

Gdy w końcu goście zaczynają się rozchodzić, nad aleją Madrony zapada wieczór i zapalają się uliczne latarnie.

Stacey prowadzi mnie do drzwi frontowych i otwiera je, a ja uświadamiam sobie, że ten dom po moim powrocie jest tak samo cichy i milczący jak wtedy, gdy go opuszczałam.

- Przeniosłam twoją sypialnię na parter - informuje Stacey, i nasze myśli od razu schodzą na śliskie tory. Obie mamy w pamięci ów dzień, kiedy zastałam ją z Thomem w moim łóżku. Nie po raz pierwszy nasze myśli wędrują w tę stronę i na pewno nie po raz ostatni. Niedawna przeszłość jest jak spowalniający garb: ograniczasz szybkość, przejeżdżasz po nim, a potem ruszasz dalej jak gdyby nigdy nic...

- Dobrze, że pomyślałaś o przeniesieniu łóżka - mówię.

Siostra pomaga mi się urządzić w pokoju gościnnym. Kiedy już się ułożyłam, przynosi mi kilka książek, sery i krakersy, „gorący kubek” z miejscowego minicentrum handlowego, pilota do telewizora i laptop. Wśród książek zauważyłam to samo czasopismo, które czytałam w ośrodku.

- Jakiś stary numer? - pytam wskazując na nie. Stacey wzrusza ramionami.

- Codziennie czytałam ci je w szpitalu. W tym numerze jest duży artykuł o renowacji domu zbudowanego z bali; urządzono w nim hotel, oferujący turystom nocleg plus śniadanie. Pamiętasz? Kiedyś chciałaś zostać właścicielką knajpy, więc sądziłam, że cię to zainteresuje.

- Oczywiście, że pamiętam. - Tylko tyle mogę powiedzieć. Ale już się nie dziwię, że ten Komfortowy Ośrodek Wędkarski z mego snu wymagał renowacji.

Stacey układa na poduszce moją nogę w gipsie, potem oddala się nieco i pyta:

- Dasz sobie radę w nocy?... Bo mogłabym zostać.

- Lepiej nie, bo twój... Thom będzie cię potrzebował.

- A wiesz? Powiedział, że chciałby się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę? To coś nowego...

Patrzymy na siebie i nie mamy pojęcia, jak zrobić następny krok. Bolesne wspomnienie wciąż wraca.

- Jest jak napalm, sądząc po tym, jak nagle się zjawia i znika - zauważa Stacey.

- Tak, masz rację.

- Ale mogłabym zostać z tobą...

- Nie, idź do domu, do swego... - Mimo najlepszych chęci zabrnęłam w ślepy zaułek. Nie wiem, jak mam swego eks-męża nazwać: jej kochankiem? przyjacielem? kim?

- ... narzeczonego - podpowiada siostra i patrzy na mnie surowo, przygryzając wargę. Wiem, że chciała znaleźć najlepszy odpowiednik tego,

czym Thom dla niej jest, jakby właściwe słowo mogło podziałać niczym wybielacz i usunąć tę hańbiącą nas plamę.

Milczenie, jakie zapada, przeciąga się i staje coraz przykrzejsze. Chciałabym nawiązać do jej ślubu i może nawet obiecać, że przyjdę, ale nie wiem, czy starczy mi odwagi.

Czuję, że ta cisza sprawia ból Stacey, ale dzielnie walczy, by się uśmiechać.

- A przy okazji, czy wówczas, gdy widziałas mamę, wspomniałaś jej coś o mnie i o Thomie? - pyta.

- Chyba nie sądzisz, że akurat to mi było w głowie, gdy prawie umierałam.

- Zawsze byłaś skarżypytą i lubiłaś plotki.

Słowa te bardzo mnie rozśmieszyły, przywołując na pamięć dawne czasy, kiedy raczej rzadko milczyłyśmy. Poczułam, że nagle znowu jesteśmy sześcio- i siedmiolatkami i bijemy się na smrodliwym tylnym siedzeniu maminego volkswagena.

- Tak, masz rację, rzeczywiście powiedziałam o was mamie.

- I co ona na to?

- Kazała mi się obudzić. I to była dobra rada.

Stacey wyciąga ku mnie rękę i odgarnia włosy, które spadają mi na oczy.

- A w tym śnie nie pomyślałaś o tym, by dać mi jeszcze jedną szansę? Bo ja straciłam wiarę, że to zrobisz.

- Wiem - potwierdzam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Pamiętam jednak, co mówiły pielęgniarki. Ich zdaniem Stacey ogromnie się dla mnie poświęcała, i to zwracało powszechną uwagę.

- Bo, widzisz, w szpitalu zjawiłam się natychmiast, gdy tylko o tobie usłyszeliśmy, i niemal wcale z niego nie wychodziłam.

Pomyślałam, że gdyby zaszła taka potrzeba, z pewnością zrobiłabym to samo. Ale mówię tylko:

- Tęskniłam za tobą, Stacey.

- Mnie też ciebie brakowało - wyznaje siostra z niewymuszonym, szczerym uśmiechem.

\* \* \*

Już po pierwszym tygodniu pobytu w domu chce mi się wyć z rozpacz. Codziennie zażywam środki przeciwbólowe, które skutkują przez większą część dnia, no i staram się jak najmniej poruszać, żeby nie cierpieć. Ale nie ból jest najgorszą rzeczą, która mi dokucza: najbardziej nienawidzę nocy.

Leżę w łóżku, wpatruję się w sufit i próbuję sobie wmówić, że las deszczowy to wytwór mojej wyobraźni. Zanim doszło do katastrofy samolotu, czułam się zagubiona i samotna; desperacko wręcz pragnęłam spotkać kogoś, kto mógłby się stać obiektem mego pożądanego i kto również pożałowałby mnie. Przyznaję, że to, iż utraciłam ich oboje: siostrę i męża, całkiem mnie rozstroiło. Bez nich moje życie stało się błędzeniem bez celu. Wymyśliłam więc sobie mężczyznę, który kochałby mnie tak, jak tego pragnęłam, i chłopca, którego mogłabym pokochać.

Kiedy teraz na zimno i w pełnym świetle dnia rozpatruję tę historię, stwierdzam, że ma ona swoje uzasadnienie. Byłam zmęczona gorącą i suchą aurą panującą w Bakersfield, wyobraziłam więc sobie taki magiczny świat, w którym trawa jest zielona, drzewa niebotycznie wysokie, a w powietrzu unoszą się białe, lekkie mgły.

Taki obraz można narysować na papierze, a jeśli spojrzeć nań od strony psychologicznej - to widzi się w nim głęboki sens. W nocy jednak jest inaczej.

W nocy ciemność i samotność wydają się trwać i trwać bez końca. Czytam tylko po to, żeby zabić czas, co zdarza mi się po raz pierwszy w życiu. Ale i tak bohater każdej powieści staje się Danielem, a każda uczuciowa scena doprowadza mnie do łez. Tak samo jest z filmami. Wystarczy, że włączę telewizor, a od razu przypomina mi się *Cud w Nowym Jorku*, że nie wspomnę nagranych na wideo *Kubusia Puchatka*, którego oglądaliśmy z Bobbym piętnaście razy.

Najgorsza jest ciemność i niech mnie Bóg przed nią broni... Ciemność sprawia, że usiłuję wrócić do tamtego magicznego świata. A każda taka próba i następująca po niej klęska zabijają we mnie nadzieję. Nie mogę tego znieść.

Nadszedł czas, żeby albo robić to, co powinnam, albo... do widzenia! Zbyt długo karmiłam się prochami, marząc o jednym miejscu, a przebywając w drugim. Wiem, że muszę w ten las deszczowy uwierzyć i znaleźć go albo wyrzucić z pamięci. Tak właśnie radziłyby mi z pewnością moja pani psychiatra. W realnym świecie nie ma miejsca na fikcyjne wydarzenia, jakie sobie wymyśliłam. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te szczególne momenty, które wryły mi się w pamięć i do których ciągle wracam: na przykład to, że Daniel i ja w tym samym czasie wymówiliśmy słowo „przeznaczenie”, albo widząc spadającą gwiazdę, jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym. Jeśli zaś chodzi o program w telewizji z udziałem Stacey, to nieprawda, że słyszałam o nim w tym czasie, kiedy byłam nieprzytomna. Widziałam go bowiem na własne oczy na ekranie telewizora.

I jeszcze ta lista najważniejszych spraw do załatwienia w ośrodku, którą Bobby sporządził pod moje dyktando. Wszystkie te zdarzenia są na swój sposób realne, a jeśli tak - to znaczy, że ja jednak w tym ośrodku byłam, choćby się to wydawało niemożliwe.

Niezbędne są jednak dowody. Potrzebuję ich i sędzę, że pomoże mi w tym biblioteka, gdzie zdobędę odpowiednie materiały.

Odrzucam kołdrę i, kuśtykając, wychodzę z łóżka. Biorę kule, zapalam wszystkie światła i udaję się do garażu. Znajduję wszystko to, czego szukam: teczki z materiałami prasowymi dotyczącymi najciekawszych miejscowości turystycznych. Wybieram kilka odnoszących się do północno-zachodniego wybrzeża Oceanu Spokojnego, stanu Waszyngton i północnoamerykańskich wiecznie zielonych lasów deszczowych. Przyciskając teczki ramieniem, wracam do domu i zasiadam przy biurku w pokoju gościnnym. Tu światło jest wystarczająco jasne, by rozproszyć wszelkie cienie, i dostatecznie ostre, by dotrzeć do prawdy. Zaczynam pracę od uporządkowania papierów i ułożenia ich według tematów. Potem uruchamiam laptop i szukam informacji w Internecie. Dość szybko ustaliam to, co jest dla mnie najważniejsze: miejsce, gdzie przeżyłam tę moją dziwną przygodę. Wiem tylko tyle, że działo się to w wiecznie zielonym lesie deszczowym w stanie Waszyngton. Według danych statystycznych Google'a Narodowy Rezerwat Leśny w Olympii, w stanie Waszyngton, dorównuje rozmiarem stanowi Massachusetts. A ja usiłuję znaleźć na tej ogromnej przestrzeni jakieś wyimaginowane, leżące nad jeziorem miasteczko, liczące przypuszczalnie mniej niż tysiąc mieszkańców. Nie znam przy tym nazwy ani tego miasta, ani jeziora, nad którym leży, i w dodatku nie mam pojęcia, jak brzmi nazwisko Daniela i Bobby'ego.



Gdybym wierzyła w przeznaczenie, musiałabym uznać, że nigdy nie wrócę w tamte strony. Ale ja uparcie brnę dalej, jakbym czuła, że nie mogę zrezygnować. Sporządzam mapę i podkreślam na niej wszystkie ewentualnie wchodzące w grę miasteczka nad jeziorami. Następnie dzwonię do każdego z nich, prosząc o różne informacje. Okazuje się, że w żadnym nie ma hotelu ani niczego takiego, co przypominałoby nazwą Komfortowy Ośrodek Wędkarski. Nie zrażam się i telefonuję do miejscowych agencji nieruchomości. Dowiaduję się, że w okolicy, która mnie interesuje, zgłoszono do sprzedaży dwa ośrodki wędkarskie. Zdjęcia obu przesłano mi e-mailem, ale żaden obiekt nie był podobny do tego, który mam w pamięci.

Wreszcie, zmęczona po ośmiu godzinach poszukiwań, zamykam laptop i przytulam policzek do jego pokrywy. Siedząc w takiej pozycji, patrzę na ściany pokoju obwieszane mapami, fotografiami i wycinkami prasowymi, co nadaje pomieszczeniu wygląd centrum dowodzenia jakiejś specgrupy. Z żalem myślę, że to wszystko na nic się zdało... Nie wiem, ile czasu w ten sposób spędziłam. W pewnej chwili usłyszałam, że przed dom zajeżdża samochód.

Przez okno zobaczyłam, że to Stacey wprowadza minivana na podjazd. Chwyciłam kule i ruszyłam w stronę drzwi wejściowych. Gdy siostra zapukała, natychmiast jej otworzyłam. Stała w progu, a w rękach, na które włożyła rękawiczki, trzymała ronderek z zapiekanką.

- Zrobiłam ją według przepisu mamy na kurczaka z serem, majonezem i brokułami.

- Chyba nie myślałaś o zapiekance wtedy, gdy lekarze z trudem przywrócili mnie do życia?

- Oczywiście, że nie... - broni się Stacey, blednąc.

- Przecież żartuję... - uspokajam ją. - Danie wygląda wspaniale. Dziękuję! - I uśmiechając się, wracam chwiejnym krokiem do pokoju.

Stacey znika w kuchni, gdzie pewnie wkłada zapiekankę do piekarnika; po chwili przyłącza się do mnie. Wchodząc do pokoju, staje jak wryta. Wędruje spojrzeniem po ścianach, obwieszonych plikami papierów jak kiściami winogron.

- Witaj w krainie obsesji! - wołam, nie próbując się tłumaczyć, bo to nie miałyby sensu. Potem siadam na kanapie, a nogę w gipsie opieram na stoliku do kawy. - Szukam pewnego miasta - wyjaśniam.

- Tego, w którym nigdy nie byłaś?

- Tak, właśnie tego.

Stacey siada w fotelu naprzeciw mnie.

- Martwię się o ciebie - mówi. - Thom uważa...

- Wolałabym, żebyśmy w ten sposób nie rozmawiały - przerywam jej. - To, co Thom uważa, jest teraz tylko twoją sprawą.

- Już prawie tydzień temu wróciłaś do domu i jak dotąd z nikim nie chciałaś się widzieć. A teraz jeszcze to... -I dłonią wskazuje na ściany.

- Przecież Bertie i Rayla kiedyś tu do mnie wpadły...

Stacey rzuca mi przenikliwe spojrzenie.

- Bertie specjalnie do mnie zadzwoniła, żeby się poskarżyć. Podobno powiedziałaś jej, iż jesteś zbyt zmęczona, by się z nią zobaczyć.

- Często mam bóle...

- Czy to prawdziwy powód?

- A kim ty jesteś? Moim stróżem? - Nie mam zamiaru tłumaczyć się z tego, co jest niewytłumaczalne.

- Wciąż chodzi o ten twój sen, prawda? Wzdycham, czując, że moja obrona się załamuje. Decyduję się wyznać jej całą smutną prawdę.

- Nie mogę się tego pozbyć. Wiem, że to idiotyczne, ale mam te obrazy przed oczami i widzę je tak wyraźnie... Pamiętam tamtejsze zapachy i jak się tam człowiek czuje; mam wrażenie, że widzę mgły, które rano podnoszą się z trawy. Zadaję sobie pytanie: skąd mogłabym to wszystko wiedzieć? I myślę, że być może odpowiedź znajdę wtedy, gdy wywołasz mój film. - Przywiązuję do tego dużą wagę i nie tracę nadziei...

Ale już w chwili, gdy wymawiam te słowa, Stacey robi dziwnie skrzywioną minę. Był to tylko jeden krótki moment i ten wyraz zniknął z jej twarzy niemal natychmiast, ale z siostrą znamy się tak dobrze, że bez słów umiemy odgadnąć każdy nasz sekret, nawet najbardziej strzeżony.

- O co chodzi, Stacey?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Coś przede mną ukrywasz. A że ostatnim twoim wielkim sekretem był mój mąż, więc się boję...

Stacey wstaje, odwraca się na pięcie i wychodzi z pokoju. Po minucie wraca i w ręku trzyma kopertę.

- Masz! - mówi. - Zobacz sama!

Biorę od niej kopertę, choć wiem, że gdybym miała obie nogi zdrowe, wówczas wiedziona instynktem wybrałabym ucieczkę.

- Nie spodoba mi się to, co zobaczę. Prawda?

- Masz rację. Nie spodoba ci się... - Głos Stacey brzmi łagodnie, ale to mnie jeszcze bardziej denerwuje.

Otwieram kopertę. W środku są fotografie. Patrzą na siostrę, a ta potrząsa głową.

- Przykro mi - duka.

Koperta wylatuje mi z rąk. Przeglądam zdjęcia w milczeniu, lecz gdy dochodzę do tych kilku, które zrobiłam na lotnisku, wzdycham ciężko. Na jednym widać samolot przed katastrofą i tłumek myśliwych czekających, by wejść na pokład; na drugim - wewnątrz samolotu przed startem. Na innym rozpoznaję Riegerta, który swemu koledze pokazuje dwa podniesione kciuki. A potem nie ma już nic. Żadnej fotografii przedstawiającej ośrodek wędkarski, las deszczowy lub jezioro. Nie ma odbitki z pajęczyną lśniąca kropelkami rosy. Nie ma też zdjęcia z kępą starych drzew i olbrzymich rosnących pod nimi paproci. Jest tylko dwadzieścia dziewięć pustych szarych odbitek.

- A więc nie byłam tam - konstatuje. I wymawiając wolno te słowa, po raz pierwszy czuję, że to prawda.

- Wybacz, Joy, ale twoje prawdziwe życie jest tutaj - usiłuje mnie pocieszyć Stacey. - Tu są ludzie, którzy cię kochają... Rayla twierdzi, że uczniowie codziennie się o ciebie dopytują.

Słyszę, że moja siostra coś mówi, ale jej głos wydaje się zwiewny jak dym i przepływa gdzieś obok mnie. Myślę tylko o jednym: o chłopcu, któremu obiecałam, że spędzę z nim święta Bożego Narodzenia. Serce mi pęka z żalu, że go zawiodłam. Coraz trudniej mi oddychać. Mobilizuję wszystkie siły, aby się opanować i nie rozplakać na widok tych szarych, pustych odbitek. Ale wiem, co powinnam powiedzieć i co chciałaby usłyszeć moja siostra.

- Jestem przekonana - zapewniam ją - że kiedy wrócę do swoich zajęć, wszystko się dobrze ułoży.

- A nie brakuje ci tego?

Sens tych słów z trudem do mnie dociera.

- Niby czego ma mi brakować? - pytam, zamiast odpowiedzieć.

- Biblioteki. Kiedyś kochałaś tę pracę.

Oczywiście Stacey kładzie nacisk na to, że tę pracę kochałam, ale dla mnie istotne jest stwierdzenie, iż to było kiedyś.

- Boję się, że Kocham to, co może wcale nie istnieje.

- Trochę mnie przerażasz...

- Więc bądź po mojej stronie, siostrzyczko!

Zadziwiająco, jak szybko kości się goją! Szkoda, że serce nie ma takich właściwości. Niewielki opatrunek z gipsu, dwa miesiące w łóżku i *voilà!* - złamane serce jest jak nowe. Bardzo bym chciała, żeby tak było naprawdę!

Pod koniec lutego mogę się już dosyć sprawnie poruszać. Bóle głowy minęły, a noga ma się świetnie. Tak w każdym razie uważa batalion lekarzy, którzy się mną opiekują. Wszyscy nalegają, żebym rozważyła powrót do pracy, tymczasem ja mam kłopot z planowaniem przyszłości i uczucie się do tego przyznaję.

Winę przypisuję temu, co się ze mną dzieje w nocy. Kiedy leżę samotnie w łóżku, nie jestem w stanie zebrać myśli ani ich kontrolować. Śnią mi się Daniel i Bobby: wracam do ich domu, do Komfortowego Ośrodka Wędkarskiego. Także za dnia, gdy na dworze jest jasno, zamiast zająć się tym, co powinnam robić, wciąż uciekam myślami na północ i moje pseudowspomnienia z tamtych stron przesłaniają wszystko inne. Co więcej - w żaden sposób nie mogę się ich pozbyć.

Pocieszająca jest opinia psychiatry. Pani doktor, będąca nowym członkiem zespołu, który zajął się ratowaniem mojej osoby po katastrofie,

zapewnia, że to, czego doświadczam, wcale nie należy do rzadkości. Okazuje się, że większość urazów głowy uraża właśnie głowę, jeśli rozumiecie, co mam na myśli...

Przyczyny mego stanu pani psychiatra upatruje w tym, że nie jestem zadowolona z życia i pozwalam, by wypadek, któremu uległam, dokonał we mnie - jak ona to nazywa -paraliżu uczuć. Twierdzi też, że gdy się z tego otrząsnę, przesłaniający wszystko „leśny miraż” przestanie być moim ideałem i w ogóle przestanie mi być potrzebny.

A ja myślę, że pani doktor się myli, bo uczuciowy paraliż zaczął się u mnie jeszcze przed katastrofą. Dobrze znam tę niemoc, która trawi mnie od dawna. Różnica polega na tym, że choć jestem świadoma swoich pragnień, nie potrafię ich, niestety, zaspokoić.

Przed katastrofą chciałam, by Thom do mnie wrócił. Teraz jestem niemal szczęśliwa, że ode mnie odszedł. Martwię się o moją siostrę, bo uważam, że nie jest bezpiecznie kochać mężczyznę, który już jedną żonę zdradził. Ale to jej wybór... Prawdę mówiąc, wierzę, że w głębi serca Thom jest dobrym człowiekiem. Pozostaje mi więc mieć nadzieję, że będzie też dobrym mężem dla mojej siostry.

Pograżyłam się w myślach i dzwonek u drzwi nieco mnie zaskoczył. Spojrzałam na zegarek. Była dwunasta piętnaście. Punktualna jak zwykle Stacey przyniosła mi obiad dokładnie o umówionej godzinie.

- Wejdz, proszę! - mówię, wstając, i sięgam po kule. Stacey wchodzi z całym naręczem czasopism i płyt wideo.

Te dary są jakby daniną, którą moja siostra składa, by zapanował między nami pokój. Świadczy o tym sposób, w jaki zbiera te rzeczy dla

mnie, a także to, co mówi. Zapewnia, iż nie sądzi, bym miała źle w głowie, chociaż jestem pewna, że tak właśnie o mnie myśli.

- Przyniosłam ci najnowsze numery magazynu „Sunset”. W dwóch znajdziesz artykuły o tym, jak powstały lasy deszczowe. Poza tym są tu cztery lokalne gazety niedzielne i dwa filmy wideo nakręcone w okolicy, gdzie się te lasy spotyka. Jeden to *Harry and the Hendersons* poświęcony Sasquatchowi, a drugi ma tytuł *Podwójne zagrożenie*.

Obie wiemy, jak wiele dla mnie znaczą te w rzeczywistości bezsensowne i głupie podarunki. Wiemy także, że nic dobrego z tego nie wyjdzie, bo przecież nie zastąpię moich wyobrażeń najbardziej nawet autentycznymi obrazami. Niemniej pokój na parterze jest obwieszony mapami i fotografiami. Spod tych papierów nie widać już ani kawałka ściany pomalowanej na bladożółty kolor.

Odebrałam od Stacey naręczę tych materiałów; postanowiłam je dokładnie przejrzeć i każdy artykuł przeczytać. Ale nawet jeśli to, co w nich znajdę, pomoże mi stworzyć sobie obraz, który potrąci jakąś strunę w mojej pamięci, na pewno nie zdoła przywołać całej prawdy.

W tym czasie, gdy Stacey układała prowianty w kuchni, usiadłam na kanapie w pokoju dziennym, zaczęłam przeglądać czasopisma przyniesione przez siostrę. W najnowszym numerze magazynu „Sunset” znalazłam zdjęcie lasu deszczowego Hoh i znowu obudziła się we mnie tęsknota za owym wymarzonym miejscem, które nie istnieje.

- Joy?

Patrzę na Stacey, która stoi przede mną z tacą pełną sandwiczów, i po wyrazie jej twarzy uświadamiam sobie, że płaczę.

- Może nie powinnam ci przynosić tych gazet?

- Są mi potrzebne - odpowiadam tonem, w którym słychać panikę. Stacey czuje podobnie.

- Musisz wrócić do realnego świata - mówi, stawiając tacę na stoliku. Jej głos brzmi jednak niepewnie. Wiem, że już dawno chciała mi to powiedzieć, ale się bała. Jeszcze ciągle nie jesteśmy tak bliskie sobie jak przed laty, kiedy to z wszystkiego mogliśmy się wzajemnie zwierzyć. Stacey bierze do ręki sandwicza, kładzie go na serwetkę i siada naprzeciw mnie.

- Realny świat? - powtarzam cicho jej słowa.

Odłożywszy na bok czasopismo, dźwigam się i niezdarnie ruszam w kierunku okna. Tam, opierając się na zdrowej nodze, przystaję i przyglądam się domom po przeciwnej stronie ulicy. Zimą trawniki są martwe i brązowe, podobnie zresztą jak drzewa. Od miesięcy nie widziałam nigdzie liścia, nawet na ziemi. Wszystko tu wydaje się szare lub brązowe, a w bladym słonecznym świetle wrażenie apatii jeszcze się pogłębia.

- Wiesz - mówię, nie zwracając się do Stacey - minionej nocy śniło mi się, że na dobre tu utknęłam. Tak, tu właśnie utknęłam i patrzyłam, jak moje życie bezpowrotnie przemija. We śnie widziałam także twój dom. Był rozświetlony, a na podwórku bawiły się dzieci - wśród nich spokojna, poważna dziewczynka, która cierpliwie czekała na swoją kolej. Nazwałaś ją Joy. A ja tkwiłam tu bez żadnej szansy na zmianę; zmarszczyłam się jak zwiędłe jabłuszko, posiwiałam, cierpiałam niedostatek. - Głęboko wciągam powietrze i odwracam się, by stanąć z siostrą twarzą w twarz. Jest coś, co muszę jej powiedzieć, coś, co powinnam już dawno z siebie wyrzucić. - Nie byłaś jedynym powodem mojego wyjazdu. Nie tylko przez ciebie wsiadłam na pokład samolotu. Byłaś jednym z ważniejszych powodów, ale nie



jedynym... Zrobiłam to dlatego, że miałam po prostu dość siebie takiej, jaką się stałam.

Stacey nie zareagowała na te słowa i wcale jej się nie dziwię. Nie wie, co ma mówić, a nie chce powiedzieć czegoś niewłaściwego. Nasze wzajemne stosunki są arcydelikatne. Obie musimy postępować bardzo ostrożnie.

- Nie potrafisz tego zrozumieć - oznajmiam, myśląc: No bo jakżeby mogła... ? Przecież Stacey nigdy nie pozwalała, żeby ją coś ominęło; i nigdy nie ograniczała się do roli widza.

- Chyba żartujesz! - Siostra patrzy na mnie, jakbym była jakimś rzadkim eksponatem w szklanej gablocie. - Sądziś, że nie wiem, jak to jest, gdy się pragnie czegoś więcej, niż się ma?

- A skąd miałabyś to wiedzieć, skoro byłaś cheerleaderką i zawsze królowałaś na szkolnych imprezach? A teraz także górujesz, bo jesteś w ciąży i w dodatku zakochana...

- Owszem, byłam cheerleaderką, ale to mi się przydarzyło szesnaście lat temu, Joy! A potem, gdy ty wyjechałaś na studia, ja zostałam w Bakersfield i poszłam do pracy bez żadnych perspektyw...

- Ale spotkałaś Chrisa...

- To prawda, tylko że on nie dość, że złamał mi serce, ale jeszcze je stratował... Nie pamiętasz? - pyta, wzdychając. - Kiedy przyglądałam się tobie i twojemu życiu, czułam się przegrana. Po ukończeniu college'u przyjechałaś do domu z Thomem i miałaś wspaniały ślub, a potem dostałaś świetną posadę w liceum. Odnosiłaś same sukcesy. Nie mogłam znieść tego, że zawsze byłam w cieniu.

- I dlatego postanowiłaś stąd wyjechać?

- Tak. Myślałam, że lepiej mi się będzie żyło w dużym mieście, ale w Sacramento poczułam się jeszcze bardziej zagubiona. Wróciłam tu, do Bakersfield. Dzięki korzystnemu orzeczeniu rozwodu mogłam sobie kupić dom, ale przyzwoitej pracy w dalszym ciągu nie udawało mi się dostać. Czy wiesz, jak ciężko jest żyć kobiecie, która skończyła dwadzieścia osiem lat, nie ma męża i brak jej porządnego wykształcenia? A tymczasem jej siostra to wszystko ma!

- Powinnaś przyjść z tym do mnie.

- Próbowałam...

Miałam ochotę jej powiedzieć, że to nieprawda, tylko że ten etap w naszym życiu, kiedy się wzajemnie okłamywałyśmy, mamy już za sobą. Przynajmniej taką korzyść przyniosły wydarzenia minionego roku. Wyglądam przez okno: lepsze to niż patrzeć na nią.

- Wiem, że próbowałaś - przyznaję - ale trudno mnie było wtedy zastać w domu. Nie mogliśmy ze sobą wytrzymać: Thom i ja. Walczyliśmy jak wariaci.

- Tak. Miałam okazję się o tym przekonać. Przyszłam do was któregoś dnia, żeby z tobą porozmawiać, i w domu zastałam tylko Thoma.

A więc tak to się zaczęło? - myślę. Zawsze mnie to ciekawiło, ale nigdy bym jej o to nie spytała. Wystarczyła mi ta mała wzmianka, żeby całą resztę sobie dopowiedzieć. Zatem początkowo moja siostra i mój mąż byli tylko przyjaciółmi, którzy lubili wspólnie utyskiwać na życie i ubolewać, że ich rozczarowało. Potem zaczęli uważać się na mnie, a w końcu postanowili się wzajemnie pocieszyć.

- Dużo czasu minęło, zanim Thom mi wyznał, jak bardzo jest nieszczęśliwy, ale kiedy to uczynił...

- Rozumiem - rzucam krótko i podnoszę dłoń, by powstrzymać ją od dalszych wywodów.

- Wierz mi, Joy, wiem, jak to jest być zagubioną - mówi Stacey, nie kontynuując poprzedniego wątku. - Czy możesz sobie wyobrazić, jak się czułam, wiedząc, że krzywdzę kogoś, kogo kocham najbardziej w świecie? Jak to jest złamać siostrze serce i mieć świadomość, że nigdy nie zdołam jej za to przeprosić?

Przyglądam się jej i widzę przed sobą kobietę, której przedtem nie znałam, kobietę, która przeszła ciężkie chwile i być może nadal je przeżywa, cierpiąc z powodu złego wyboru. Zdaje sobie sprawę z tego, że wiednie. Być może rozumie to każda kobieta w pewnym wieku, zwłaszcza gdy mieszka w takim małym, spokojnym miasteczku jak nasze, gdzie słońce nieraz bardzo mocno grzeje.

Jakże inaczej jest w deszczowym lesie... W tamtym wilgotnym, zielonym i niebieskim świecie kobiecości nigdy się nie traci.

Odsuwam od siebie myśl o tamtych stronach. Nic dobrego nie może z tych wspomnień wynikać. Wracam do Stacey, bo teraz tylko my się liczymy. Nawet jeśli to, kogo spotkałam lub gdzie przebywałam, należy traktować jako zdarzenie nierzeczywiste, doprowadziło mnie ono jednak do pojednania się z siostrą. Dało temu początek.

- Powiedz mi, Stacey - mówię miękkiem głosem - jak przebiega twoja ciąża.

Moje pytanie ją zaskoczyło. Lekko wciąga powietrze i widzę, że walczy o uśmiech. A ja się zastanawiam, jak długo siostra musiała czekać, żebym ją o to spytała.

- Lekarze mówią, że ciąża rozwija się normalnie. Czuję się dobrze.

- Wiesz już, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka?

- Zdaniem lekarzy - dziewczynka.

A więc będę miała siostrzenicę, kogoś, komu można kupować różne ciuszki, stroić jak małą laleczkę i... kochać.

- Nasza mama szalałaby z radości.

- Myślmy dać jej na imię Elizabeth Sharon. To mnie zabolalo.

- No, tak... Mamie byłoby przyjemnie.

Znów zapadło milczenie. Chciałabym powiedzieć jej coś więcej, zrobić jakąś miłą, niewinną uwagę o tym dziecku, ale nie mogę wydusić z siebie słowa. Z egoistycznych pobudek jestem zdolna myśleć tylko o własnym cierpieniu. Biorę głęboki oddech i próbuję skupić się na czymś innym, kosztuje mnie to jednak zbyt wiele trudu. Wciąż pamiętam, co mi się śniło ubiegłej nocy: że utknęłam w tym miasteczku na dobre; ot, starzejąca się ciotka, która patrzy, jak życie przechodzi obok niej.

- Czy masz poczucie straty? - pyta Stacey, przerywając milczenie.

Patrzę na nią i zastanawiam się, czy rzeczywiście można stracić coś, czego się nigdy nie miało.

- Boję się, Stacey! To jest tak, jakby... Po prostu nie wiem, czego się trzymać. Chwilami zdaje mi się, że wariuję...

Siostra przygląda mi się, marszcząc brwi. I kiedy oczekuję, że powie mi coś pocieszającego, wychodzi z pokoju. Słyszę, że w kuchni rozmawia z kimś przez telefon, po czym wraca i oznajmia:

- Chodź! Zabieram cię stąd.

- Dokąd?

- Nieważne! Grunt, że wychodzimy z domu. Weź torebkę! Mówiąc szczerze, jestem jej wdzięczna, że pomyślała o jakimś urozmaiceniu, i potulnie idę za nią do samochodu.

Piętnaście minut później dojeżdżamy na miejsce. Gmach liceum tonie w cytrynowym blasku słońca. Liliowe krokusy pokryły wysuszoną ziemię wokół masztu z flagą, przypominając, że nadchodzi wiosna.

- Dobrze się czujesz? - upewnia się Stacey.

Zaczynam nienawidzić tego pytania. Aby na nie odpowiedzieć, trzeba albo skłamać, albo wyznać prawdę, której nikt, łącznie ze mną, nie ma ochoty słuchać.

- Po co tu przyjechałyśmy?

- Żeby ci przypomnieć o miejscu, do którego należysz.

- Czyżby?

Stacey bąka coś, czego dokładnie nie słyszę, po czym wysiada z samochodu i zatrzaskuje drzwi.

Ja też wychodzę i staję na chodniku, podpierając się kulami. Zaciskam dłonie na ich uchwytych, a potem robię krok do przodu, podciągam drugą nogę i stawiam następny krok. W ten sposób przemierzam rozległy szkolny dziedziniec, pokryty cementową nawierzchnią, kierując się w stronę budynku administracji.

Po drodze mijamy plac zabaw, na którym jest zaskakująco cicho. Nie widać uczniów, którzy zwykle przy słonecznej pogodzie wymykają się z lekcji, by pograć w piłkę albo gdzieś na uboczu całować się lub palić papierosy.

Stacey idzie przodem i otwiera drzwi. Uderza mnie znajomy widok - na wiszących w korytarzu tablicach te same od lat ogłoszenia: poszukuje się

opiekunów dla uczniów, śpiewaków solistów do wiosennego musicalu i chętnych do dekoracji sali na zbliżający się bal.

Mijam główne wejście, kiedy słyszę dzwonek. W ciągu sekundy plac zabaw zapełnia się śmiejącymi się i rozgadanyimi uczniami. Na mój widok od razu podnosi się wrzawa. Rozpoznali mnie i witają jak jakąś gwiazdę, jak Micka Jaggera, gdy wychodzi na scenę. Wszyscy naraz coś do mnie mówią i otaczają ciasnym kręgiem. A Stacey ściska mi ramię i szepcze do ucha:

- Tu jest twoje miejsce! To jest twoje życie, Joy!

Przez dziesięć minut - bo tyle trwa przerwa - przedzieram się przez tłum dzieciaków, żeby dostać się do kancelarii, a tam znowu robi się wokół mnie tłok. W końcu, po uściśnięciu co najmniej stu osób i radośnie witana przez więcej niż drugie tyle, razem ze Stacey docieram przez hol do biblioteki.

Kiedy się borykam z kulami przy strzegącej wejścia obrotowej bramce, słyszę gardłowy śmiech Rayli i jej słowa, wypowiedziane ochryplym głosem palaczki, która, jak się sama przyznaje - gustuje w camelach bez filtra:

- Dobrze, bo to już, cholera, najwyższy czas! Przeciskam się przez lśniącą metalową barierkę i widzę,

że Rayla stoi przy biurku, przy którym wydajemy książki, a przed nią niebotyczny stos woluminów.

- To za ciężka praca dla jednej kobiety - skarży się i szczyrzy zęby w uśmiechu.

Ja też się śmieję, bo obie dobrze wiemy, że każda z nas bez trudu może sama wykonać tę pracę. Utrzymujemy to jednak w tajemnicy przed dyrekcją.

- Nie przesadzaj, Raylo, przecież wiem, jak bardzo lubisz komenderować dziećmi, kiedy mnie nie ma.

Po chwili moja asystentka obchodzi biurko, jej spódnica przy tym faluje i dzwonią srebrne bransolety, po czym obejmuje mnie mocno i serdecznie. Pachnie lakierem do włosów oraz perfumami Tabu.

- Brakowało nam ciebie, kochanie - wyznaje. Odstępuję o krok i patrzę na nią.

- Mnie ciebie też brakowało - mówię. I to jest prawda. Przez następne pół godziny obchodzimy sale biblioteczne

i omawiamy nasze codzienne, zawodowe sprawy; dowiaduję się, że są cięcia budżetowe, że negocjujemy nowe kontrakty, że zakupiliśmy książki i że w czasie wiosennych ferii Rayla wybiera się na wycieczkę do Reno. Wreszcie koleżanka zadaje mi pytanie:

- Powiedz, Joy, kiedy możemy oczekiwać twego powrotu do pracy?

Tego właśnie się bałam. Powrót już z samej definicji oznacza ponowne znalezienie się w sytuacji i w miejscu, w których się przedtem było.

Wiem, że jest tylko jedna odpowiedź możliwa do zaakceptowania - tylko jedna rozsądna.

Stacey bacznie mi się przygląda, podobnie zresztą jak Rayla. Obie wiedzą, co o tym sądzić. Może nie znają wszystkich powodów mego zaniepokojenia i rozczarowania, ale wiedzą wystarczająco dużo.

- Już niedługo! - rzucam krótko i zdobywam się na uśmiech.

W drodze do domu obie z siostrą milczymy. Czuję się jak Dorota w krainie Oz po powrocie do Kansas: zwyczajna dziewczyna w zwyczajnym świecie, ale wspomnienia ma kolorowe.

Obok mnie Stacey nuci jakąś piosenkę śpiewaną w radiu przez jednego z drugoplanowych amerykańskich idoli. Potem nadają *Urodzeni, żeby biec* w wykonaniu Bruce'a Springsteena.

Odzywają wspomnienia. Zamykam oczy i rozpamiętuję.

*Jadę czerwoną furgonetką podskakującą na wiejskiej drodze i śpiewam przy akompaniamencie muzyki z radia. Obok mnie Bobby; słyszę jego śmiech.*

Dłużej tego nie zniosę: otwieram oczy i widzę znak drogowy sygnalizujący wjazd na lotnisko. To nie może być przypadek, bo Stacey nigdy nie wraca tędy do domu. I myślę: Dorota w krainie Oz musiała trzy razy stuknąć się piętami i powiedzieć: „Nigdzie nie jest tak dobrze jak w domu”. Widocznie magia zawsze od nas czegoś wymaga. Może więc i ja nie powinnam już czekać na dowód istnienia tego miejsca, tylko sama wybrać się na poszukiwanie miejscowości o nazwie Hope, tak jak to zrobiłam uprzednio. A Hope znaczy: nadzieja!

- Skreć tu, Stacey! - proszę.

- Daj spokój, Joy! Nigdy tam nie byłaś. - Wiem, że mówi to wbrew sobie, że niechętnie używa takiej perswazji w stosunku do mnie; poznaję to po jej głosie. - Widziałaś, gdzie jest twoje prawdziwe życie, gdy odwiedzałyśmy liceum... - dodaje.

- Ale skreć, bardzo cię proszę, Stacey!

Wzdycha i zawozi mnie na lotnisko: zatrzymuje się przed kasą biletową America West.

- To czyste wariactwo... - mruczy.

- Wiem. - Z tylnego siedzenia zabieram torebkę i kuśtykając, idę w stronę terminalu. Na stoisku zastaję piękną, ciemnowłosą kobietę w



niebiesko-białym uniformie. Z jej identyfikatora dowiaduję się, że nazywa się Donna Farnham.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta.

- Chciałabym kupić bilet do Seattle na najbliższy lot.

Urzędniczka patrzy na ekran komputera, naciska jakieś klawisze i informuje:

- Najbliższy lot jest za czterdzieści minut. Następny jutro po południu o tej samej godzinie.

Sięgam do torebki po portfel. W końcu po co ma się kartę kredytową, jeśli nie na niepotrzebne wydatki?

- Poproszę o bilet na dziś.

- Zostały nam tylko pierwszej klasy.

- Dobrze, biore... -I nawet nie pytam, ile kosztują. Zanim przeszłam przez odprawę bagażu i doszłam do wyjścia na lotnisko, poczułam, że ręce mi się pocią, a serce bije coraz szybciej. Próbuję myśleć o Danielu i Bobbym i chcę wierzyć, że znów zadziała magia. „Jestem Dorota. Nigdzie nie jest tak dobrze jak w domu” - powtarzam sobie w duchu. Ale moja pewność siebie szybko topnieje. Chyba te ostro świecące jarzeniówki nad głową tak destrukcyjnie... wpływają. W takim świetle wszystko bardzo jasno widać.

Zapowiadają mój lot, więc wysuwam się do przodu. I nagle widzę samolot, a wraz z nim powracają obrazy z przeszłości i atakują mnie tak mocno, że się słaniam. Zamykam oczy, próbuję głęboko oddychać, ale to nie pomaga.

Pograżona w ciemności, zdaję się znów być w tamtym samolocie, który spada i roztrzaskuje się. Otaczają mnie płomienie... czuję przykrą woń

paliwa... słyszę krzyki. Lecę w dół, koziółkuję i w coś uderzam... wynoszą mnie z wraku. Wszystko to widzę: swoją twarz we krwi; ramię zwisające z noszy, kość, która sterczy i wystaje z podartych, zakrwawionych dżinsów. Po chwili dochodzi do mnie odgłos eksplodującego samolotu...

Drżenie zaczyna się od palców, ale promieniuje w górę, tak że z trudem mogę utrzymać w rękach kule. Dłonie mam śliskie od potu. Nie mogę przełknąć śliny. Spływające łzy zamazują mi wzrok. Jacyś ludzie pytają, czy dobrze się czuję. Potakuję i odwracam się od nich. Chcę biec, ale nie mogę. Jestem nie tylko rozbita fizycznie, ale kompletnie załamana duchowo. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko powoli, utykając, opuścić Hope, moją nadzieję... Gdyby było trzeba, gotowa byłabym się czołgać.

Wreszcie wychodzę z terminalu, wkraczam w jasny, słoneczny dzień i widzę moją siostrę stojącą przed samochodem, przy drzwiach dla pasażera. Podchodzę do niej i trzymając w ręce bilet na samolot, mówię:

- A jednak pamiętam...

Stacey otacza mnie ramieniem, przytula i pozwala mi się wypłakać.

## 12

Przez następne trzy noce na nowo przeżywam katastrofę i leżąc w ciemności w pokoju gościnnym, budzę się z krzykiem, zrana potem. Nie mam żadnych wspomnień związanych z momentem, kiedy po katastrofie opuściłam wycinkę w lesie, ani z tym, kiedy spotkałam mamę, która mi mówiła, że mam się obudzić, ani też z tym, kiedy Bobby zaprowadził mnie do pokoju w ośrodku.

Dopiero czwartej nocy dotarło do mnie, że jeśli nawet nie należę do najinteligentniejszych osób, to potrafię zrozumieć, jakie przesłanie dyktuje mi moja własna podświadomość. A ono brzmi: „Zostałaś w samolocie! Nigdzie stamtąd nie odeszłaś”.

Byłam jak antropolog, który, szukając dowodów istnienia zaginionej cywilizacji, działa na oślep, bez rozeznania. Wprawdzie mapy, fotografie i rysunki nadal zdobią ściany mego domu, ale widzę wreszcie światło w tunelu. Wiem, że to ja jestem tą zaginioną pasażerką i najwyższy czas, abym dała sobie spokój z mrzonkami.

Przesłanie, jakie płynie z nocnych koszmarów, jest więc następujące: Albo mam dać sobie z tym spokój i wziąć się do normalnej pracy, albo nadal upierać się przy swojej fantazji i przegrać. Okazało się, że rozum nauczył mnie tego, czego nie potrafił nauczyć zespół psychiatrów. Zbyt długo lokowałam swoje uczucia poza własnym ciałem, poza stanem Kalifornia i jakimikolwiek znamionami rzeczywistości.

Następnego ranka zbudziłam się z przeświadczeniem, że choć mnie owe nocne koszmary okaleczyły, już wiem, co mam robić. Wstałam z łóżka,

zataczając się nieco, zaparzyłam duży dzbanek kawy i postanowiłam działać.

Centymetr po centymetrze oczyściłam ściany. Zaczęłam od usunięcia zdjęcia Komfortowego Ośrodka Wędkarskiego i mapy półwyspu Olympia. W pewnym momencie usłyszałam dzwonek u drzwi. Przystanąłam i z odległości spojrzałam na pracę, jaką do tej pory wykonałam. Stwierdziłam, że wschodnia ściana pokoju pokryta jest dziurkami po pinezkach. Niewielkie wolne od nich przestrzenie to te, na których przedtem coś tu wisiało.

Gdy dzwonek u drzwi odezwał się po raz drugi, chwyciłam kule i pospieszyłam otworzyć. Weszła Stacey i skrzywiła się na mój widok:

- Wyglądasz jak półtora nieszczęścia - stwierdziła. To mnie zabolalo.

- A ty za to jesteś gruba jak beczka... - Odwróciłam się i opierając na lewej kuli, weszłam do pokoju gościnnego.

Chociaż dywan głuszy kroki siostry, wiem, że idzie za mną. Podchodzę do ściany i zdzieram zdjęcie góry Olympus.

- Widzę, że pozbywasz się wszystkich nagromadzonych tu materiałów.

- Przecież tego chciałaś!

- Joy!

Słyszę w głosie Stacey coś, co mnie porusza, zdobywam się więc na szczere wyznanie:

- Tracę nad sobą panowanie.

Siostra siada na łóżku i zapraszająco poklepuje miejsce obok siebie, a ja je zajmuję.

- Co się dzieje? - pyta.

- Nie mogę spać. Mam koszmary.

- Śni ci się katastrofa?

- Tak. Moja pani psychiatra uważa, że sama jestem temu winna, ponieważ spowodowała to wizyta na lotnisku.

- A co z Danielem i z tym chłopcem?

Po tonie, jakim Stacey pyta, poznaję, że się waha, czy powinna wspomnieć o tym, co wydaje się oczywiste. I ja to doceniam. Sądzę, że wkrótce nadejdzie czas, gdy nie zechcę słyszeć ich imion.

- Daniel i Bobby już mi się nie śnią, i to od czasu odwiedzin w liceum. A kiedy o nich myślę, ich obraz jawi mi się jakby zamazany.

- O czym to, twoim zdaniem, świadczy? Czy o tym, że wracasz do zdrowia?

Chwilę wpatruję się w swoje dłonie. Długo się nad tym zastanawiałam. Kobieta, która cierpi na bezsenność, ma sporo czasu na rozmyślanie.

- Sądzę... - zaczynam i przerywam. Nie potrafię powiedzieć tego na głos.

Stacey kładzie swoją rękę na mojej i jej dotyk mnie uspokaja. Patrząc na nią przez łzy, których pełne są teraz moje oczy, i zamiast jej twarzy widzę obraz Moneta. I dobrze się stało, bo wolę nie przedłużać tego momentu. Chcę się jej zwierzyć z tego, co czułam i czuję.

- Kiedy po raz pierwszy zbudziłam się po narkozie, byłam pewna, że to wszystko: Daniel, Bobby, Komfortowy Ośrodek i las deszczowy, istniało naprawdę. A potem poznałam fakty i zrozumiałam, że to, co uważałam za prawdę, nią nie było. Mimo to nadal w to wierzyłam. Nie wiedziałam, co mam robić, by przestać wierzyć. Tak bardzo pragnęłam wszystkiego tego, co się łączyło z ośrodkiem. Tam czułam się spełniona, potrzebna i chciana, a

tu... ? - Wzruszam ramionami. - Cały czas myślałam tylko o tym, co zrobić, by móc wrócić do nich: do Daniela i Bobby'ego.

- A teraz? - pyta Stacey.

Biorę głęboki oddech i powoli wypuszczam powietrze.

- Wszystko sprawdziłam: dzwoniłam na informację i przeczytałam dokładnie to, co napisano o każdym mieście znajdującym się w pobliżu lub na terenie lasu deszczowego na półwyspie Olympia. I co się okazało? Miasto, w którym rzekomo byłam, nie istnieje. Nie istnieje też żaden taki ośrodek wędkarski. A zatem Daniel i Bobby również są postaciami wyimaginowanymi, a to, co rzekomo przeżyłam, było jedynie moją osobliwą reakcją na ból i potworności katastrofy, w której uczestniczyłam.

- To, co mówisz, brzmi tak, jakbym słyszała twoją panią psychiatrę.

- Nic dziwnego, bo skoro płacę jej dwieście dolarów za godzinę, to uważnie słucham, co do mnie mówi... - zażartowałam, ale dowcip wypadł dość blado.

- Wywód jest raczej logiczny, ale chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o twoich uczuciach.

- Nie mogę dłużej się zajmować swoimi uczuciami. To mnie zabija... Jestem za stara, żeby wierzyć w magię, w przeznaczenie albo w los.

- A więc tęsknota za ośrodkiem, Danielem i Bobbym była skutkiem prochów, którymi cię karmiono, lub - mówiąc inaczej - zaistniała w twojej podświadomości.

Trochę mnie jej słowa wzburzyły, bo to nie całkiem tak. Uważam jednak, że trzeba sprawę wyjaśnić do końca, inaczej nigdy się od niej nie uwolnię.

- Wydaje mi się, że Daniel i Bobby byli... swoistą metaforą.

- Nie rozumiem tego, wytłumacz jaśniej. Chyba zapomniałaś, że wylano mnie ze szkoły, i to szkoły o profilu technicznym.

- Oni obaj uosabiają miłość, która może gdzieś na mnie czeka, ale by ją spotkać, muszę zmienić swoje życie. - Wciągam głęboko powietrze i dodaję: - Prawda jest taka, Stacey, że jestem zmęczona moim życiem. Mam już dość samotności; pragnę miłości, marzę o tym, żeby dać się porwać namiętności, i chcę mieć dzieci.

- Mogę to zrozumieć - mówi Stacey po dłuższym milczeniu.

- Wiem, że możesz.

- I zasługujesz na to - zapewnia mnie siostra cichym głosem.

Wodzę wzrokiem po ścianach pokoju, przyglądam się dziurkom po pinezkach między nielicznymi już wycinkami, które jakoś się ostały po wielkim czyszczeniu, i myślę: Wkrótce pokój wróci do normy, znikną dowody świadczące o mojej nieprawdopodobnej podróży... i o czym będę wtedy marzyć?

- Jeśli nie chcesz się spóźnić, musimy już wyjść - przypomina Stacey i prowadzi mnie do minivana. Podczas długiej podróży do lekarza, z którym jestem umówiona, rozmawiamy z siostrą o różnych błahych sprawach. Doktor John Turner, ortopeda, który się mną zajmował, zdjął mi gips z nogi, zrobił zdjęcie rentgenowskie i oświadczył, że jestem wyleczona. To wszystko razem zajęło mu mniej niż godzinę.

- Złamanie pięknie się zrosło - orzekł - tak jak się tego spodziewaliśmy. A Mark też jest zadowolony z wyników fizjoterapii.

- Tak... rzeczywiście... - przyznaję.

- Ile jeszcze zabiegów leczniczych czeka moją siostrę? - interesuje się Stacey.

- Nie wiem - odpowiada lekarz. - Będziemy oceniać sytuację dzień po dniu... A jak bóle głowy? - zwraca się do mnie.

- Jest lepiej - mówię. I to prawda, bo zauważyłam, że objawy urazu kręgosłupa szyjnego powoli ustępują.

Wizyta ma się ku końcowi i już zbieramy się do wyjścia, gdy słyszymy pukanie do drzwi. Do gabinetu wchodzi młoda kobieta z dużą plastikową torbą.

- O co chodzi, Carol? - pyta lekarz.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie doktorze, ale przyniosłam ubranie pani Candellaro: to, które miała na sobie w czasie katastrofy i sanitariusze musieli je potem z niej ściągać. Wyrzuciliby je do śmieci, gdyby nie to, że w kieszeniach są pewne przedmioty osobiste.

Poczułam się dotknięta tą wypowiedzią i nie wiem, czy bardziej zabolalo mnie określenie, że „sanitariusze musieli ze mnie odzież ściągać”, czy samo przypomnienie katastrofy. W każdym razie po tym, co usłyszałam, nie mogłam się zdobyć na żaden uśmiech czy ruch.

Stacey wzięła od tej kobiety torbę z moimi rzeczami i podziękowała.

Potem, kiedy przemierzałam parking w stronę samochodu, wciąż się czułam nieswojo. Podpierałam się laską, chociaż, prawdę mówiąc, robiłam to raczej dla poprawienia sobie nastroju, bo miałam dziwne wrażenie, iż z tą nogą nie jest dobrze mimo zapewnień doktora, że złamana kość się zrosła i jest mocna.

W drodze do domu przez cały czas wpatruję się w torbę z moim ubraniem.

- Dobrze się czujesz? - pyta Stacey, kiedy po wjechaniu na podjazd zaparkowała samochód.



- Myślę, że wkrótce tak się stanie... - odpowiadam, biorąc torbę.  
- Jeśli chcesz, to ją wezmę i gdzieś się jej pozbędę.  
- Jeszcze nie wiem. - Nie potrafię powiedzieć, że nie jestem gotowa pozbyć się tej torby. Więc nic nie mówię, tylko się uśmiecham, potakuję i wysiadam z samochodu.

Gdy ciężko opierając się na lasce, ruszam do drzwi wejściowych, słyszę, że Stacey odjeżdża.

Po wejściu do domu od razu doznaję uczucia, że jest zbyt cicho. Zapomniałam zostawić włączone radio. Szybko więc podchodzę do aparatu i wciskam odpowiedni przełącznik. Bruce Springsteen śpiewa *Urodzeni, żeby biec*. Zmieniam stację i trafiam na ładną, kojącą balladę Eltona Johna.

Postanawiam skończyć z marzeniami i snami. Rzucam torbę z rzeczami na biurko i wracam do zrywania ze ścian zdjęć i wycinków prasowych. Wkrótce moje bladożółte ściany, całe w małych, szarych dziurkach, wyglądają jak pustynia. Wszystkie zerwane papiery zbieram, pakuję do toreb i wrzucam do kosza na śmieci w garażu.

Przez cały następny tydzień bilet lotniczy do Seattle i biała torba z moją zniszczoną odzieżą leżą tam, gdzie je położyłam: na toalecie. Choć wiążą się z wieloma wspomnieniami, za każdym razem, gdy przechodzę obok, patrzę na nie, ale ich nie dotykam.

Dopóki obraz Daniela i Bobby'ego całkiem się w mojej pamięci nie zatrze, nie będę na bilet i torbę zwracała najmniejszej uwagi. Zacznę się tymi rzeczami interesować dopiero wtedy, gdy wszelkie związane z nimi emocje kompletnie się wyciszą. Kiedy z upływem czasu i bilet, i torba przestaną na mnie działać, wówczas pewnego dnia wymienię za niewielką

opłatą stary bilet pierwszej klasy na nowy i polecę w innym kierunku: na Florydę lub na Hawaje.

Na pewno nie patrzyłam na torbę w chwili, gdy zadzwonił telefon; odwróciłam się nawet plecami do toaletki.

- Halo? - odezwałam się.

- Pani Candellaro?

Skrzywiłam się, słysząc swoje nazwisko i wszystko, co się z nim łączy. Pomyślałam, że powinnam wrócić do swego panińskiego nazwiska, i obiecałam sobie, iż zajmę się tym w lecie.

- Tak! - odpowiadam.

- Mówi Ann Morford z Agencji Nieruchomości. Jak się pani czuje?

- Dziękuję, dobrze. Czy pani dzwoni w sprawie odnowienia oferty?

- Nie, mam dla pani dobrą wiadomość: jest kupiec na pani dom, gotów dać dwieście dziewięćdziesiąt dwa tysiące pięćset dolarów. Przypuszczam, że dzięki temu, iż szczęśliwie przeżyła pani katastrofę, pech, jaki z tym domem łączono, stracił już aktualność.

- To świetnie - mówię i zachwycona siadam na łóżku.

- A może chciałaby pani zaproponować wyższą cenę? Możemy spróbować, bo kto wie, czy jakiś klient nie zapłaciłby więcej.

Zdecydowałam się w czasie krótszym niż dziesięć sekund. Pomyślałam, że wcale nie jest pewne, czy trafiłaby się druga taka okazja. Wolę nie ryzykować.

- Nie, proszę pani! Zgadzam się na tę sumę.

Jeszcze parę minut rozmawialiśmy i omawialiśmy takie szczegóły, jak wysokość zadatku, data finalizacji umowy i tym podobne sprawy. Poinformowałam też agentkę, że jeśli klient sobie tego życzy, mogę już w

piątek opróżnić dom. Jestem przekonana, że takie rozwiązanie jest całkiem realne. W momencie, gdy sobie uświadomiłam, że będę mogła stąd wyjechać, desperacko zapragnęłam, żeby stało się to już natychmiast. Agentka przysłała mi faksem potrzebne dokumenty, ja je od razu podpisałam i odesłałam tą samą drogą.

Kiedy wszystko zostało załatwione, postanowiłam to uczcić kieliszkiem wina. Ale tym razem, kierując się do kuchni, nie mogłem obojętnie przejść obok toaletki. Moja sytuacja się zmieniła w chwili, gdy sprzedałam dom i stoję przed perspektywą przeprowadzki. Nareszcie się stąd wyniosę i rozpocznę nowe życie. Na samą myśl o tym zaczynam wierzyć, że wygrałam i jestem nie do pokonania.

Chwytam torbę, zanoszę ją do łóżka, siadam i przez chwilę się w nią wpatruję, a potem bardzo powoli otwieram.

Najpierw dostrzegam swój lewy but, czarno-biały adidas. Podnoszę go i widzę, że jest w bardzo dobrym stanie: żadnych zabrudzeń ani pęknięć, ani nawet śladów błota.

Sweter ma parę ciemnych plam, przypuszczam, że z błota lub krwi, lub też z obu razem, ale nie jest zniszczony. Ktoś postronny, patrząc na niego, nigdy by się nie domyślił jego historii. I jest w tym coś dziwnie uspokajającego. Potem wyciągam z torby dzinsy. Prawa nogawka jest oderwana i rozdarta w szwie aż do pasa. Wyschnięta krew usztywniła materiał, a miejscami także przebarwiła. Wkładam rękę do lewej przedniej kieszeni i wyjmuję zgnieciony paragon ze sklepu spożywczego Vona, kwit z parkingu na lotnisku i siedem dolarów. W tylnych kieszeniach znajduję jeszcze trochę drobnych i spinacz; chyba się takich właśnie rzeczy spodziewałam. Ale w drugiej przedniej kieszeni wyczuwam coś dziwnego.

Sięgam głębiej i stwierdzam, że jest to jakiś twardy przedmiot. Wyciągam go i widzę mały biały grot. Zamykam oczy i liczę do dziesięciu. Zerkam na dłoń po raz drugi: grot wciąż tam jest.

- Niemożliwe - mówię do siebie. - To nie może być... Przecież nigdzie się nie oddaliłam z miejsca katastrofy. -A jednak mam w ręce grot; i jestem przekonana, że to nie iluzja, i wierzę w to całym sercem i umysłem, choć oczywiście wiem, że zdarzało mi się wierzyć w wiele szalonych rzeczy...

Idę do łazienki, trzymam rękę przed lustrem i sprawdzam, czy grot się w nim odbija. Odbija się! Wyraźnie widzę: jest mały, biały i leży na mojej dłoni. Trochę przypomina szpic, jaki nakłada się na wierzchołek choinki.

Czuję, że sama sobie z tym nie poradzę: potrzebuję pomocy. Ściskam grot w dłoni i wychodzę z pokoju. Mijając toaletkę, zauważam bilet lotniczy. Patrzę na zegarek: samolot do Seattle odlatuje za niecałe trzy godziny.

A jeżeli tak?...

Raz jeszcze te słowa napełniają mój świat nadzieją i otwierają nowe możliwości. Nie mogę tej nadziei odrzucić i tym razem nie zduszę rosnącej we mnie tęsknoty. Wkładam bilet do torebki i opuszczam dom, w którym nie czuję się już jak u siebie, ale tak, jakby należał do kogoś innego. W garażu mijam regały z segregatorami pełnymi artykułów i zdjęć dotyczących ciekawych miejscowości, o których zwiedzeniu marzyłam od lat.

Wsiadam do volvo, a drzwi garażu automatycznie się otwierają. Przed uruchomieniem silnika jeszcze raz patrzę na grot w mojej dłoni. Ciągle tam jest. Powoli, trzymając stopę na hamulcu, opuszczam garaż i wjeżdżam na podjazd. Przez całą drogę do domu siostry ściskam w ręce grot i modłę się, by nie zniknął. Boję się, żeby to nie było złudzenie, bo mój kruchy mózg

mógłby nie przeżyć takiego rozczarowania. Nie przestając się modlić, parkuję na podjeździe Stacey; opierając się na lasce, podchodzę do drzwi. Kilkakrotnie naciskam dzwonek.

Dopiero gdy usłyszałam kroki, przypomniałam sobie, kto jeszcze mieszka w tym domu, i pomyślałam, że spotkanie z nim może być przykre.

Oczywiście otworzył Thom.

Stałam w drzwiach i patrzyłam na tego mężczyznę, który przez tak wiele lat był panem mego serca, który spał obok mnie i czasem nawet pamiętał, żeby mnie pocałować na dobranoc. Po raz pierwszy od miesiący znalazłam się tak blisko niego, ale nie czuję nic... poza nostalgią. Jakby oczami Thoma patrzyła na mnie moja przeszłość i moja młodość. Wydaje mi się bardzo podobny do siebie sprzed lat. Tak wyglądał tego wieczoru, kiedy spotkałam go po raz pierwszy. Byliśmy wtedy bardzo młodzi, właściwie jeszcze dzieci...

- Witaj, Thom! - mówię i dziwię się, że tak łatwo mi teraz przychodzi wymówienie jego imienia.

- Joy! - Jego zazwyczaj mocno brzmiący głos jest w tej chwili cichy jak szept. Widzę, że biedak zastanawia się, co ma powiedzieć.

- Jak to się śmiesznie nieraz w życiu układa... - plotę, by dać mu trochę czasu do namysłu.

- Ach Joy, tak mi przykro... - duka wreszcie.

To dziwne, ale te słowa głęboko mnie dotykają. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ich potrzebowałam.

- Mnie też jest przykro, Thom!

Potem zapada milczenie. Żadne z nas nie wie, o czym moglibyśmy rozmawiać. Patrzymy na siebie. Thom wydaje się smutny. Mnie też jest ciężko na duszy.

- Czy Stacey się ciebie spodziewa? - pyta Thom.

- Nie.

- Stacey!!! - woła zwrócony w stronę schodów. - Przyszła twoja siostra.

I Stacey schodzi z góry. Ma wyraźnie przerażoną minę. Z niepokojem patrzy na Thoma, potem zwraca się do mnie:

- Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

- Dobrze? Czuję się lepiej niż dobrze. - Chwytam ją za rękaw i ciągnę na korytarz. Może powinnam zadbać o dyskrecję i udać się z siostrą do jej pokoju, ale jestem zbyt zdenerwowana i podekscytowana, żeby kierować się rozsądkiem.

- Popatrz, co znalazłam w džinsach, które miałam na sobie w samolocie! - Podnoszę dłoń i powoli ją otwieram.

Stacey patrzy i ja też patrzę, i wyraźnie widzę mały, biały grot.

- Proszę Cię, Boże... - I nawet nie wiem, jak tę modlitwę skończyć. Wiem tylko, iż jeśli się okaże, że nic nie mam w dłoni, będę stracona. Czekająby mnie wtedy tak zwane długie wakacje w pokoju o gumowych ścianach. - Czy ty to widzisz? - pytam siostrę, zdobywając się na szczyt odwagi.

- Ten kamień? O to ci chodzi?

Czuję uderzenie gorąca do głowy i dopiero teraz uświadamiam sobie, jaka pustka i chłód były we mnie przed chwilą.

- To jest grot strzały, ale nie wiem, co on ma oznaczać.

- Oznacza jedno: jadę na północ.
- Nie rozumiem.
- Ja też nie, ale postanowiłam wykorzystać teraz swój bilet lotniczy.
- Jesteś tego pewna?
- Tak, na sto procent - odpowiadam.

Widzę, że twarz siostry się zmienia, a w jej oczach pojawia się lęk. Myśli o katastrofie i boi się o mnie. Podobnie jak ja, Stacey długo jeszcze nie uwolni się od złych wspomnień.

- Takie rzeczy się nie powtarzają - uspokajam ją.

- Pojadę z tobą.

- Wiem, że to brzmi jak wariactwo - mówię - ale muszę tam pojechać sama, tak jak poprzednio. I sama wyjść na spotkanie nadziei.

- To przynajmniej odwiozę cię na lotnisko... i nie próbuj się ze mną spierać. - Stacey mija mnie i biegnie na górę. Słyszę jej kroki na korytarzu pierwszego piętra. Wracam do salonu, gdzie czeka Thom. Przez chwilę patrzymy na siebie bez słowa.

- Dbaj o nią - proszę go. - Stacey naprawdę cię kocha.

- Ja ją też Kocham, Joy. - Po tonie jego głosu poznaję, że mówi prawdę. I w tym momencie czuję jakby ukłucie, ale ból szybko mija.

- To dobrze - bąkam.

Po paru minutach Stacey wraca, bierze klucze z miedzianej miseczki na stoliku, całuje na pożegnanie Thoma i idzie ze mną do garażu. Gdy uruchamia silnik, wydaję z torebki bilet na samolot, po czym zajmuję miejsce obok kierowcy.

Po chwili siostra patrzy na mnie i pyta:

- Czy jesteś pewna, że chcesz tego, co robisz?

- Całkowicie.

- A więc jedziemy!

Trzydzieści pięć minut później zatrzymujemy się na lotnisku. Parkujemy i wychodzimy z wozu. Na chodniku Stacey bierze mnie w ramiona i obejmuje tak mocno, że ledwo mogę oddychać.

- Tylko mi nie zniknij! - prosi.

- Zadzwoń do ciebie, gdy dojadę na miejsce - obiecuję.

- Koniecznie! Bez względu na to, gdzie ono jest - mówi i dodaje: - Boję się, że mogę cię już nie zobaczyć.

- Coś ty! Jak bym mogła zniknąć? W czerwcu mam być na twoim ślubie.

- Przyjedziesz? Naprawdę? - upewnia się Stacey.

- Przecież jesteśmy siostrami - mówię po prostu. Widzę, jakie wrażenie wywołują moje słowa. Stacey uśmiecha się, ale jest to uśmiech przez łzy.

- Kocham cię, Joy!

- Ja ciebie też kocham, Stacey! - wyznaję i już wiem, że bez względu na to, czy znajdę, czy też nie znajdę ostoje w stanie Waszyngton, zawsze będę miała oparcie w siostrze. Długo trwały nasze nieporozumienia, ale w końcu obie: i Stacey, i ja, wróciłyśmy do punktu wyjścia. Znow jesteśmy oddanymi sobie siostrami jak wówczas, gdy jako małe dziewczynki jechałyśmy na tylnym siedzeniu dusznego volkswagena naszej matki, dzieląc się doświadczeniem życiowym, jakie udało nam się zdobyć, i w chwilach strachu trzymając się za ręce. Teraz wracamy do tych początków.

Dojście do punktu odpraw zajęło mi prawie czterdzieści minut, a następne dwadzieścia czekałam na ogłoszenie mojego lotu. Stojąc w kolejce



do wyjścia na lotnisko, patrzę przez brudne szyby okien i z lewej strony widzę mój samolot.

Nagle ogarniają mnie wątpliwości. Nie jestem pewna, czy sobie poradzę. Czuję, że serce mi wali i pot występuje na czoło. Sięgam ręką do kieszeni i ściskam w palcach grot.

*Obiecaj mi, że wrócisz, Joy!* To czyste wariactwo... Niepoczytalna na skutek urazu głowy. Ale ja wierzę w sens tej podróży... To takie proste.

Może i wariactwo, ale ja w to wierzę.

Starając się ostrożnie oddychać, bardzo powoli wchodzę na pokład samolotu i zajmuję miejsce oznaczone numerem 2A. Zapinam pas bezpieczeństwa i mocno go zaciskam. I jeszcze sprawdzam, gdzie jest wyjście. A potem się modlę.

RS

W momencie gdy samolot dotknął kołami ziemi, zaczęłam krzyczeć tak głośno, że sama się przestraszyłam. Przeleżałam się także wyraźnej dezaprobaty współpasażerów i stewardesy. Nie potrafiłam jednak opanować przerażenia do chwili, gdy po wylądowaniu na lotnisku w Seattle samolot stanął w miejscu.

Trzęsłam się ze strachu jeszcze wtedy, gdy wraz z innymi pasażerami opuściłam maszynę i przechodziłam przez zatłoczone, beżowe przejścia na lotnisku SeaTac. Ale potem, stąpając po wyraźnie oznaczonych płytkach terakoty, doszłam do punktu odbioru bagażu. Tu wypożyczyłam sobie przyzwoity samochód i kupiłam mapę zachodniej części stanu Waszyngton.

Rozglądając się w czasie jazdy po okolicy, zobaczyłam wreszcie owe słynne, a dobrze mi znane widoki: dalekie góry z ośnieżonymi szczytami, jasnoniebieskie wody zatoki Puget Sound i wzgórze Mount Rainier wznoszące się ponad kłębamii mgły.

Wciąż muszę sobie powtarzać, że nigdy tu nie byłam. Przeprowadziłam jednak tyle teoretycznych badań tego terenu, że zasłużyłam już pewnie na tytuł doktora filozofii.

Przesuwając się wolno w nieustannych korkach, docieram do Tacomy: miasta szarego i pospolitego, które wydaje się kulić pod warstwą złowieszczych chmur.

Stolica stanu, Olympia, od strony szosy zaskakuje wiejskim wyglądem. Tu i ówdzie widzi się jednak budynki będące pewnie siedzibami urzędów. Niektóre mają na dachu wieżę zakończoną iglicą, inne rotundę lub kolumny ukryte w gąszczu drzew.

Kiedy dojechałam w pobliże miasta Cosmopolis (a dodam, że jest to zupełnie nieodpowiednia nazwa), znalazłam się w całkowicie odmiennym świecie. Ogromne kominy wyrzucają szkodliwe dymy w niebo, a okorowane kłody i dłużyce blokują wodne drogi i kanały. Nad zatoką Grays Harbor wyraźnie widać, że miejscowa gospodarka opiera się na drewnie i przemyśle morskim, ale obie te dziedziny obumierają albo bankrutują. Domy są zapuszczone, sklepy pozamykane, na ulicach śródmiejskich dzielnic nie ma handlu ani ludzi.

W Aberdeen skręcam w głąb lądu na starą szosę numer 101, która powinna mnie dowieźć do Queets, Forks, Humptulips, Mystic i Rain Valley.

I tu się wszystko wyjaśni. Jeśli mój sen jest prawdziwy, znajdę na tej szosie to, czego szukam. Jest ona jedyną zbudowaną przez człowieka drogą, która biegnie między ogromnymi drzewami lasu deszczowego z jednej strony, a szarymi, wzburzonymi falami Oceanu Spokojnego - z drugiej.

Nagle obleciał mnie strach i zatrzymałam się na brzegu szosy.

- Weź się w garść, Joy! - głośno się napominam tonem, którym jako bibliotekarka strofowałam uczniów, ale który tak samo jak na nich i na mnie nie działa przekonująco. Drżącymi rękami rozkładałam mapę.

Denerwują mnie nazwy miast, bo przecież nie wiem, które z nich okaże się „tym moim”. A może wszystkie będą obce? Czy ja rzeczywiście szukam Daniela, Bobby'ego i ośrodka położonego nad srebrnym jeziorem, czy może jest to tylko zapowiedź, wskazówka odnosząca się do przyszłości, która dopiero nadejdzie? Może powinnam poszukać sobie mężczyzny podobnego do Daniela? A Bobby to dziecko, jakie mogłabym kiedyś mieć?

Ta myśl mnie oszałamia. Jestem wstrząśnięta. Jak się dowiem, czego naprawdę szukam? Sięgam po komórkę i dzwonię do siostry. Odpowiada po pierwszym sygnale.

- Do diaska, Joy! - zrzędzi. - Najwyższy czas... Obgryzłam z nerwów wszystkie paznokcie.

- I tak już były obgryzione - żartuję. Patrząc przez przednią szybę na pustą drogę, żalę się: - Mam problem, Stacey! Nie wiem, dokąd się udać. Wszystko tu wygląda...

- Najpierw zrób głęboki wdech!

Robię, jak radzi.

- Jeszcze raz!

Znów głęboko wciągam uspokajający łyk powietrza i powoli je wypuszczam.

- A teraz - mówi Stacey - powiedz, gdzie jesteś.

- Z tego, co widzę, jest to miasto na wybrzeżu związane z przemysłem drzewnym. O godzinę drogi stąd zaczyna się Park Narodowy, a właściwie rezerwat leśny. Boję się, Stacey, co będzie, jeśli nie znajdę miejsca, którego szukam...

- Znajdziesz je! - przekonuje mnie po chwili milczenia.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo w to wierzysz.

Te słowa biorę głęboko do serca. Dają coś, czego się mogę trzymać; przypominają mi, że jeśli nawet jestem nienormalna, to na pewno nie osamotniona.

- Dziękuję!

- Będę siedziała przy telefonie i czekała na wiadomości od ciebie.

- Oczywiście zadzwonię!

- A gdzie chcesz się teraz zatrzymać?

- W Amanda Park - informuję ją po sprawdzeniu nazwy na mapie.

- To brzmi obiecująco.

- Być może - potwierdzam. Nic mi ta nazwa nie mówi, ale to nie jest miarodajne, bo przecież na swojej pamięci nie mogę polegać. - Pogadamy o tym później. Teraz kończę. Pa!

- Pa! Do usłyszenia!

Odkładam telefon, uruchamiam samochód i jadę dalej.

Gdy zbliżam się do granic Rezerwatu Leśnego w Olympii, krajobraz się zmienia. Niespodziewanie na tym terenie prawie nie ma drzew. Po ich wycięciu obszary wzdłuż szosy dopiero teraz są na nowo zalesiane. W oddali widnieje szczyt Mount Olympus przykryty białą czapą śniegu i dumnie wznoszący się ku szaremu niebu.

Po drodze nie dostrzegam skrzynek pocztowych, a niezbyt liczne domy, jakie widzę, to przeważnie domki na kółkach lub zbudowane z prefabrykatów. Stoją w głębi wykarczowanych działek i nic nie wskazuje na to, by ci, którzy je stawiali, mieli najmniejsze choćby pojęcie o architekturze krajobrazu. Jest jednak możliwe, że tego miejsca nie da się przystosować do własnych potrzeb; trzeba je wziąć siłą i przy odrobinie szczęścia utrzymać.

Natomiast Amanda Park wydaje mi się całkiem interesującym miastem, położonym nad jeziorem Quinalt. Ale ani miasto, ani jezioro z niczym mi się nie kojarzą. Penetruję wszystkie ulice, lecz bez echa. Wracam więc na szosę i zamierzam nadal jechać na północ.

Następny drogowskaz informuje, że jestem w Queets. Starym, źle utrzymanym traktem docieram do centrum, ale to, co spotykam, nie budzi we mnie żadnych wspomnień.

Ponownie znalazłszy się na szosie, biorę ostry zakręt w prawo i staję nad brzegiem Oceanu Spokojnego. Przede mną bezmiar szarej wody, skrapianej teraz drobną mżawką, a dalej białe huczące fale. Raz jeszcze się zatrzymuję i wysiadam z samochodu.

Wylawiane z wody drewno jest tu dokładnie takie, jakie pamiętam. Podobnie też wyglądają przydrożne drzewa, których sylwetki wyrzeźbił wiatr. Tylko piasek jest inny. Wieczorem, który spędziłam na plaży, stałam zanurzona po kostki w bladozłotym piasku, gdy miałam zatańczyć z Danielem. Tymczasem dziś piasek, podobnie jak niebo i morze, ma odcień szary.

Ogromne krzewy, karłowate drzewa i gigantyczne paprocie sprawiają, że całe wybrzeże zdaje się jednym pasmem żywiołowej szmaragdowej zieleni. Z wybranej przez siebie lektury dowiedziałam się, że ten teren jest najdłuższym w świecie wybrzeżem, gdzie przyroda zachowała się w stanie pierwotnej dzikości. Gdy o tym czytałam, szczególną uwagę zwracałam na słowo „wybrzeże”, ale teraz, stojąc na nim, widzę, że liczy się przede wszystkim owa „dzikość przyrody”.

Z mieszanymi uczuciami kontynuuję podróż na północ szosą numer 101. Cieszę mnie te zapamiętane sceny, które co do joty zgadzają się z rzeczywistością, ale niepokoją te, które nie pokrywają się z tym, co widzę.

Miasta budzą nadzieję, gdy się do nich zbliżam, ale bardzo szybko mnie rozczarowują. Chociaż okolice wydają mi się znajome, żadna nie jest tą z mego snu.

Opuszczam wybrzeże Oceanu Spokojnego i ruszam w głąb lądu. Krajobraz staje się coraz dzikszy i bardziej prymitywny. Drzewa przybierają gigantyczne rozmiary i stojąc blisko siebie, przesłaniają słoneczne światło. Mgła osiada na starym asfalcie i wszystko przybiera kształty mistyczne, jakby nie z tego świata. Przejeżdżam przez kolejne miasta i nie znajduję niczego, co by do mnie przemawiało. Późnym popołudniem, kiedy złote promienie słońca kryją się w ciemnych smugach cienia na obrzeżach drogi, moja wiara słabnie.

Mijam znak drogowy - metalową tablicę, która informuje, że zawitałam do Rain Valley.

Rain Valley - Dolina Deszczu.

Moja stopa uwalnia pedał gazu. Czuję w piersiach jakieś trzepotanie, jakiego przedtem nie miałam. Jadę dalej, ale robię to jakby wbrew własnej woli, jakby coś mnie ciągnęło do przodu.

Boję się uwierzyć, że może właśnie znalazłam to swoje miasto ze snu... ale jeszcze bardziej się boję kolejnej pomyłki. Zostało mi niewiele miejsc, dokąd mogłabym się skierować; tu, w głębi puszczy, już ich nie ma. Z miast jedynie dwa: Mystic i Rain Valley, leżą nad jeziorami; inne nie wchodzą w rachubę.

Skrećam w Cates Avenue i wjeżdżam do Rain Valley. W pewnym momencie naciskam hamulce: miasto, które widzę przed sobą, jest i jednocześnie nie jest „tym moim”, które zapamiętałam.

Czuję się jak w scenie z filmu *Twilight Zone*. To jest miasto, które tak dobrze znam, jakby widziane w krzywym zwierciadle. Tu też jest park w centrum, ale wcale nie przypomina tego z mojej wyobraźni. Jest w nim także galeria obserwacyjna, z kolumnami oplecionymi pnączami glicynii,

mającymi lada chwila zakwitnąć... Wszędzie widać betonowe ławy i fontanny. Idąc w lewo, można natknąć się na kryty ruszt do grillowania, w otoczeniu stołów przygotowanych na piknik. Staw, tak płytki, że można po nim brodzić, przyciąga promienie słońca, a te odbijają się na zmarszczonej powierzchni wody, przypominając płonące wstęgi.

Opierając się na lasce, przechodzę przez gąbczasty trawnik i zmierzam w kierunku głównej ulicy.

W „moim mieście” stały drewniane budynki z wielkimi oknami, a szyldy wiszące nad lokalami handlowymi miały śmieszne nazwy: na przykład „Czar Łap” - nad sklepem zoologicznym, „Oczywiście włosy” - nad salonem kosmetycznym i „Wpadnij na kropelkę rosy” - nad barem.

Zatrzymuję się przed salonem fryzjerskim „Lulu” i widzę, że na lewo jest restauracja „Kropla Deszczu”. Tylko lodziarnia i kościół wyglądają dokładnie tak, jak je widziałam w wyobraźni.

Tam, gdzie moja wersja tego miasta bardzo je przypomina, doznaję takiego uczucia, jakby się kolana pode mną uginały; natomiast dostaję mdłości, ilekroć to, co tu spotykam, bardzo się od moich wspomnień różni.

Byłam tu czy nie byłam? Może jestem nienormalna? Mam podobno uszkodzony mózg.

Tak jak to sobie wyobrażałam, miasto Rain Valley przypomina klejnot lśniący na tle nieprzebytych lasów Olympii: Są to setki tysięcy hektarów dzikiej przyrody, olbrzymie drzewa i góry, ale brakuje drogi, żeby przez te tereny przejechać. W mieście na latarniach ulicznych wiszą kosze, z których zwisają zbrązowiałe pędy winorośli i zimujących pelargonii. Tu i ówdzie pokazują kolorowe oblicza odważne bratki.



Najpierw wchodzę do restauracji. Nie ma tu, jak w „mojej”, żadnych broszur turystycznych; nie widzę też mężczyzny pijącego kawę przy barze. Tu w ogóle nie ma baru...

\* \* \*

Starsza pani z włosami upiętymi w kok a la Lucille Ball podchodzi do mnie z uśmiechem:

- Witam w „Kropli Deszczu”. Czym mogę pani służyć? -I wręcza mi plastikową kartę z menu.

- Szukam Komfortowego Ośrodka Wędkarskiego.

Kobieta zatrzymuje się i marszczy brwi. Mruży przy tym mocno podmalowane oczy, tak że ich wcale nie widać.

- Kochana! - mówi. - Mieszkam tu od czterdziestu lat i nigdy o takim ośrodku nie słyszałam. Ale stary Erv Egin mógłby pani może coś takiego wynająć, oczywiście dopiero wtedy, gdy zacznie się sezon łowienia łososi.

- A czy w ogóle jest tu jakiś ośrodek wędkarski?

- Nie mamy jeszcze tak rozwiniętej turystyki, choć Bóg jeden wie, jak bardzo by się nam przydała. Jest tu motel na Fall River, który oferuje wspaniałe śniadania. Mamy także ośrodek wypoczynkowy w Kalaloch i jeszcze pewne miejsce nad jeziorem Crescent w Port Angeles, ale w żadnym z nich nie uprawia się wędkarstwa. Najlepiej pani zrobi, wynajmując sobie coś w maju.

- A może zna pani mężczyznę, który ma na imię Daniel i ma syna Bobby'ego? - pytam szeptem i czuję się jak idiotka.

- Ach, chodzi pani o Daniela i Bobby'ego O'Shea? O tych, co mieszkają nad jeziorem Spirit Lake?

Czuję, że mi serce zamiera.

- Tak, o Daniela, który mieszka nad jeziorem i ma syna o imieniu Bobby... Tylko tyle wiem...

Kelnerka cofa się o krok i badawczo mi się przygląda. Mam wrażenie, że to, co widzi, niezbyt jej się podoba. Wzrok zatrzymuje na mojej lasce, by po chwili przesunąć na twarz.

- Kim pani jest?

- Mam na imię Joy. Przyjechałam z bardzo daleka, żeby ich odnaleźć.

- Wiem, że mieli trudne przejścia w ostatnich miesiącach... i na tym się nie skończyło. Nie chodzi o sam tragiczny wypadek z panią O' Shea, ale w ogóle. Myślę, że lepiej im nie przysparzać kłopotów.

- Ja, proszę pani, miałam wiele własnych przykrości i mogę panią zapewnić, że nie zrobię niczego, co mogłoby ich zranić.

Zdawało mi się, że jej milczenie trwa wieki, ale w końcu usłyszałam:

- Daniel i Bobby mieszkają przy ulicy Lakeshore Drive, na samym jej końcu.

- Dziękuję pani - powiedziałam ze śmiechem, który zabrzmiał nieco histerycznie.

Utykając, opuszczam restaurację i wsiadam do samochodu. Odbijam od krawężnika i nagle sobie uświadamiam, że nie spytałam, w jakim jechać kierunku. Nie wątpię jednak, że serce mi to podpowie i zaprowadzi na miejsce.

Jadę wzdłuż parku w stronę starej szosy i ani na chwilę się nie zatrzymuję. O ile dobrze pamiętam, nie ma tu żadnego skrzyżowania. Muszę więc dojechać do Forks i zawrócić. W drodze powrotnej przyglądam się dokładnie znakom drogowym, przy każdym zwalniając. W starej części Rain Valley domy są małe i stoją blisko siebie. Ulice noszą nazwy drzew.

Nie ma jednak Lakeshore Drive. Słońce jest nisko na niebie i zaczyna rzucać coraz dłuższy cień. Nie widać latarni ulicznych, a ludzi w ogóle się nie spotyka. Już mam zamiar zawrócić, kiedy dostrzegam małą zieloną tabliczkę z napisem „Spirit Lake”.

Widok tej nazwy wywołuje u mnie dreszcz emocji. Posuwam się wzdłuż drogi, która oddala mnie od miasta. Ujechałam nie więcej niż półtora kilometra, gdy natrafiam na blokującą przejazd barykadę, a na niej ostrzeżenie: UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO: WYSOKA WODA. Okazuje się, że rzeka wystąpiła z brzegów i podmyła część drogi. Asfaltem płynie strumień brązowej wody, którego głębokość szacuję na mniej więcej trzydzieści centymetrów.

Zatrzymuję się na poboczu, parkuję i zastanawiam się, co robić dalej. Czy ta zalana powodziową wodą droga nie jest dla mnie jakimś znakiem? Może lepiej nie zjeżdżać w dół w stronę jeziora? Czy nie powinnam teraz iść pieszo? Poza tym taka wędrówka mocno mnie pociąga. Już kiedyś tędy szłam, więc jeśli rzeczywiście działa tu jakaś magia...

Być może historia musi się powtórzyć, żebym zrozumiała, gdzie jest moje miejsce.

Widzę ogromną okorowaną kłodę, leżącą na skraju drogi, i od razu przychodzi mi na myśl, że mogłabym, posługując się laską, przejść po niej i znaleźć się na niezalanej stronie szosy.

Jestem szalona... nawet jeśli oceniać stan mego umysłu według moich standardów, a te są ostatnio bardzo niskie.

Kiedy tak siedzę, trzymając dłonie na kierownicy i gapiąc się na zalaną drogę, słyszę sygnał mojej komórki. Nie patrzę na numer; wiem, kto telefonuje.

- Cześć, Stacey - mówię.

- Dzwonię do ciebie od godziny... - skarży się.

- Dziwię się, że można się na tę „ziemię niczyją” dodzwonić.

Powinnaś zobaczyć to miejsce, tu jest...

- Daruj sobie turystyczną reklamę! Mnie ona nie interesuje.

Boję się ubrać w słowa moją kruchą, nierealną nadzieję, ale jeszcze bardziej się boję z tego zrezygnować. Przepaść, jaka istnieje między tym, co sobie wyobraziłam, a tym, co teraz widzę, działa na mnie paraliżująco. Nie wiem, co o tym myśleć.

- Powiem ci jeszcze, Stacey, że zaparkowałam na Lakeshore Drive. Kelnerka z tutejszej restauracji poinformowała mnie, że Daniel i Bobby O'Shea mieszkają przy końcu tej ulicy.

- Kapitalnie! - zachwyca się Stacey. - Myślisz, że naprawdę o nich chodzi?

- Mam nadzieję, że tak. Ale kto wie? Może jestem szalona, tak jak Brad Pitt w filmie *Dwanaście małp*? A w rzeczywistości nadal siedzę na lotnisku i marzę.

- Nie siedzisz na lotnisku. Sama widziałam, jak wchodziłaś do samolotu.

- Byłaś tam?

- Tak, bo nie wierzyłam, że się zdecydujesz...

- A więc sama się przekonałaś, że teraz jestem silniejsza, niż byłam kiedyś. - Słowa te wymawiam z przeświadczeniem, że są prawdziwe. Jestem teraz wystarczająco silna, żeby odważyć się na realizację marzenia... a także dość silna, by poradzić sobie, gdyby miało mnie spotkać rozczarowanie.

Przede wszystkim ważne jest, że w końcu się na ten krok zdobyłam, i bez względu na to, czy Daniel i Bobby rzeczywiście istnieją, czy nie, teraz wiem, że tu jest moje miejsce. Wkrótce na moje konto w banku wpłynie dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ta suma zapewni mi poczucie wolności i pozwoli osiąść w dowolnym miejscu i zacząć wszystko od nowa. A chcę być właśnie tu.

Patrzę przez przednią szybę i stwierdzam, że deszcz nie pada: szyba jest sucha.

- Już na mnie pora - mówię do Stacey.

- Tylko mi nie zniknij! - prosi.

- Na pewno tego nie zrobię. - Ale w tym momencie przypominam sobie Bobby'ego, któremu przecież też takie przyrzeczenie złożyłam.

Kończę rozmowę, wkładam telefon do torebki, jej pasek zakładam na ramię i wychodzę z samochodu.

Świat, skąpany w ostatnich, gasnących promieniach słońca, wydaje się przepiękny. Drzewa po obu stronach drogi są tak potężne jak te z mojej wyobraźni. Wiele osiąga wysokość nawet siedemdziesięciu metrów. Pnie stoją dumnie wyprostowane niczym maszty flagowe. Wiecznie zielone krzewy salalu i rododendrony rosną w dzikim nieładzie między drzewami. Wszystko jest porośnięte mchem: kora drzew, gałęzie, bariery ochronne przy szosie, skały i kamienie. Z wielką ostrożnością wspinam się za pomocą laski na kłodę, która rozciąga się nad płynącą wartko wodą, i przechodzę na drugą stronę. Szczęśliwie staję na suchym gruncie, kuśtykam, by znaleźć się ponownie na głównym trakcie, a potem wędruję dalej. Mimo że o lasce chodzi się wolno, ani razu się nie zatrzymuję.

Przeszłam około półtora kilometra, gdy usłyszałam szum fal bijących o brzeg jeziora. Skręciłam za rogiem i oto moim oczom ukazała się niewielka aleja obsadzona czereśniowymi drzewami. Na jej końcu stoi okazały, stary, wiktoriański dom z ogromnym gankiem. Takie domy pod koniec wieku budowali magnaci przemysłu drzewnego. Chociaż dach przypomina pochyłe i porośnięte mchem górskie zbocze, a ganek niebezpiecznie z jednej strony się zapada, to budynek robi duże wrażenie. Przy wejściu wita mnie rzeźbiona w drewnie tablica, informująca, że „Pensjonat SPIRIT LAKE oferuje noclegi ze śniadaniem”.

Po obu stronach domu stoją małe budynki gospodarcze z rozbitymi oknami i wałącymi się kominami.

Na podjeździe brakuje czerwonej ciężarówki z niebieskimi drzwiami. Nad jeziorem nie ma przystani wystającej ponad poziom wody, a przy nabrzeżu nie cumują żadne kajaki ani łodzie.

Nie ma też zaniedbanego warzywniaka z widocznymi oznakami wiosny.

Prawdę mówiąc, otoczenie domu nie wskazuje na to, by ktokolwiek dbał tu o ukazanie piękna krajobrazu. Ozdobą są tylko pełne różowego kwiecica drzewka czereśniowe, którymi obsadzona jest alejka prowadząca do drzwi wejściowych.

Z wyjątkiem tych drzewek i jeziora niczego nie rozpoznaję. I pewnie nigdy przedtem tego miejsca nie widziałam.

Chociaż nie... Bo oto w pobliżu jeziora stoją huśtawki dokładnie takie, jakie „widziałam”.

Jestem nienormalna.

„Może naprawdę wcale mnie tu nie ma?" - taka przerażająca myśl przelatuje mi przez głowę. Być może wciąż jeszcze jestem w szpitalu, gdzie faszują mnie środkami przeciwbólowymi. Może nadal jestem w stanie śpiączki.

Może jestem jak Neo w filmie Matrix, zanim go uratowano, a może...

- Przestań, Joy! - nakazuję sobie, i choć wymaga to ogromnej siły woli, ruszam dalej przed siebie.

RS

## 14

Idę wyboistym asfaltem do miejsca, gdzie droga łagodnie skręca w stronę domu. Nagle słyszę jakiś hałas. Wiatr od jeziora niesie chłopięcy głos. Czy to Bobby?

Odwracam się w stronę tego dźwięku i nasłuchuję. To on. Mocniej chwytam w dłoń laskę, szybko mijam rząd huśtawek i wchodzę w kępę drzew. A tam, klęcząc w swoim leśnym kościele, Bobby bawi się figurkami. Olbrzymie drzewa chronią go, otaczając kołem. Purpurowe promienie zachodzącego słońca przebijają się przez wielkie, pochylone nisko gałęzie. Paprocie i mech mają nowe żółtozielone pędy.

Kuśtykając, zmierzam w stronę chłopca i czuję, że serce mocno mi bije. Gąbczasta, wilgotna ziemia tłumi moje kroki, więc chłopiec ich nie słyszy i nie wie, że się zbliżam.

- Cześć, Bobby! - wołam.

Na dźwięk mego głosu ręce malca martwieją. Figurki z brzękiem upadają na ziemię i cichną. Bobby wolno odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie.

Wygląda dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałam. Ma czarne wijące się włosy, jasnoniebieskie oczy z długimi rzęsami i brakuje mu z przodu dwóch zębów. Tylko spogląda na mnie inaczej: mierzy nowym, chmurnym spojrzeniem.

- Bobby! - mówię po chwili konsternacji - To ja, Joy.

- A jakże... na pewno... - kpi, nawet się nie uśmiechając.

- Przepraszam cię, Bobby! Przepraszam, że odeszłam.



- I tak wszyscy sądzą, że sobie ciebie wymyśliłem, że jesteś tylko moim urojeniem.

- Może byłam nim wtedy, ale nie teraz.

- Chcesz powiedzieć, że... - Waha się, marszcząc brwi.

- Jestem tu naprawdę, Bobby.

Przez jego twarz przebiega promyk nadziei, ale ją zaraz tłumi. I to jest jedna z najsmutniejszych chwil w moim życiu.

- Nie dam się nabrać. Nie chcę już więcej uchodzić za wariata.

- Rozumiem cię, Bobby. Wiem, co myślisz.

- Przestań! Nie próbuj mnie oszukiwać! - Głos mu się załamuje.

Widzę, jak bardzo ten chłopiec się stara, żeby być normalnym, zdrowym i dorosłym. I tak bardzo pragnie znów we mnie uwierzyć!

- Wiem, że moja prośba jest niemożliwa do spełnienia, a nawet zupełnie szalona, ale czy nie mógłbyś zaufać mi jeszcze jeden raz?

- Zaufać? Jak mam to zrobić?

- Po prostu podejdź do mnie!

- Boję się - wyznaje, potrząsając głową. Uśmiecham się. W tej zwariowanej sytuacji jego szczerłość wydaje się czymś zbawiennym.

- Ja też się boję, Bobby! Ale, proszę cię, uwierz we mnie tylko ten jeden raz! - Mówiąc to, mam w pamięci scenę ze swego snu, kiedy podobnie do niego przemawiałam.

Chłopiec powoli wstaje i podchodzi. Kiedy jest już tak blisko, że mógłby wziąć mnie za rękę, zatrzymuje się i nieruchomieje.

- Czy ty naprawdę tu jesteś? - pyta.

- Dokładnie takie samo pytanie zadałeś mi wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pamiętasz? Wówczas nie wiedziałam, co masz na myśli.

Nie rozumiałam ciebie. Ale teraz jestem tu naprawdę, Bobby! Uwierz mi! -  
Malec wciąż boi się mnie dotknąć, ale w jego oczach znów widzę nadzieję.

- Złamałaś dane mi przyrzeczenie.

- Tak, to prawda. Bardzo cię przepraszam.

- Dlaczego nosisz teraz laskę?

- Ach, długo by opowiadać...

- Czekałem na twój powrót. Co dzień cię wypatrywałem. - Głos odmawia mu posłuszeństwa. Widzę, jak ze sobą walczy, by się nie rozpłakać.

- Mam dla ciebie prezent - szepczę cichutko.

- Naprawdę?

Sięgam do kieszeni, ciągle z obawą, czy nie okaże się pusta. Ale nie jest. Biorę w palce chłodny i gładki rzeźbiony kamyk. Wyjmuję go i pokazuję chłopcu. W mojej dłoni ten biały grot przypomina kształtem serduszko. Bobby aż się zachłysnął.

- On jest biały! Taki, jaki mi mamusia obiecywała.

Powoli się przysuwam i klękam obok malca.

- Chcę, żebyś wiedział, Bobby, że właśnie twoja mama pokazała mi, gdzie się ten grot znajduje. A było to w wigilię Bożego Narodzenia wieczorem, kiedy już spałeś.

- To prawda?

- Tak. Myślę, że magia jednak istnieje...

W oczach Bobby'ego pokazują się błyszczące łzy. Wiem, jak długo to dziecko czekało, żeby usłyszeć takie słowa od kogoś dorosłego. Bierze ode mnie grot i mocno obejmuje palcami.

- Wiedziałem... - szepcze. - Wcale nie jestem wariatem.

- Możesz go zawsze nosić w kieszeni. A kiedy się czegoś przestraszysz, poczujesz się zagubiony albo zakłopotany, wtedy potrzymaj go w ręce i przypomnij sobie mamusię, jak bardzo cię kochała. - Wyciągam do niego ramiona i chłopiec ochoczo się w nie rzuca, a ja, choć z łatwością go nimi oplątam, tracę równowagę. Spłeceni uściskiem, padamy na porośłą mchem ziemię. Laska toczy się gdzieś w bok, a ja sobie uświadamiam, że oto po raz pierwszy rzeczywiście tulę to dziecko w objęciach. Jego pocałunek na moim policzku jest ośliniony i mokry... ale prawdziwy.

- Ojej - mówi chłopiec, uwalniając się z moich ramion -jesteś teraz taka ciepła...

- A przedtem nie byłam?

- Przedtem, gdy mnie dotykałaś, czułem tylko jakby... powiew wiatru...

- Malec z powagą potrząsa głową.

Przez chwilę siedzimy i patrzymy na siebie.

- A więc witaj, Bobby O'Shea! Miło mi poznać ciebie naprawdę.

- Myślałem, że odeszłaś, że postąpiłaś tak samo jak mamusia.

Dotykam jego policzka. Jest bardziej miękkie, niż to sobie wyobrażałam.

- Nie odeszłam za zawsze. Zajęło mi jednak dużo czasu, by znaleźć powrotną drogę do ciebie.

- Jak to się stało, że tu byłaś?!

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Czy przyjdzie taki dzień, kiedy zrozumie, dlaczego mój sen był ułomną i okaleczoną wersją rzeczywistości? Albo jak to się stało, że się tu zjawiłam wtedy, gdy leżałam w białym szpitalnym łóżku w Bakersfield, podłączona do aparatów ratujących życie? Teraz nie mogę uczynić nic

więcej, jak tylko wzruszyć ramionami i powiedzieć Bobby'emu to, co sama wiem:

- Magia!

- Okej! - Bobby po chwili namysłu akceptuje moje wyjaśnienie. Oto jak niewiele trzeba, żeby dziecko uwierzyło!... Szkoda, że nie możemy tacy pozostać na zawsze.

- A co robiłeś od czasu, kiedy cię opuściłam? - pytam z uśmiechem.

Bobby chwyta mnie za rękę i wstaje.

- Chodź ze mną! - mówi i mocno ciągnąc, wyprowadza mnie z leśnej polany. Kierujemy się w stronę domu. Widzę, że go niecierpliwi moje niezdarne chodzenie, ale laska i utykanie nie pozwalają na przyspieszenie kroku. Śmiejąc się, proszę, by zwolnił.

Kiedy przechodzimy przez ogród, uświadamiam sobie, jak bardzo mroczny jest pejzaż terenu położonego na skraju gęstych lasów. Noc szybko tu zapada, inaczej niż w świecie z mego snu, gdzie wydawało mi się, że wszystko dzieje się powoli.

Bobby silniej ściska moją dłoń i skręca w lewo. Okrążamy dom, a potem wchodzimy na małe wzniesienie. Tu, na tyłach pensjonatu, stoi pięć domków kempingowych. Dwa robią wrażenie starych, ale trzy są całkiem nowe, dopiero zbudowane.

Bobby prowadzi mnie do najbliższego i otwiera drzwi. Wchodzę za nim do środka, potykając się o próg. Wewnątrz jest ciemno, ale Bobby przekręca kontakt i zapala się światło.

Jesteśmy w pięknie zaprojektowanym domku kempingowym, którego posadzka składa się z szerokich, wypolerowanych sosnowych klepek, a duże okna, podzielone na pionowe sekcje, wychodzą na jezioro. Tylko ściany są

jeszcze niewykończone. Spoglądam na lewo i przez uchylone drzwi widzę łazienkę z białymi kafelkami i wanną, stojącą na nóżkach w kształcie lwich łap.

- Tata nie wiedział, jak wykończyć ściany, bo na naszej liście nie było o tym wzmianki - tłumaczy Bobby.

- Ach, tak? - peszę się. Ale zanim zdążyłam zadać mu pytanie, znów mnie wziął za rękę i wyprowadził na dwór.

- Tatuś wszystkie te domki naprawił albo zbudował od nowa. To twoja zasługa.

- Nie wiem, o czym mówisz, Bobby. Ja...

- Dobrze wiesz - przerywa, zatrzymuje się i patrzy mi w oczy - bo zrobił to ściśle według twojej listy.

- Jakiej listy?

Chłopiec sięga do kieszeni koszuli i wyciąga zmiętą żółtą kartkę papieru, która wygląda na często używaną, jakby ją bez końca składano i rozkładano. Otwiera ją i podaje mi.

- Codziennie na nią patrzymy... - wyznaje. Przyglądam się temu świstkowi papieru i czytam:

Pomysły:

Zmieni naswę na romantyczną.

Kfiaty

Wyszykować domk kempingowe

Założyć stron internetową

Potłoga bez dywanu.

- Ach - szepczę i przebiega mnie dreszcz, chociaż nie jest mi zimno. -  
W jaki...

Bobby wzrusza ramionami. Oboje wiemy, że nie ma odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytanie. To jest taka sama magia jak ten biały grot. Choć to się wydaje zupełnie niemożliwe, jakaś częśćka mnie tu była i pozostawiła te słowa.

- Mówiłem tatusiowi, że wrócisz - szepcze Bobby.

Kiedy na mnie patrzy, rodzi się we mnie szczególna miłość, taka jakiej nigdy przedtem nie znałam.

Pochylam się i biorę go w ramiona, mocno tuląc do siebie. Po chwili chłopiec pierwszy uwalnia się z objęć, bo ja jeszcze długo nie mogłabym się z nim rozstać.

- Idziemy! - poleca i biorąc mnie za rękę, ciągnie w stronę domu. Gdy przechodzimy przez ogródek, zrywa się wiatr i z drzewek sypią się płatki, jakby prószył różowy śnieg.

W drzwiach Bobby się zatrzymuje.

- Zrobimy tacie niespodziankę - mówi ze śmiechem.

- O, to na pewno będzie niespodzianka! - przyznaję, czując, że coś ściska mnie w dołku. Co innego jest sprawić, żeby mały chłopiec uwierzył w magię, a zupełnie co innego wiązać tak niedorzeczne nadzieje z dojrzałym mężczyzną.

Bobby puka i w domu rozlegają się kroki. Mocniej obejmuję dłoń chłopca.

Drzwi się otwierają i staje w nich Daniel. Wygląda niemal dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałam... może jest cięższy, niż mi się zdawało, i ma krótsze włosy. Niemniej jest to z całą pewnością Daniel.

Bobby jest tak przejęty, że przebiera nogami, jakby tańczył macarenę, natomiast ja zastygam w bezruchu.

- Spójrz, tatusiu! Joy wróciła.

Usiłuję się uśmiechnąć, ale nie mogę. Wystarczyłoby, żeby Daniel zamknął mi drzwi przed nosem albo się odwrócił, a będę stracona.

- Otwórz te cholerne drzwi, bo mi zimno! - mówię; zająknęłam się na słowie „cholerne”, gdyż - jak już Bobby kiedyś powiedział - nie umiem kłąć.

- Joy? - W głosie mężczyzny słyszę zmieszanie i nieufność.

- Wiedziałem, że cię pozna! — śmieje się Bobby.

- Jak to się stało, że mnie poznałeś? - pytam Daniela, bo nie mogę tego pojąć.

- Bobby rysował miliony twoich portretów - wyjaśnia, a w jego mowie brzmi ten sam miły akcent, który pamiętam z mego snu. - Bez przerwy o tobie mówił, tak że już nie mogłem tego wytrzymać. Ale...

- Ale co?

- Jesteś piękna.

Moje policzki robią się pałowe. Czuję się jak nastolatka, na którą kapitan drużyny futbolowej po raz pierwszy zwrócił uwagę. Myślałam, że już nigdy takiego uczucia nie doświadczę.

- Istne szaleństwo! - szepczę.

- Joy! - Daniel wymawia moje imię tak, jakby się modlił. To ściska mnie za serce i daje nadzieję.

Nie zastanawiając się, podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu. Moja laska z hukiem upada na podłogę i już o niej nie myślę. Daniel dotyka mojej twarzy. I dopiero wtedy, gdy czuję jego gorące dłonie na moim chłodnym policzku, zdaję sobie sprawę, jak bardzo pragnęłam tej pieczy; jest najdelikatniejsza, jakiej kiedykolwiek doznałam. Wzdycham i widzę, jak mój oddech zamienia się w jasną chmurkę.

- Wiesz, Joy, mam takie dziwne wrażenie, jakbym cię już kiedyś znał.

- Tak? - Może to jest wariactwo, ale ja czuję tak samo.

- A kim ty właściwie jesteś? Kim jesteś naprawdę?

- Nazywam się Joy Faith Candellaro, jestem z zawodu bibliotekarką i pracuję w liceum w Bakersfield.

- Joy Faith, jakie to wspaniałe imiona! - Daniel cofa się od drzwi i szerokim gestem zaprasza mnie do środka: -Wejdz, proszę!

Mijam go i utykając, wchodzę do domu. Czuję na sobie jego wzrok i wiem, że ten człowiek ma w zanadru dziesiątki pytań, na które nie znajduje odpowiedzi. A wiem to, bo sama też je sobie zadawałam. Ale tkwię teraz na pograniczu dwóch światów: tego tu i tego tam, świata z mego snu i świata realnego.

Pierwsze, co zauważyłam, wchodząc, to brak recepcji. Nie ma jej. Nie dostrzegam też staroświeckich kluczy na ścianie ani lady pełnej broszur i map turystycznych. Tak jak wtedy, gdy przybyłam do Rain Valley, niektóre rzeczy, znane mi ze snu, zobaczyłam na jawie, a inne okazały się jedynie wytworem mojej wyobraźni. Nie mam pojęcia, jak to interpretować.

Odwracam się w lewo i widzę hol. Tak jak w moim śnie jest w nim ogromny kamienny kominek, a nad nim stoją na półce ozdoby, które Bobby i ja tam umieściliśmy. Jest lśniący śnieg z poliestru, małe domy oraz sklepy z gipsu i żywicy, ślizgawka zrobiona z lusterka i miniaturowe powozy z konnym zaprzęgiem. W rogu pokoju, dokładnie w miejscu, gdzie ją postawiłam, stoi choinka udekorowana światełkami i ozdobami. Pod nią leży jedna świąteczna paczka. Długi i cienki prezent jest byle jak opakowany: spięty jedynie przezroczystą taśmą klejącą, a na paczce widnieje napis wykonany czerwoną kredką: JOY! To prezent dla mnie.



I wtedy uderza mnie myśl, że właściwie nie miałam świąt w tym roku, bo przecież Boże Narodzenie spędziłam w białej szpitalnej sali, pachnącej środkami dezynfekcyjnymi i kwiatami. Ominął mnie też magiczny świąteczny poranek; nie było rozpakowywania prezentów ani niekończącej się gry w „Monopoly”. Nikt nie pomyślał o tym, żeby zachować dla mnie święta. Nikt, aż do teraz... Czuję piekące łzy w oczach, ale nie płaczę. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, tylko ci dwaj, zupełnie mi obcy, zachowali dla mnie święta. Czy to możliwe? A może wcale tak się nie stało?

- Jest już marzec - mówię, patrząc na Daniela. I nagle znów ogarnia mnie lęk, że to wszystko okaże się kłamstwem. - Czy ja jestem w stanie śpiączki i leżę w szpitalu? -pytam i robię krok do tyłu.

- Bobby nigdy nie przestał w ciebie wierzyć - wyjaśnia Daniel. - Nie chciał obchodzić bez ciebie świąt.

- Ale choinka...

- Ta już jest z kolei szósta...

Kuśtykając, podchodzę do drzewka. Muszę koniecznie dotknąć ostrych szpilek i poczuć ich mocny zapach. Choinka jest przybrana ozdobami, które Bobby na niej zawiesił. Niektóre to pamiątki pewnych ważnych wydarzeń w jego życiu.

*Tę ozdobę mamusia lubiła najbardziej; ramkę sam zrobiłem na zajęciach w świetlicy.*

Na najbliższej mnie gałęzi wisi jakaś nowa dekoracja. Przyglądam się jej i widzę, że jest to obrazek w ramce ulepionej z gliny, a potem wypalonej i pomalowanej. Dziecko może coś takiego wykonać w jakiejś zaprzyjaźnionej pracowni ceramicznej. Wewnątrz czerwono-zielonej ramki są wklejone trzy namalowane i wycięte z papieru postacie, przedstawiające

ciemnowłosego, szeroko uśmiechniętego mężczyznę, kędzierzawego chłopca i rudą kobietę. Pod postaciami są nasze imiona, starannie napisane ręką dorosłego człowieka: Daniel, Bobby i Joy.

- To ja wykonałem dla ciebie ten obrazek - śmieje się Bobby. - Ale tatuś mi pomagał - dodaje.

Zwracam się do Daniela. W sercu czuję przypływ ogromnej czułości. Nie wiem, co mam powiedzieć temu mężczyźnie, który jest jednocześnie i przyjacielem, i kimś obcym.

Boję się, że zacznę płakać, i choć wiem, że będę wyglądała jak idiotka, która wzrusza się małym prezencikiem i ledwo znanymi ludźmi, nie mogę pohamować ogarniających mnie emocji. Bardzo, bardzo długo byłam samotna, a teraz, choć to wydaje się niemożliwe, czuję się tak, jakbym wreszcie przybyła do domu.

- Pewnie myślicie, że jestem szalona?

Daniel ściera łzy z moich policzków.

- Wiesz, co jest naprawdę szalone? - pyta głosem tak cichym, że tylko ja go słyszę.

- Co?

- Że mężczyzna w moim wieku wierzy w magię.

Obejmuje mnie za szyję i czule do siebie przygarnia.

- Nie rozumiem, jak to się stało - mówi - i nie mam pojęcia, co z tego wyniknie, ale wiem na pewno, że otrzymaliśmy dar. -I pochylając się, żeby mnie pocałować, dodaje: - Wesołych świąt, Joy Faith Candellaro! Czekaliśmy na ciebie.

Ten szybki pocałunek - właściwie tylko dotyk warg i nic więcej - głęboko we mnie wnika i ogrzewa serce, w którym tak długo gościł jedynie

chłód. Przytulam się do Daniela i otaczam go ramionami, a jakby z oddali dochodzi do mnie chichot Bobby'ego:

- Chodź już, Joy! Musisz otworzyć prezent.

Uśmiecham się. Czuję, że to, co tu i teraz przeżywam, jest najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek w życiu otrzymałam.

- Istna magia! - szepczę, patrząc na Daniela, i wiem, że będziemy w nią wierzyć do końca naszych dni.

RS